

Cudzą krwią

Bidwell George



calibre 0.9.43

George Bidwell

Cudzą krwią

Opowieść o Karolu Edwardzie Stuartcie

Część pierwsza

ROMANTYCZNY AWANTURNIK

Rozdział I

UNIA POLSKO-SZKOCKA

Na stopniach wielkiego pałacu w Oławie na Śląsku, pałacu
podarowanego niegdyś Janowi III przez cesarza za ocalenie

Wiednia i Europy od nawały tureckiej w 1683 r. — stoi królewicz

Jakub

Sobieski.

Wzrokiem

odprowadza

cztery

karety

przejeżdżające przez dziedziniec, przez główną bramę. Konie
niecierpliwie potrząsają głowami. Za nimi jeszcze dalsze karety i
ładowne wozy. Lokaje, ustawieni rzędem za ciężką, nieforemną
postacią królewicza czekają, by ich pan poszedł z powrotem do
pałacu. Ale on wciąż stoi, wpatrzony w znikające w oddali tumany
pyłu. Wreszcie odwraca się, a lokaje o nieruchomych twarzach
dostrzegają łzy, spływające po zmarszczkach, jakie pół wieku
smutka wyślabiło na jego obliczu.

— Boję się, że już jej nigdy nie zobaczę — mówi Jakub do
najstarszej ze swoich trzech córek pobożnej Kazimiery.

— A Klementyna zawsze była twoją faworytką — odpowiada
młoda dziewczyna z odcieniem urazy w głosie. — Raczej byś

dziękował, ojczy, Panu Bogu i Najświętszej Pannie za taki świetny

maria. Nie kaŝdej dane jest zostać królową.

— Królową... królową... bez tronu — mruży ojciec. — Moŝe

nigdy nie będzie nosiła korony. Zastanawiam się, czy powinienem

był zezwolić...?

Zezwolić? Właściwie nie miał wielkiego wyboru.

Ten wymowny Irlandczyk, kawaler Karol Wogan, przybył pewnego dnia do oławskiego pałacu z listami. Jeden — od jego świątobliwości papieża.

„śyczmy sobie, synu mój, abyś zechciał oddać w zamążpójście naszą chrzestną córkę, Marię Klementynę, dla której wybraliśmy na męża naszego brata w Chrystusie, Jamesa Stuarta, prawowitego pretendenta do tronu Anglii, zajętego obecnie przez heretyckiego elektora Hanoweru, zwałęgo się Jerzym Pierwszym...”

Jakub Sobieski wiedział dobrze, że James Stuart, „zwący się” Jamesem III, ale żyjący w Rzymie z pensji, wypłacanej mu przez papieża, powrócił przed trzema laty z nieudanej wyprawy do Anglii. Próbował siłą odzyskać tron angielski, który w 1688 r. utracił jego ojciec, James II, próbował cofnąć zegary i znowu narzucić Anglii katolicyzm. Jałowa próba — rozmyśla Jakub — świadcząca o pechowej niepraktyczności człowieka, którego papież przeznaczył na męża Klementyny. Gzy Anglicy zgodzą się kiedykolwiek na zdetronizowanie ich obecnego króla, protestanta,

wnuka siostry Karola I?

Ale trudno było Jakubowi Sobieskiemu odmówić Śyczeniu papieża. A już zwłaszcza, gdy się okazało, że Klementyna — znudzona Śyciem w rodzinnym pałacu oławskim, z dala od gwaru i przepychu dworskiego — zapaliła się do tego mariaża.

Miodopłynna wymowa kawalera Wogana obudziła jej romantyczne zamięrowanie do przygód, przekonała, że wkrótce będzie królową Anglii. Bajeczne przygody! Bajki i tyle!

„...mój królewski mocodawca jest charakteru czułego, natury lojalnej, postawy monarszej...”

Gdyby Jakub Sobieski wiedział, że z tych pochwał jedynie

„monarsza postawa” odpowiadała w pewnym stopniu prawdzie; że

„królewski

mocodawca”

był

porywczym

i

rozwiązłym

gwałtownikiem, a na dokładkę fanatykiem w sprawach rytuału

religijnego — może by i nie zezwolił ulubionej córce na tę

romantyczną awanturę. Ale skąd mógł wiedzieć? I skąd

mógł wiedzieć, że bogate wiano Klementyny — okrągła suma w gotowiźnie, odziedziczona po ciotce, królowej Hiszpanii, rozległe dobra w Polsce i słynne rubiny, zdobyte przez króla Jana III na Turkach pod Wiedniem — więcej znaczą dla Jamesa Stuarta od osoby narzeczonej?

James pisał do Klementyny, zapewniając, jak zwykle mężczyzna, przed ślubem:

„...każde twoje życzenie będzie dla mnie rozkazem...” Łatwo zawrócić młodej dziewczynie w romantycznej główce. A zanim połączy się ze swym narzeczoną, Klementyna zazna przygód zaiste niemało — więcej, niżby ona sama lub jej ojciec mogli sobie wyobrazić.

A teraz odjechała... Jasnokasztanowate włosy, piękna cera, bystre czarne oczy, owalna twarz i smukła szyja, zgrabne kształty; a jaka serdeczna, jaka przywiązana do ojca... Odeszła z jego życia na zawsze. Jakub Sobieski wie o tym.

Klementyna wraz z matką, księżną Elżbietą neuburską, wyprawiają się w podróż incognito, a przynajmniej mają nadzieję, że pojedą w nikomu nie znane. Ale podróżują z całym orszakiem, 36 roślących koni ciągnie karoce i wozy ładowne, jadą z nimi dworki, dwóch hrabiów, szambelan, kucharz, liczne pokojówki, lokaje.

Pod dostatkiem jest w Wiedniu i gdzie indziej chętnych do sprzedania za garść złota agentom Jerzego I tego słabo strzeżonego

incognito.

Królowi Anglii wcale nie przypada do gustu perspektywa
prolongowania dynastii Stuartów. Zwraca się do cesarza, Karola
VI, z prośbą o zabronienie przejazdu przez jego kraje narzeczonej
pretendenta do tronu angielskiego. Karol zapomina więc o fakcie,
że Klementyna jest z nim spokrewniona, zapomina o olbrzymich
usługach, jakie mu niegdyś oddał jej dziad. Śle gońców...

Jeszcze wszystko byłoby dobrze, gdyby księżna Elżbieta neu-
burską nie była kobietą niezwykle lekkomyślną i próżną, ko-
chającą się w splendorach, ceremoniach i strojach. Wybrała
określoną trasę, prowadzącą do granic włoskich przez Ratyzbone,

9

Augsburg i Innsbruck, a znużona powolną podróżą licznej ka-
walkady po wyboistych drogach, nalega na dłuższy postój w
Augsburgu:

— Mój brat biskup ofiarował nam gościnę w swoim pałacu. A
nie widziałam go od wielu lat. Będą przyjęcia, bale, uroczystości.
A prócz tego odnowimy naszą garderobę. Nie mamy co na siebie
włożyć. I tu, w Augsburgu, są sławni na całą Europę jubilerzy i
złotnicy.

Moje

klejnoty

potrzebują

nowych

opraw,
przeszlifowania...

— Ale król Anglii czeka! — protestuje Klementyna. —

Kawaler Wogan powiada, Œe chorzeje z impacjencji...

— Niech poczeka. Od tego jeszcze Œaden męŒczyzna nie
umarł. Będzie tym gorętszy, gdy do niego przyjedziesz...

W wilię dnia, gdy kawalkada dotarła wreszcie do Innsbrucka,
do miasta wjechał jeden z cesarskich kurierów. Gdyby nie
Augsburg, pałac biskupa, krawcy, złotnicy — Klementyna byłaby
juŒ we Włoszech. A tymczasem podróŜujące damy powitał z
lodowatą uprzejmoŒcią generał Hester i odprowadził je pod
eskortą do zamku Ambras — posępnej, dobrze ufortyfikowanej
twierdzy na lewym brzegu rzeki Inn, wśród szarych szczytów
skalnych.

Wszelkie wygody, nawet komfort. Ale jednak — więzienie.

Dwa razy dziennie generał składa damom formalną wizytę, a przy
sposobnoŒci

węszy,

wypatruje,

sprawdza

ubezpieczenia.

Wzmocnione straŜe pilnują wszystkich wejŒc do zamku.

Jerzy I angielski oznajmia, Œe dołoŜy dziesięć tysięcy funtów
szterlingów do wiana Klementyny, jeŒeli poślubi ją jakiś inny

książkę, a nie Stuart. Książkę von Baden-Baden uległ pokusie: niemała fortuna i czarująca dziewczyna! Przybywa więc do Innsbrucku, pełen uwodzicielskich dobrych zamiarów. Ale zastaje Klementynę w najgorszym humorze. Uwięzienie doprowadza ją do pasji, wyrzuca matce, że z jej winy zwlekano w Augsburgu, na przemian tupie małą nóżką z gniewem, albo płacze z rozpaczy. Wypędza Baden-Badena bez ceregieli z komnat, ciskając za nim poduszkami i pantoflami.

10

Cesarz Karol — i Jerzy Hanowerski także — nie wzięli w swoich kalkulacjach pod uwagę przedsiębiorczej pomysłowości i bujnej irlandzkiej natury człowieka, który zalecał się i zdobył narzeczoną dla swego królewskiego pana — słowem, nie wzięli pod uwagę kawalera Wogana. Ani tego dzielnego, nie-ulękiego serca Klementyny.

Grupa cudzoziemców przybywa do oberży na przełęczy w pobliżu zamku Ambras. Szambelan Klementyny, który cieszy się pewną swobodą ruchów, ponieważ jest Francuzem, chadza często na spacer. Księżna sprzeciwia się wszelkiej konspiracji. Jakub Sobieski przysłał posłańców z zaleceniem, by jego siostra i córka natychmiast wracały do Oławy. Córka nie dba o zalecenia rodziców. Jest uparta, marzą jej się awanturnicze przygody, kusi miano królowej.

Pewnego późnego wieczoru Klementyna wstaje z łóżka, ubiera

się, zbiera swoje klejnoty. Pokojowa zajmuje jej miejsce w łóŜku i naciąga pościel na głowę tak, by szpiegujące oczy mogły dostrzec tylko zarys śpiącej postaci. Szambelan dał kilka monet straŜnikom przy bramie, a pobliska karczma, nadal otwarta, okazała się dla nich, jak przewidywano, nieodpartym magnesem.

Klementyna wymyka się z zamku: kawaler Wogan spotyka ją, ujmuje pod ramię, niesie szkatułkę z klejnotami. PogrąŜeni w śnie pozostali: księżna matka, hrabiowie, szambelan, szef, kucharz i cała reszta wspaniałej kawalkady, która wyruszyła z oławskiego pałacu. Niebawem Klementyna wraz z grupą cudzoziemców z oberŜy pędzą na południe lekką karetką, zaprzęŜoną w cztery szybkie konie.

Po przebyciu kilku czy kilkunastu mil okazuje się, Ŝe Klementyna zapomniała w oberŜy szkatułkę z klejnotami. Dziewczyna lekcewaŜy stratę — ale nie kawaler Wogan. On wie dobrze, jakie to ma znaczenie dla jego królewskiego pana. Jeden z kompanii, takŜe Irlandczyk, łowca przygód i fortuny, kapitan Lucas O'Toole, zawraca galopem, wchodzi do uśpionej oberŜy wyjąwszy z zawiasów drzwi i wkrótce dogania po-

11

droŜnych — szkatulka z klejnotami jest juŜ przytroczona do siodła.

Przełęcz Brennerska. Karetką podskakuje, przechyla się, kiwa niebezpiecznie. Wąska droga pod olbrzymimi skalnymi nawisami.

Przepaście zapierają dech w piersi. Ale Klementyna nie zna strachu. Niebezpieczeństwa ją podniecają. Nie folgują koniom, a do stromych podejść alpejskich, gdzie narzeczona musi przejść pieszo, w leciutkich pantofelkach, potykając się o kamienie. I znów szaleńcza jazda w dół po drugiej stronie. A jeźdźcy generała Hestera gdzieś za nimi w pościgu.

Romantyczne przygody! Co za podróż! Nawet romantyczniejsza, niż gdyby ją sam narzeczony wykradł! Klementyna dowodzi swego zapędu do mariażu i do korony.

Wreszcie docierają do Peri, na granicy z Wenecją- Jeszcze promem przez rzekę Pad — i bezpieczeństwo. Tej nocy., zatrzymawszy się w ubogiej oberży, Klementyna przed odejściem na spoczynek mówi do swych towarzyszy:

— Odwagi, moi dzielni obrońcy! Nigdy o was nie zapomnę !

Teraz już nie mamy się czego lękać. Bolonia i Rzym.

Istotnie, przygody jak w baśni. I ziarna romansu, które zakiełkują dopiero po wielu latach. Jednym z tych, który pomógł w ucieczce Klementyny, był pułkownik Walkinshaw, Szkot, wygnany z ojczyzny za udział w spiskach, mających na celu przywrócenie Jamesowi Stuartowi tronu, do którego pretendował, a obecnie jego przedstawiciel i agent w Wiedniu. Ziarna nowych przygód? Zakiełkują i wydadzą owoce dopiero wtedy, gdy zaczną dojrzewać następne pokolenie.

Dnia 1 września 1719 r. Maria Klementyna Sobieska zaślubiła

w Montefiascone Jamesa Stuarta. PapieŜ ofiarowuje im w darze pałac Muti w Rzymie, obiecuje nadal wypłacać pensję dwunastu tysięcy koron rocznie, otwarcie uznaje w młodej parze króla i królową Wielkiej Brytanii, przydziela im straŜ przyboczną z gwardii papieskiej. Ostatecznie, James i Klementyna stanowią jedyną nadzieję papieŜa Klemensa na nawróce-

12

nie z powrotem Anglii na łono katolicyzmu. Słabą nadzieję, ale zawsze.

Nie zabrakło romantycznych przygód na drodze Klementyny •do ołtarza. Nic więc dziwnego, Œe oŒywiła tym samym duchem awanturniczego romantyzmu serce chłopca, które niebawem zaczęło pulsować w jej łonie.

Szaleńcza jazda przez Alpy będzie jedyną wspaniałą przygodą, jakiej Klementyna zazna w swym Œyciu. Nie dla niej koronacja, ani pałace w Londynie. Dla swego męŜa będzie tylko sposobem przedłuŜenia dynastii. I po kilku latach Klementyna ucieknie znowu — ucieczka niedaleka i wcale nie romantyczna. Do klasztoru.

Ale jeszcze przedtem...

Dnia 31 grudnia 1720 r. Klementyna urodzi pięknego chłopca.

Dla uczczenia tego nowego dziedzica pretensji do angielskiego tronu wybito medal z napisem: „Spes Britannica”. PapieŜ Klemens odprawia uroczystą mszę dziękczynną. Tego samego dnia na

nieboskłonnie pojawia się nowa gwiazda — a Hanower, z którego wywodzi się dynastia panującego w Anglii króla, nawiedza straszliwa burza. CzyŜby oznaki szczególnej łaski niebios? Nie brak łatwowiernych, którzy w to wierzą.

Wśród popleczników Stuartów w Anglii i w Szkocji budzą się nowe nadzieje. Jeśli James zdobędzie tron, ma już zapewnionego dziedzica i następcę. Entuzjazm dla Stuartów przybiera na sile. Ale zdobycie tronu? Do tego trzeba ludzi i pieniędzy. Skąd ich wziąć? Francja i Hiszpania chętnie się posługują pretensjami Stuartów jako groźbą dla Anglii, ale wcale się nie palą do wydatkowania jakichkolwiek sum na ten cel, co najmniej ryzykowny.

I skąd wziąć wodza, któremu by nie zabrakło: odwagi, determinacji, talentów wojskowych, zimnej krwi, zdrowego rozsądku.

13

Jest więc nieuniknione, Ŝe wielu, niecierpliwie licząc płynące lata, zwraca wzrok ku...

Przejdzie do potomności jako Piękny Książę Charlie. Młody Pretendent. I zwyczajnie — Karol Edward. Ale najpierw będzie ochrzczony w kaplicy pałacu Muti. Na ceremonię przybywają kardynałowie, męŜowie stanu, książęta i księżniczki, dyplomaci — Polacy, Włosi, i angielscy wygnańcy. Niemowlę mogłoby być kometą, tak długim obciążono je ogonem imion: Karol Edward

Ludwik Jan Kazimierz Sylwester Seweryn Maria.

Koniec ceremonii. Muzyka organów cichnie. Prałaci, akolici,
chłopcy z chóru już poszli. Ojciec powróci do swoich kochanek,
niemowlę do matki i nianiek.

Dwaj goście, Polak i Szkot, wychodzą razem z Palazzo Muti.

Najpierw idą w milczeniu. Chrzcziny, uroczysta ceremonia,
budząca chwile poważnych myśli... dusza niemowlęcia... doczesne
przeznaczenie...

Jeden z dwóch gości przerywa milczenie:

— Dziedziczność. Krew. To ksiąŜątko w kołysce...

— Polska krew Sobieskich, szkocka krew Stuartów, będą
płynęły w jego Ŝyłach.

— Prawnuk Jana Sobieskiego... Odwaga, determinacja, talent
wojenny...

— Prawnuk Karola Pierwszego angielskiego... urok osobisty...
och, bez wątpienia... ale poddani zawiedli go na szafot za upór i
głupotę.

— Syn Jamesa III, pretendenta... Monarsza postawa... i co
więcej?

— Szsz!

— ...i Klementyny Sobieskiej... niechby tylko wziął po matce
jej słodycz, Ŝywość usposobienia, dzielność...

— Będzie mu potrzeba więcej, jeŜeli...

Jak wiele zawiera się w tym „jeŜeli”? Chyba nawet wię-

cej, niŜ ci dwaj, Polak i Szkot, mogą odgadnąć. MoŜe Karol Edward Ludwik Jan Kazimierz itd. pokusi się o polską koronę, którą nosił jego pradziad? MoŜe o tron Stuartów? W kaŜdym razie...

— Niechaj Bóg da chłopcu wszystkie najlepsze cechy obu rodów!

— Niechaj Bóg go zachowa od najgorszego!

Bóg się lubuje w hazardzie... rzuca kości!

Rozdział II

MARSZAŁEK OSTRZEGA

— Czas się ubierać, wasza ksiąŜęca wysokość.

Młody męŜczyzna juŜ nie śpi. Właściwie przez całą noc spał niespokojnie i czujnie. Wstaje, przeciąga się — ale nie leniwie, przeciwnie: z energią młodości, palącą się do przygód. Jest wysoki i smukły, włosy ma rudawokasztanowate, jasną cerę, wielkie, błękitne oczy. Jest bardzo przystojny, a jego uśmiech, gdy zwraca się do lokaja, ma nieodparty czar:

— Czy śniadanie juŜ gotowe? A czy jest posiłek do zabrania na drogę?

Przechodzi do gotowalni. Ruchy ma pełne godności i zarazem wdzięku.

W godzinę później, w ulewnym deszczu, wyrusza z Rzymu w kierunku północnym jeździec wyglądający na kuriera, w to-

warzystwie jednego tylko kompana. Jest dziewiąty dzień stycznia

1744 r.

O świcie dwaj jeźdźcy szukają schronienia w przydrożnej
oberży. Odpoczywają przez cały dzień. Ich przemoknięta odzież
suszy się przed ogniem na kominku. Posiłki przynoszą im do
osobnej izby.

Tego samego dnia urządzono w Rzymie zawody strzeleckie.

Obaj młodzi księża Stuartowie, Karol Edward i młodszy od
niego o cztery lata Henryk, przyrzekli uczestniczyć w zawodach.

Henryk przybywa i tłumaczy nieobecność brata niedys-

pozycją. Nie jest to moŜe świadectwem ścisłego umiłowania»
 prawdy, które by przystało przyszlęmu księciu kościoła.

Kurier i jego towarzysz wyruszają w dalszą drogę po za-
 padnięciu ciemności. OberŜysta, mocno w dłoni ściskając parę
 złotych monet, patrzy za odjeŜdŜającymi, aŜ znikną w mroku.

Drapie się w łysinę i powiada do Ŝony:

— Ciekawym, co ci dwaj knują? Kto światła dziennego unika,
 jak oni, nie jest zwyczajnym kurierem!

W pobliŜu granicy tokańskiej nocni jeźdźcy wprowadzają
 swoje wierzchowce do lasu. A o Ŝwicie następnego dnia do
 najbliŜszej oberŜy wchodzą: hiszpański oficer i jego ordynans. Po
 posiłku i krótkim odpoczynku jadą dalej. JuŜ nie unikają światła
 dziennego: jadą dniem, nocą odpoczywają.

Objechawszy podnóŜe Apeninów dwaj jeźdźcy docierają do
 Genui, a dalej wzdłuŜ wybrzeŜa na zachód aŜ do Savony. Tu
 wsiadają na pokład małego francuskiego statku. Oficer hiszpański
 udaje się prosto do swojej kabiny i tam przesiaduje, wychodząc na
 krótki spacer tylko wtedy, gdy inni pasaŜerowie śpią. Na Morzu
 Śródziemnym przebywa wojenna flota angielska. Jej admirał z
 wielką satysfakcją zagarnąłby francuski stateczek, na pozór
 niegodny jego uwagi, gdyby tylko wiedział, Ŝe ten młody
 człowiek w mundurze hiszpańskiego oficera planuje detronizację
 króla Jerzego II.

Od samego początku nie brak w tej wyprawie Karola Edwarda przeszkód. Obaj z ojcem i ich zwolennicy zawsze podkreślają, że Hanowerczy — Jerzy II wstąpił w 1727 r. na tron po swoim ojcu, Jerzym I — są cudzoziemcami. Ale Karol Edward jest niewiele więcej Anglikiem od Hanowerczyków. Półkrwi Polak po matce, ma również w swoich żyłach krew francuską, włoską i austriacką.

Wykształcony i wychowany w Rzymie, jest oczywiście wiary swych rodziców — rzymskokatolickiej. Ale Anglicy, którym zamierza narzucić panowanie swego ojca, a ewentualnie swoje, są zdecydowanymi protestantami. Od czasów królowej Elżbiety — zmarłej prawie przed półtora wiekiem — gdy walczyli

z katolicką Hiszpanią o udział w bogactwach Nowego Świata, Anglicy uważają, że ich niepodległość i dobrobyt wiążą się najściślej z protestantyzmem. Nie znają tolerancji. Nie chcą tego, co zwą „diabelskim zabobonem papistów”. Za panowania pra-stryja młodego Karola Edwarda, króla Karola II, nominalnie protestanta, wygnano z Londynu trzydzieści tysięcy katolików. Dziada Karola Edwarda, jawnego katolika, zdeponizowano i wygnano dlatego, ponieważ usiłował narzucić poddanym własną religię. A ojciec Karola Edwarda, Pretendent, przyrzekł papieżowi, że jeśli odzyska tron Stuartów, przywróci w Anglii dawną katolicką religię. Ta obietnica bynajmniej nie ułatwi Karolowi Edwardowi wypełnienia jego misji.

Do tej pory tryb jego życia był dość typowy dla ówczesnych książąt na wygnaniu. Dziwnie brak jakichkolwiek ważniejszych wydarzeń — i brak przygotowania, jakby nic nie zwiastowało trudnych zadań przyszłości, wymagających odwagi, determinacji, zdolności wojskowych, zimnej krwi, zdrowego rozsądku.

Mając osiem lat Karol Edward mówił biegle po angielsku, francusku i włosku. Chwalono go za inteligencję. Ale najbardziej palił się do konnej jazdy i strzelania — potrafił dziesięć razy pod rząd rozciąć rzuconą piłkę strzałą z łuku.

Z mostu Karol Edward rzuca drobne monety w nurt Tybru.

Mali ulicznicy rzymscy nurkują po nie. Książę klaszcze w ręce, z

zachwytu woła „bravo"! patrząc, jak kaŜdą monetę chwyta mała brunatna ręka. Ale gdy starsi chłopcy, którzy wolą posługiwać się sprytem, niŜ płucami, przynoszą siatki na długich kijach — ksiąŜę protestuje:

— To nie po sportowemu! To tak, jakby strzelać do siedzącego ptaka!

Łatwo pieszczonemu w dostatkach księciu krytykować nie-sportowe zachowanie. Nie potrzebuje naraŜać swoich płuc dla cudzej zabawy za cenę miedziaka.

18

Niezadowolony, Karol Edward gromadzi wokół siebie odpowiedniejszych towarzyszy zabaw — potomków międzynarodowej arystokracji. Wybiera sześciu, których przywódcą będzie on. Pozostałych czternastu ma bronić przed jego atakiem niewielkie wzgórze.

— I po krótkiej walce musicie pozwolić się wypędzić z pola bitwy. Bo w moich ksiąŜkach ksiąŜeta, chociaŜby na czele mniej licznych wojsk, zawsze zwycięŜają...

Miejmy nadzieję, Ŝe jego wrogowie, obecni i przyszli, znają zasady gry.

W trzynastym roku Ŝycia gra biegle na wiolonczeli. Damy dworskie nalegają, by im zagrał. I wygłaszają odpowiednie komentarze:

— Ach, jaki ładny, cukiereczek...

— Słodka melodia...

— Jaki on czarujący...

— JuŜ doskonały dworzanin z niego...

— Piękny ksiąŜę...

Młodzieniec chętnie łyka pochlebstwa, zwykłe na dworach.

Damy głaszczą jego rudokasztanowate loki, dają mu łakocie.

Jedna z dam, kładąc rękę na jego ramieniu pod jedwabnym

rękawem, stwierdza z zachwyconym zdumieniem:

— Och! Go za muskuły! JuŜ... męŜczyzna...

— Sporty wyrabiają mięśnie — chwali się Karol Edward.

— Fechtunek, zapasy, łowy...

Pewnego dnia jego guwerner, Sir Thomas Sheridan, szuka go

zaniepokojony. Jedna z dam dworu zabrała księcia do swych

prywatnych apartamentów — by mu pokazać swoje klejnoty, jak

powiada. Sir Thomas bez ogródek ostrzega ojca chłopca:

— To juŜ nie dziecko, najjaśniejszy panie! A rośnie na

dworskiego gładysza, zanadto lubującego się w towarzystwie

dam. Niechaj się nauczy Őłnierki, jak jego wielki pradziad,

Jan Sobieski...

19

Wysłano więc Karola Edwarda do spokrewnionego z nim

diuka Lirii, na czele wojsk francuskich, hiszpańskich i sardyń-

skich oblegającego Austriaków w Gaecie. Diuk chwali odwaŜne

zachowanie młodzika w ogniu. Ale Sir Thomas Sheridan znowu

ostrzega:

— Błagam, by wasza wysokość tak nieopatrzenie nie narażała się na niebezpieczeństwo...

Chłopiec był dzielny, to nie ulegało wątpliwości, ale jak jego matka — uparty.

Gaeta była dla Karola Edwarda tylko przedsmakiem. Wy-
czekiwał. Ambitny, romantyczny uczeń, który wiedział, że jest księciem, a wierzył, że księżęta muszą być, jak ich odpowiednicy w historii i w legendzie — wielkimi wodzami. Nigdy nie miał się wyzbyć ani ambicji, ani iluzji.

Miał lat osiemnaście, gdy po raz pierwszy poprosił ojca:

— Pozwól mi jechać do Szkocji, ojcze! Poruszę klany, porwę je do walki o odzyskanie twego tronu!

— Jeszcze nie czas — odpowiedział Pretendent, pamiętając o własnej kłesce w takiej właśnie próbie. — Mam tu kopię, przysłaną mi przez mego ajenta w Londynie, relacji Duncana Forbesa, Lorda gubernatora Szkocji.

Podał synowi dokument:

„...niezadowolenie zanika w tych stronach królestwa. Wielu z tych ludzi, którzy przed siedmiu laty z determinacją opowiadali się po stronie Pretendenta, zmieniło teraz nastroje na bardziej letnie, a nawet obojętne dla jego sprawy”.

— Forbes jest stronnikiem hanowerskich uzurpatorów —

odparł Karol Edward. — Pisze takie relacje, które spodobają się

angielskiemu rządowi!

— Forbes jest bardzo rzetelnym obserwatorem — odparł

James. — Szkoda, że to nie nasz stronnik. Jego raport pokrywa się z wiadomościami, jakie otrzymuję z innych źródeł. Musi-

my poczekać, a wojska francuskie będą mniej zajęte. Nie odniesiemy sukcesu bez francuskiej pomocy...

I te słowa również, jak decyzja przywrócenia katolicyzmu w Anglii, dowodzą śłośnego braku zrozumienia ludzi, których chciał uczynić swymi poddanymi. Francja była protektorem, przynajmniej nominalnym, Stuartów od czasu, gdy James II uciekł z Londynu do St. Germain. Anglicy rozumieli dobrze, że Stuartowie mogą odzyskać tron tylko z pomocą francuskich wojsk i francuskich dukatów. A za tę pomoc trzeba będzie później zapłacić, prawdopodobnie koncesjami kolonialnymi, w Indiach Zachodnich albo w Północnej Ameryce. A co Anglicy by zyskali? Wątpliwe dobrodziejstwa prześladowań religijnych z przeciwnej strony? Ta kalkulacja się nie opłaca.

Karol Edward musiał więc czekać, wprawiając się tymczasem w uprawianiu sportów, w myślistwie, w grze na wiolonczeli, w aferach z damami dworu. Egoizm młodości łączył się u niego ze świadomością królewskiego pochodzenia.

Miał łatwość obcowania, wdzięk w sposobie bycia. Ale na czysto powierzchnym poziomie. Z nikim nie był naprawdę blisko. Mógł

mieć nawet wielu zwolenników, ale bardzo mało przyjaciół.

Zdawało się, jakby się bronił przed pogwałceniem samotności własnej duszy. Może tak, jak gospodyni, która nie chce otwierać spiżarni, by nie ujawnić, że jest pusta?

Ulegając ustawicznym naleganiom Sir Thomasa Sherida-na, młody książę przestudiował dzieje niezbyt chwalebnej próby zdetronizowania Hanowerczyków w 1715 r. Nauczył się z tego przynajmniej jednej lekcji. Klany z wysokich gór Szkocji powstały i nie napotykając oporu wkroczyły do Anglii, zanim jeszcze sam Pretendent przybył z morza. Góralom wkrótce zaczęło się wydawać, że ich król nigdy nie przybędzie, że opuścili oni swoje domy i swoje stada nadaremno. Dezerterowali setkami. Resztki pobito przeważającymi siłami w bitwie pod Preston. I wtedy przybył Pretendent, kiedy już nic mu nie pozostało do roboty, tylko wracać do Francji.

— Gdy moja kolej nadejdzie — zapowiada Karol Edward

21

— to już dopilnuję tego, by być na miejscu, kiedy klany powstaną i poprowadzę górali osobiście!

Ta decyzja była z pewnością słuszna — chociaż nawet zrodziła się z romantycznego usposobienia młodego księcia... Jechać na czele wiernych wojowników, na białym wierzchowcu, z połyskującą szablą w dłoni, odprowadzany zachwyconym spojrzeniem dziewcząt...

Istotnie, od chwili urodzin Karola Edwarda, szkoccy bardowie opiewali go jako przyszłego zbawiciela Szkotów. Dynastia Stuartów była początkowo dynastią szkocką. Sześciu Jamesów Stuartów zasiadało na szkockim tronie, zanim ostatni z nich, syn Marii Stuart, odziedziczywszy po królowej Elżbiecie tron angielski, zjednoczył korony obu królestw. Szkoci uważali Stuartów za swoich prawych władców, rodzaj najwyższego klanu, a dla wielu z nich Jerzy II był tylko hanowerskim uzurpatorem. Zgodnie z legendą Szkoci oczekiwali na oswobodziciela: niektórzy wierzyli w niego jak w Mesjasza. Wokół ognisk obozowych i w takich obozach, do których nie przenikali angielscy szpiegi, wznoszono regularnie toasty:

— Zdrowie króla za morzem...

A jeśli ktoś z obecnych zawahał się, obnażano szpady i śpiewano sławną piosenkę jakobitów:

A kto tego zdrowia nie wypije,

Niech się z własnym Segna! Już nie Syje!

Nagle — wielka sposobność dla „zbawcy narodu”. Mógł zacząć zbawiać. Francja wdała się w wojnę z Austrią, subsydiowaną przez Anglię. A Fryderyk pruski wybrał ten moment, by wkroczyć do Czech, zając Pragę. Austrii zabrakło wojsk do wojny z Francją, musi pilnować własnych granic. Ludwik XV dostrzega olśniewające perspektywy: podbój Flandrii, zdetronizowanie króla Anglii i restauracja katolickiej dynastii Stuartów.

Oddał do dyspozycji Pretendentowi piętnaście tysięcy Sól-
 nierza, ze statkami transportowymi, by ich przeprowić do po-
 łudniowo-wschodniej Anglii, pod wodzą doświadczonego we-
 terana wielu wojen, marszałka Maurycego Saskiego — bastar-
 da Augusta, króla Polski. Drugie, mniej liczne wojsko miało
 jednocześnie wyprawić się do Szkocji, gdzie stanowiłoby jądro
 zawodowych Sól-
 nierzy dla poparcia burzliwej masy szkockich
 klanów. Ale jeszcze trzeba było kogoś, kto by zajął się angielskim
 tronem z chwilą opróŜnienia go przez Maurycego Saskiego.
 Ludwik XV, znając niezaradność Pretendenta na polu walki,
 zasugerował mu, by wysłał swego syna z pełnomocnictwem
 regenta, a sam wyprawił się później.

Karol Edward aŜ się palił do wyprawy — bohaterski wódz
 wiernych wojowników, biały wierzhowiec, połyskująca szabla...

Albo

Jan

Chrzciel,

zapowiadający

Szkotom

nadejście

oczekiwanego Mesjasza.

Zanim przywdział przebranie kuriera, by ze swym francuskim

sługą wypuścić się w dŜdŜystą włoską noc, młody ksiąŜę skreślił

poŒegalny list do ojca:

„Ufam, Œe z łaską Boga będę mógł niebawem złoŒyć trzy korony ! angielską, szkocką, irlandzką) u stóp waszej królewskiej mości”.

„Z łaską Boga” — uŒyteczne zastrzeŒenie. W razie czego będzie na kogo zwalić winę!

Francuski statek z hiszpańskim oficerem, jako pasaŒerem, zawija do małego portu Antibes, na zachód od Nicei. Ale Œaden hiszpański oficer nie wysiadł. Natomiast wysiada francuski szlachcic: mała peruczka z potrójnym rzędem loków nad czołem, z tyłu związana czarną wstąŒką; trójgraniasty kapelusz, sukienna kamizelka, fałdzisty, obszerny surdut, otwarty z przodu, cięŒki płaszcz podróŒny z pelerynką, aksamitne obcisłe spodnie do kolan, pantofle z kłamrami. PodróŒny jedzie dyliŒansem przez całą wschodnią Francję, od południa aŒ na północ i przyjeŒdŒa do Gravelines w pobliŒu Dunkierki w dwadzieŒcia dni po wyjeździe z Rzymu.

Oczekuje go John Murray z Broughton, którego James mianował osobistym sekretarzem syna. Murray jest mężczyzną średniego wzrostu, szerokich barów, twarzy ciemnej, oczu niepokojnych, unikających cudzego wzroku — zarozumiały, pewny siebie, a na dokładkę kocha się w intrygach. Ta nominacja pozwala wątpić, czy James umiał właściwie oceniać ludzi. Z Murrayem jest Lord David Elcho — wysoki, silnie zbudowany jasny blondyn, o niebieskich oczach i pełnych humoru zmarszczkach wokół ust. Więcej zasługuje na zaufanie od Murraya, ale sam z kolei nie ma zbyt wysokiego mniemania o osobie Karola Edwarda. W Rzymie kiedyś miał powiedzieć : — Książę jest nudnym kompanem. Rozmawia tylko o golfie i strzelaniu do ptaków. Książkami się nie interesuje. Ale Lord Elcho jest lojalnym stronnikiem — odważny, zahartowany, stawia czoła przeszkodom realistycznie, nie romantycznie. Murray i Elcho, razem z Sir Thomasem Sheridanem, siedemdziesięcioletnim guwernerem — za starym, być może, do tego rodzaju awanturniczych przedsięwzięć, ale głęboko do księcia przywiązany i wywierającym znaczny wpływ na niego — przybyli właśnie ze Szkocji, gdzie usiłowali nakłonić wodzów poszczególnych klanów, by się zobowiązali do wydobycia szabli z pochew, a srebra z mieszkań.

— Jak tylko wasza wysokość postawisz stopę na swojej ziemi,
otoczą cię tłumy!

Lord Elcho jest ostroŝniejszy.

— Pod warunkiem, Ŝe wasza wysokość będzie miał ze sobą
dostateczną ilość francuskich bagnetów.

— Najwaŝniejsza jest obecność waszej wysokości, we własnej
osobie — dorzuca Sir Thomas. — Oni się jeszcze trochę wahają,
dopóki nie zobaczą księcia na własne oczy!

— ToteŜ zamierzam tam być i to jak najprędzej! — rzecze
ksiąŜę. Rozgląda się wokół, a to, co widzi, cieszy jego oko.

Wojenne przygotowania w pełni: na wschód i zachód od Gra-

velines, a tuŜ przy brzegu, chroniona przez jednostki wojennej marynarki francuskiej, leŜy flota transportowców. — Chyba nie ma wątpliwości co do francuskich bagnetów! — dodaje entuzjastycznie.

O zgromadzeniu tych bagnetów, transportowców, okrętów, wiedzą dobrze po tamtej stronie kanału. I o przybyciu tego, którego coraz częściej zwie się Młodym Pretendentem. Rzym roi się od szpiegów i angielskich agentów. Ubiór kuriera, mundur hiszpańskiego oficera, „niedyspozycja”, która przeszkodziła Karolowi Edwardowi wziąć udział w zawodach strzeleckich w Rzymie, cała ta trochę naiwna konspiracja nie zapobiegała wieściom o wyjeździe księcia, podróŜy przez Francję, o jego zamiarze wyprawy po ojcowski tron. W Anglii niepokój. I nie bez przyczyny. Większość wojsk pod dowództwem syna króla Jerzego, Williama księcia Cumberland, walczy z Francuzami we Flandrii.

Istotnie, wydaje się, Ŝe Stuartom nigdy nie trafi się lepsza, szansa sukcesu „z łaską Boga”. Nieszczęściem dla Karola Edwarda, Bóg nie zechciał okazać swej łaski katolikom: wybucha potężna burza. Francuskie okręty koło Dunkierki podnoszą kotwice. Wichura pędzi je na północ. Niezdarne transportowce kołyszą się na garbach potężnych fal, rozbijają jedne o drugie. Wiele się przewraca, tonie, osiada na przybrzeŜnych mieliznach.

Gdy wreszcie burza i morze ucichną, nadciąga wojenna flota angielska, by dokończyć dzieła zniszczenia armady Maurycego Saskiego.

W Anglii radość. Tron Hanowerczyków jest bezpieczny, przynajmniej na razie. Mało kto sobie wyobraża, by Młody Pretendent był na tyle lekkomyślny, aby wszcząć rebelię bez francuskiego poparcia. „Z łaską Boga” — widocznie protestanckiego Boga.

Marszałek Maurycy Saski składa wizytę księciu.

— Trzeba odłożyć inwazję, wasza wysokość — rzecze.

— Na jak długo? — pyta ksiąŜę, zrozpaczony, widząc, jak

25

mu się pewne już zwycięstwo wymyka z rąk. — Musimy zebrać nową flotę transportowców. Maurycy Saski ignoruje tę uwagę.

— Otrzymałem od najjaśniejszego pana, mego królewskiego mocodawcy, rozkaz udania się do Flandrii.

— A wojska? Gzy inny dowódca...?

— Wojska idą ze mną. Potrzebne są na północy. Nie mogą tu gnić bezczynnie, gdy buduje się nowe statki!

Książę wybuchą gniewem.

— Opuszczacie mnie!

Nie wie, że to nie tylko burza na morzu wpłynęła na zmianę zdania Ludwika XV-ego. Rząd francuski powziął wątpliwości co do poparcia, jakie rebelia na rzecz Stuartów zyska w Anglii.

Podbój Flandrii wydaje się przedsięwzięciem łatwiejszym i intratniejszym.

Marszałek wzrusza ramionami.

— Otrzymałem rozkaz.

— Klany zdobędą tron mego ojca bez waszej pomocy. Ja jadę do Szkocji! — woła Karol Edward.

— Radziłbym jeszcze rozważyć tę pochopną decyzję — ostrzega marszałek, schylając się w poślegnalnym ukłonie. —

Więcej ona przynosi zaszczytu odwadze waszej wysokości, niż zdrowemu rozsądkowi,

Rozdział III

„DO DZIEŁA - NARESZCIE!”

Klementyna Sobieska, uwięziona na zamku Ambras, nie pogodziła się ze złym losem, który chciał ją pozbawić romantycznej przygody.

Ani też jej syn, opuszczony we Francji przez sprzymierzeńców, nie wyrzeka się umiłowanego planu. Gdy trochę ochłonął z gniewu, oznajmia:

— Ty, Johnie Murray i ty, Elcho, pojedziecie do Szkocji. Tam przygotujecie wszystko do powstania.

— Ale... mości książe... bez pomocy Francji? — oponuje

Lord Elcho. — Bez wojsk?

Książę przerywa mu w pół słowa.

— Sir Thomas uda się ze mną do Paryża. Zobaczą się

z królem Ludwikiem. Nie może się teraz wycofać!

Nie może...?

Gdy Karol Edward dotarł do Paryża, Ludwik znajduje się w Fontainebleau. Tam księcia przyjmuje szambelan, który w imieniu króla wyraża sal, ale:

— Jego królewska mość jest obecnie zbyt zajęty, aby mógł udzielić audiencji.

Chłodno potraktowano syna tego, którego król Francji zwiemy bratem monarchą. Ludwik uznał, że podbój Flandrii jest zadaniem pilniejszym i łatwiejszym od inwazji na Anglię. Prócz tego, uwagę jego zajmuje nowa kochanka, Madame de

Pompadour, podsunięta przez dworzan, szukających za jej pośrednictwem wpływu na króla.

W drodze powrotnej do ParyŜa Karol Edward mówi z Ŝalem do swego starego guwenera:

— Pamiętasz przecie, Ŝe to król Francji sam mnie namawiał, bym tu przybył. A teraz? Nie dba w ogóle o tron mego ojca — o ile to nie leŜy w jego własnym interesie. A mego ojca uwaŜa za kukłę w swoim ręku...

W ParyŜu bankier szkocki, Eneas Macdonald, brat wpływowego wodza klanu, Donalda Macdonalda z Kinlochmoidart, zaprasza, by ksiąŜę zechciał gościć w jego domu. Karol Edwarda opanovał nastrój nieobliczalnej gwałtowności.

— Wynajmę łódź rybacką — mówi. — I popłynę sam jeden do Szkocji!

— Tym z pewnością niewiele się osiągnie, wasza ksiąŜęca wysokość — rzecze Eneas, w chwalebnym wysiłku ułagodzenia ksiąŜęcego gościa. Stary Szkot jest niskim, rudowłosym mężczyzną o krzaczastych brwiach i ostrym spojrzeniu.

— Więc co ja mam począć? — wybucha Karol Edward. —

Nie mogę się tu wałęsać bez sensu i celu! Przybyłem, by działać!

Tęsknię do czynu! Pójdę zaciągnąć się do armii francuskiej we Flandrii! Marszałek Saski nie odrzuci chyba mojej szabli!

Sir Thomas Sheridan oponuje:

— Anglicy walczą we Flandrii. Nie będzie to z korzyścią, ani dla ciebie, mości ksiąŜę, ani dla twojej sprawy, gdy podniesiesz własną szablę przeciw poddanym twojego ojca.

— Wy wszyscy umiecie tylko protestować! — krzyczy ksiąŜę. — Musi być jakieś wyjście! Gzy mam wracać do Rzymu z podwiniętym ogonem, jak skarcony pies? Nigdy! Nigdy! Więc co mam począć? Powiedzcie mi!

— Cierpliwości, mości ksiąŜę, cierpliwości! — doradza Sir Thomas.

Ale tej cechy Karol Edward nigdy nie posiadał w nadmiarze.

28

— Klnę się na honor i gotów bym dać w zastaw moje dobre imię i mój majątek, Őe klany powstaną! — rzecze Eneasze. — Szabla mego brata będzie na wasze usługi, a za nim pójdą inni. Wasza ksiąŜęca wysokość winna tylko zaczekać, aŜ wróci John Murray...

Dyskusja, argumenty — do późnej nocy. KsiąŜę, rozczarowany, rwący się do walki, do zwycięstw, do białego konia i błysku szabli — rzuca tuzin propozycji, jedne bardziej szalone od drugich. Jego gospodarz i guwerner starają się go pohamować. Obaj są zdecydowanymi stronnikami sprawy Stuartów, ale -chcieliby uniknąć zbędnego ryzyka i pośpiechu, zgubnego dla szansy powodzenia. Wreszcie, gdy ślepa zapamiętałość i realistyczna ostroŐność doszły jakoś do kompromisu, uzgodniono plan

postępowania. Nadal bardzo hazardowy, nadal odrzucający ostrzeżenie marszałka Saskiego, jednakże powściągnięty w pewnej mierze księżką zapalczywą lekkomyślność. I księżkę zgadza się czekać powrotu Johna Murraya.

Król Francji, władze wojskowe nadal ignorują syna Jamesa Stuarta. Czas mija. Murray nie wraca. Karol Edward szarpie się i zżyma. Nie chce się wycofać, a nie może iść naprzód. I denerwuje go w najwyższym stopniu jego obecny sposób życia. Przywykł do dworskiego ceremoniału, choć chętnie by go zamienił na najsurowsze nawet trudy wojennej kampanii. Rzym przyzwyczał go do wesołości, rozrywek, pochlebstw dworaków, zachwyconych spojrzeń kobiet. We Francji jest nikim. Jakiś rzekomy pseudokról, którego król-słońce odtrąca, bo na razie nie może się nim posłużyć. Arystokracja naśladuje dwór królewski. Nie ma zaproszeń dla Karola Edwarda. Mało kto się ukloni, zdejmie kapelusz, pozdrowi. Ludzie, u których zamieszkał, szkoccy bankierzy, kupcy, przebywający na wygnaniu, bo tu mogą zbijać fortuny, okazują mu respekt, ale to nudzi mieszczanie. Ich stoły uginają się od jadła, ich piwnice pełne są trunków, ale brak im dworskiej ogłady. No, i nieustannie hamują porywczosć księcia.

29

A Murraya wciąż nie widać. Inni przybywają ze Szkocji; starsi mężczyźni, którzy pamiętają porażkę 1715 r.

— Gzy Murray przygotowuje powstanie? — dopytuje się

ksiąŜę.

Odpowiedzi wymijające. Lepiej się nie angaŜować. — Jak

ocenicie szanse zwycięstwa? — nalega ksiąŜę.

— NaleŜałoby zapewnić sobie pomoc Francuzów — odpo-

wiadają mu przezornie. W rozmowie z Sir Thomasem Sheri-
danem, w jego własnej komnacie, okazują więcej szczeroci.

— Bez Francuzów nie ma Őadnej szansy... Murray robi wiele
hałas, ale niczego nie osiągnie...

Sir Thomas przestrzega księcia, Őe ci, co ostatnio przybywają
ze Szkocji, nie wierzą w moŐliwość zwycięstwa.

— Starzy, spróchniali głupcy! — woła ksiąŜę. — KaŜdy

z nich woli, pojękując, umierać w łośu, niŜ zginąć chwalebnie
na polu bitwy! Potrzeba mi ludzi młodych, porywczych, o go
rącej krwi, która wzywa ich do czynu, do bohaterstwa!

Te namiętne słowa ksiąŜę zwraca niezbyt taktownie do starego
guwernera, który ma blisko siedemdziesiątkę. A zarazem jest
swemu pupilowi prawdziwie wierny i oddany, pragnie iŐć
naprzód, ale do zwycięstwa, nie jako gracz w hazard, rzucający
kości na los szczęŐcia.

Karol Edward nie ma, praktycznie biorąc, grosza za pazuchą.

Ale w jego kamizelkę wszyte sã klejnoty wielkiej ceny — wkład
jego ojca na rzecz powstania.

— Weź te klejnoty i poŐycz mi w zastaw pieniędzy — mówi

ksiąŜę do Eneasza.

— Uczyniłbym to z chęcią, mości ksiąŜę — odpowiada bankier. — Ale ja zwijam wszystkie moje sprawy tutaj. Gdy poŝegłujesz do Szkocji, mój ksiąŜę, ja będę u twego boku...

Książę ujmuje rękę Eneasza w obie swoje.

— Oto pierwszy znak zaufania! — mówi. — Z głębi serca ci dziękuję! Nawet gdybym się miał wyprawić sam, nie ważałbym się wcale, ale im więcej wiernych i oddanych przyjaciół, tym lepiej!

Wynaleziono innego bankiera, nazwiskiem Waters, który poŝyczył sto dwadzieścia tysięcy funtów. Książę ma teraz zajęcie: odwiedza wytwórnie armat, broni ręcznej, amunicji, zamawia, planuje.

I w końcu, z początkiem lutego 1745 r. John Murray powraca, Lord Elcho został w Szkocji. Murray udaje pewność siebie, zapał:

— Gdy tylko wasza książęca wysokość podniesie sztandar,, klany stłoczą się wokół niego!

— Które klany się przygotowują, ilu ludzi? — pyta książę, oŝywiony, pełen zachwytu.

Ale na to pytanie nie otrzyma rzeczowej odpowiedzi.

— Otóŝ, oni, ŝe tak powiem, szykują się... Z ostateczną, mobilizacją czekają przyjazdu waszej książęcej wysokości. Gdy tylko staniesz na szkockiej ziemi...

— A nasi poplecznicy w Anglii?

— Dziesiątki tysięcy katolików przyłączy się, gdy tylko wasza książęca wysokość przekroczy granicę...

Podobnymi słowy stronnicy Marii Stuart zachęcali niegdyś:

króla Filipa hiszpańskiego, by wysłał przeciw Anglii swoją Wielką Armadę. Ale gdy Wielka Armada przybyła na morza wokół

angielskiej wyspy — nawet katolickie koty nie miauknęły przeciw

Elŝbiecie, panującej protestanckiej monarchini. Karol Edward

spiesznie prześlizguje się ponad takimi niewygodnymi analogiami

historycznymi.

— Diuk Perth jest zdania, Œe obejdziemy się bez francuskiej pomocy! — ciągnie Murray.

— Diuk Perth? Szlachetny człowiek! Jeśli on jest takiego mniemania, na Boga! To dość. Jutro, mój drogi Murrayu, wracasz do Szkocji. Powiedz im, Œe w ciągu miesiąca stanę-przed klanami. Moje przygotowania są juŜ zaawansowane. Odesłałem precz od siebie tych ludzi starych, zmurszałych, posępnych, kraczących jak kruki. Zgromadziłem przy sobie młodych, śmiałych, ci mi będą towarzyszyć!

Nareszcie!

Nareszcie!1

Do

czynu!

Śmiałe

przedsięwzięcie!

Rzeczywiście, odesłał starych, ale nie wszystkich, Jest przy nim Sheridan, jest diuk Adioll, który opuścił swoje schronienie w innej prowincji Francji, gdzie Źył jako banita od 1715 r. Stary diuk ma szósty krzyŹyk na karku i jest na wpół sparaliŹowany od reumatyzmu. W tym samym wieku jest Sir John Macdonald, który przez wiele lat słuŹył w hiszpańskiej kawalerii. Pozostali towarzysze księcia lepiej się nadają na uczestników desperackiego przedsięwzięcia. Eneas Macdonald. Ojciec George Kelly, od dawna spiskowiec jakobitów, wymowny, często złośliwy, wysoki i pięknie zbudowany, z postawy podobny do samego księcia.

Kapitan John O'Sullivan, irlandzki poszukiwacz przygód, słynny z odwagi i z bohaterskich wyczynów, jakich dokonał z wojskami francuskimi na Korsyce, we Włoszech i nad Renem. Wreszcie pułkownik Francis Strickland, pochodzący ze starego jakobickiego rodu, osiadłego w północnej Anglii.

KsiąŹę zatrzymuje przy swojej osobie Sheridana i Eneasa, wyprawiając resztę do Nantes, u ujścia Loary.

— Znajdźcie dla nas kwatery — rozkazuje. — Nie sądzę, by francuskie władze nam przeszkadzały. Król aŹ nadto rad będzie, Źe się mnie pozbywa. Ale strzeŹcie się angielskich agentów i szpiegów. W Źadnym domu nie pomieŹcie więcej, jak dwóch z nas. I nazywam się Douglas.

— Czy mamy rozejrzeć się za statkami? — pyta kapitan

O'Sullivan.

— Potrzeba nam co najmniej dwóch statków. Przybędę z
bronią i amunicją. Nie zwrócą chyba na nas większej uwagi, bo w
Nantes wciąż się zbroją i szykują różne ekspedycje morskie. Ale
dla ostrożności będę wysyłał broń partiami, co parę dni.
Książę umie szybko powziąć decyzję, wydaje rozkazy ener-
gicznie, władczym tonem. Rwie się do realizowania planu,
ułożonego przed blisko rokiem wspólnie ze starym guwernerem i
szkockim bankierem. Ale broń, o której mówi, jest dość uboga.
Dwadzieścia lekkich działek polowych, tysiąc osiemset

szabel, tysiąc pięćset fuzji z prochem i kulami. I z tą bronią ksiąŜę chciałby zdobyć trzy trony!

Karol Edward przyjeŜdŜa do Nantes. Jego wysłannicy dobrze się sprawili. Księcia wraz z jego lokajem ulokowano w skromnym domostwie. Do ojca pisze z humorem:

„Obywam się jednym sługą, chodzę z nim 'kupować ryby i targuję się z przekupkami... Nikt nie wie, gdzie przebywam. DuŜo tu jest Szkotów i czasem mówią mi w twarz „ostatnie wiadomości" o mnie samym, co jest bardzo zabawne...”

Gdy członkowie „desperackiego przedsięwzięcia" spotykają się przypadkiem na ulicy, mijają się obojętnie, jakby się wcale nie znali. Zabawa w spiskowców!

W pobliskim pałacu Navarre mieszka ksiąŜę de Bouillon.

Posłyszawszy o przybyciu incognito księcia do Nantes, zajeŜdŜa przed skromne domostwo wspaniałym ekwipaŜem, z tarczami herbowymi błyszczącymi na drzwiczkach.

— AleŜ wasza ksiąŜęca wysokość nie moŜe tu pozostać! —

nalega. — Nie uchodzi! Godność tytułu, osoby, nie pozwala...

— Ale skąd wiedziałeś, mości ksiąŜę, Őe ja tu jestem? — pyta naiwnie Karol Edward.

KsięŜę de Bouillon wybucha śmiechem.

— Mój kochany królewiczu, całe Nantes wie o tym!

I na tyle się zdała maskarada płaszczu i sztyletu! Karol Edward

wzrusza ramionami: nie będzie się przejmował. Książę de

Bouillon zabiera go do swego pałacu i tam — gdy działa, szable i

fuzje małymi partiami, chyłkiem przewożone są do portu — Karol

Edward znowu na krótki czas używa rozkoszy dworskiego życia.

Bale, zabawy, przyjęcia, na które przybywają przedstawiciele

okolicznej arystokracji francuskiej. Piękne panie, polowania,

konna jazda.

Jego siedmiu towarzyszy spiskowców odwiedza go, relacjo-

nuje o przygotowaniach. W kwietniu przybywają kapitan

O'Sullivan i Eneas Macdonald:

— Mamy statki, wasza książęca mość! — komunikuje

dumnie Irlandczyk.

Eneasz objaśnia:

— Mój rodak i stary przyjaciel, kapitan Antoni Walsh, kupiec, armator i Œęglarz, podjął się przewieźć waszą ksiąŜęcą mość do Szkocji na swoim brygu, nazwanym „Doutelle”.

— A pewien mój rodak — podejmuje opowiadanie O'Sullivan — dostał listy kaperskie na krąŜenie w pobliŜu wybrzeŜy Szkocji na francuskiej fregacie wojennej „Elisabeth” o sześćdziesięciu działach. W tej chwili zawinęła do Bordeaux dla wyekwipowania. Za kilka dni będzie gotowa, przyplynie do Nantes, i załaduje tabory waszej ksiąŜęcej mości...

— ... wraz z siedmiuset ludźmi piechoty morskiej, których zwerbowaŒmy przy pomocy francuskich oficerów w porcie — przerywa Eneasz.

— Wspaniale! — wykrzykuje ksiąŜę. — Winienem wam najgłębszą wdzięcznoŒć. Nareszcie do akcji! Jestem gotów!

— Jeszcze nie wszystkie zapasy przybyły, wasza ksiąŜęca mość.

— Będę w gotowości. I niechaj wszyscy trzymają się w pogotowiu, byŒmy mogli ruszyć z godziny na godzinę. Kiedy „Elisabeth” nadplynie i załaduje arsenał — ani dnia zwłoki!

Na co ksiąŜę de Bouillon dodaje rzeczowo:

— Za pozwoleniem — pogody!

Więc jeszcze minęło parę tygodni czekania. KsiąŜę niecier-

pliwiał się i zŚymał. Ale z Flandrii nadeszły dobre wieści. Bry-
tyjskie, holenderskie i hanowerskie wojska pod dowództwem
księcia Cumberland, syna „uzurpatora”, który zajmował tron
Jamesa Stuarta, poniosły ciężką klęskę w bitwie pod Fontenoy.
— Każde pęknięcie w angielskiej zbroi osłabia ich — mówi
książę. — Nasz marsz ze Szkocji na południe będzie pochodem
triumfalnym! Mają tam tylko surowy materiał rekrucki,
by przeciw nam postawić!

Księżciu brak broni, brak — jak dotychczas — nawet wojska,-
ale ma pod dostatkiem ufności. Cecha bardzo użyteczna, jeśli
oparta na rzeczowych podstawach.

Do St. Nazaire zawija „Elisabeth”. Książę pisze do ojca:

„Na francuskim dworze tak mnie haniebnie potraktowano, Œe nawet, gdybym nie związał się słowem, i tak musiałbym w imię mojej czci i mego honoru pójść wespół z przyjaciółmi i z nimi zginąć...”

Rozumowanie grzeszy brakiem konsekwencji. Czemu inni — zwolennicy i wrogowie — mają zginąć dlatego, Œe księcia haniebnie potraktowano na francuskim dworze? Wreszcie zakończenie:

„Postanowiłem ostatecznie zwycięŒyć albo zginąć...”

Wniosłe słowa. Karol Edward wierzy w nie zupełnie szczerze. Ale do podboju, do zwycięstwa, trzeba czegoś więcej prócz śmiałych słów. Zdolności militarnych, zimnej krwi, zdrowego rozsądku.

Dnia 22 czerwca dwaj angielscy duchowni wchodzą w St.

Nazaire na statek „Doutelle”, którym dowodzi osobiŒcie kapitan Antoni Walsh. Jednym z rzekomych „duchownych” jest George Kelly, który chwilowo zmienił sutannę katolicką na ubiór pastora.

Drugi — wysoki, jasnowłosy, urodziwy — od niedawna zapuŒcił brodę, która ma z lekka rudawy odcień. Lokaja zostawiono — a prawdę rzekłszy, on sam został — po prostu zdezerterował. MoŒe to i nie było dziwne, Œe nie chciał ryzykować swej francuskiej szyi dla sprawy, która go nie obchodziła. Karol Edward próbował wyperswadować Sir Thomasowi Sheridanowi udział w tak

hazardowej wyprawie — ale stary gubernator potrafi być równie uparty, jak jego dawny pupil. Nie opuścił księcia.

„Elisabeth” jeszcze nie gotowa. Wynika jakaś zwłoka z listem kaperskim. Kapitan twierdzi, że wszelkie przeszkody niebawem będą usunięte. „Doutelle” seglują do Belle-Ile, gdzie ma oczekiwać na towarzyszący jej okręt. Książę-„pastor”, zniecierpliwiony ponowną zwłoką, śle wiadomość do Johna Murraya z Broughton i tych, którzy mają zajmować się przygotowaniem do jego przybycia, że już wyruszył.

Tak więc, zanim dwa statki opuszczą Belle-Ile, goniec księcia przybywa do Szkocji. Konsternacja! Nic nie zrobiono prócz

gadania. Większość najwaŜniejszych klanów góralskich nawet nie została powiadomiona o planach księcia. Sprawozdania Murraya opierały się głównie na ogólnikowych rozmowach z rzekomymi konspiratorami w edynburskich tawernach, ludźmi odwaŜnymi tylko z kielichem w rękę. Nie rozpoczęto negocjacji z jakobitami w Anglii. KaŜdy mówił: „Czekajcie przybycia księcia!” Ale teraz, gdy ksiąŜę jest w drodze, ślą na gwałt Johna Murraya, by zaklął księcia, niech nie ląduje, jeśli mu głowa miła!

Prawdę rzekłszy, wszystko wskazuje na to, Őe ksiąŜę wcale swej głowy nie ceni.

Przed przyjazdem Murraya, „Elisabeth” pod kapitanem Patrickiem Donardem przyłącza się do „Doutelle” koło Belle-Ile. Dnia 5 lipca dwa statki rozwijają Őagle. Mają Őeglować Morzem Irlandzkim, między Anglią a Irlandią, i tak dotrzeć do zachodnich wybrzeŜy Szkocji.

O parę mil od przylądka Lizard, najdalej na południowy zachód wysuniętego punktu Anglii, z bocianiego gniazda na „Doutelle” rozlega się okrzyk:

— Wielki statek za lewą burtą!

Dwa statki, „Doutelle” i „Elisabeth” Őeglując na północ, mają dogodną południowo-wschodnią bryzę w Őaglach. Skręcają na zachód. Kapitan Donard wysuwa swój okręt między obcy statek, a statek wiozący księcia. Ale obcy, lepszy Őeglarz, dogania ich.

Wkrótce już widać angielski sztandar. Kapitan Walsh zwraca się

do księcia:

— Zobligujcie mnie wasza księżęca mość, jeśli zechce zejść

pod pokład.

— Ale przecieŜ mój strój...! — odpowiada księżę, wskazując

na swoją pastorską sutannę. — Nikt mnie nie pozna!

— Proszę mi wybaczyć, ale to dziecinada! — replikuje bez

ogródek kapitan.

„Duchowny” księżę wzrusza ramionami i schodzi pod pokład

w ślad za ojcem Kelly.

Napadającym okrętem jest H.M.S. „Lion”, angielska fre-

gata o pięćdziesięciu ośmiu działach. Sygnalizuje, by „Elisabeth” zatrzymał się. Kapitan Donard nie zwraca uwagi. Pierwszy ostrzegawczy strzał pada z pokładu „Lion” przed rufą „Elisabeth”. Kapitan Donard zawraca swój okręt i odpowiada salwą boczną. Bitwa rozpoczęta.

Kanonada, huk dział — tego za wiele dla Karola Edwarda.

Jego opanowanie nie wytrzymuje próby. Gwałtownymi ruchami zdziera z siebie odzież. Ojciec Kelly pyta:

— AleŜ, wasza wysokość! Go...?

— Bitwa! Bitwa o moją skórę, a ja mam kryć się w kajucie, przebrany w te... te... — pogardliwym gestem wskazuje rzuconą sutannę i czarny okrągły kapelusz.

Ojciec Kelly nie jest tchórzem. I juŜ spędził czternaście lat w więzieniu w Tower of London za spiski mające na celu przywrócenie tronu Stuartom. Ale odwaga nie równa się szaleństwu.

— Wasza ksiąŜęca wysokość, to do niczego nie doprowadzi!

Tam nie walczą na szable i pistolety! Jeszcze nie czas naraŜać Ŝycia. Bo w ten sposób tylko dobro całej sprawy wystawia wasza ksiąŜęca mość na hazard...

Książę jest juŜ ubrany — strojny, jak na bal — koronki przy szyi i u rękawów, kapelusz ze złotym szamerowaniem, szabla u boku. Biegnie na pokład. Oba okręty, „Elisabeth” i „Lion” spowite

są w kłębach dymu. Działa grzmią. Na chwilę wiatr rozpędza
dymy: reje zwisają, Œagle w strzępach. Bitwa trwa. Dwa okręty
manewrują i wybijają dziury w swoich kadłubach...
Przez chwilę kapitan Walsh, zajęty bitwą — siły wyrównane,
60 dział przeciw 58 — nie zdaje sobie sprawy, Œe jego królewski
pasaŒer stoi tuŒ za nim.

Nagle słyszy głos księcia:

— Anglicy zatopia „Elisabeth”. Musi pan włączyć się do
bitwy, kapitanie Walsh.

— Gdybym nie miał waszej ksiąŒęcej mości na pokładzie,
zrobiłbym to, i z ochotą! — odpowiada kapitan.

— Niechaj moja obecność nie powstrzymuje, a raczej rozgrzewa do walki!

— A to bym się ładnym przyjacielem naszej sprawy okazał, gdybym dla szalonego wyczynu naraził waszą ksiąŜęcą mość na zatonięcie albo niewolę jeszcze przed wylądowaniem na szkockiej ziemi...

— To nam nie grozi...

— Grozi jak najbardziej, mości ksiąŜę! Jedna celna salwa boczna i nasza łupina pójdzie na dno... — kciukiem wskazuje w dół.

— Ale co będzie z „Elisabeth”, kapitanie Walsh?

— Ten okręt musi się sam o siebie zatroszczyć, i o ile widzę, potrafi to niezgorzej. Ale waszą ksiąŜęcą mość muszę poprosić, byś zechciał bez zwłoki wrócić do swojej kabiny. Nie mogę ryzykować, by go jakaś zabłąkana kula trafiła!

— Zostanę tu — odpowiada z uporem ksiąŜę. — Na moją własną odpowiedzialność.

— Wasza ksiąŜęca mość zechce nie utrudniać mi zadania. Ryzyko jest zbyt wielkie.

— Chciałbym, by było większe. Wprowadź okręt do bitwy, kapitanie! Donard pomyśli, Őe jestem tchórzem.

— A jeśli się przyłączymy, Donard pomyśli, Őe jestem durniem! — wybucha Walsh, zapominając o dwornych tytułach,

którymi do tej pory hojnie szafował i nie dbając o implikację własnych słów. Ale opamiętał się zaraz: — Wasza ksiąŜca mość!

Zaklinam!

— Nie będziesz waść walczył — mówi Karol Edward z szyderstwem w głosie. — A ja nie zejdem na dół. Jestem synem twojego króla.

— Nie boję się Œadnej walki, jeśli ona moŜe się na coś przydać! I uznaję syna mego pana i władcy! — Spiesznie przyklękając, Walsh całuje rękę księcia. Po czym wstaje i mówi dalej ze spokojną, zawziętą determinacją: — Ale zmuszony jestem przypomnieć waszej ksiąŜcej mości, Œe jestem kapitanem tego okrętu. Na morzu moje rozkazy są definitywne,

3S

wszystko jedno, kto byłby pasażerem. Będzie to straszne dla mnie, jeśli zostanę zmuszony wydać rozkaz... i dopilnować wykonania tego rozkazu!

Towarzysze księcia gromadzą się dookoła jego osoby. Co najmniej czterech z nich — Eneas, O'Sullivan, ojciec Kelly i Strickland — będą się zapewne dzielnie sprawiać w walce wręcz z marynarzami, na którą się zanosilo. Ta perspektywa nie przeraŜa wcale kapitana Walsh. Ale ksiąŜe staje wobec dylematu: jeśli dojdzie do walki wręcz — co on ma począć? Przyglądać się, gdy jego przyjaciele biją się za niego? Czy teŜ przyłączyć się i przekreślić majestat swojej osoby? Nie uniknie tego wyboru! Tym

razem zdecydowana wola walki jego przyjaciół sprawia, że walka jest niemożliwa. Królowa odwraca się i opuszcza mostek kapitański. Pierwszą porażkę, wywołaną własnym brakiem roztropności, poniósł z rąk rodaka Szkota.

Bitwa szaleje przez pięć godzin. Wreszcie nadchodzi moment, gdy obaj antagoniści równocześnie zaprzestają ognia, jak wyczerpani zapasnicy, którzy opuszczają w ostatecznym umęczeniu ręce. „Elisabeth” informuje „Doutelle” o odniesionych uszkodzeniach i stratach w ludziach tak poważnych, iż musi zawrócić do najbliższego francuskiego portu Brest. Na szczęście i „Lion” jest w takim stanie, że może tylko, ignorując „Doutelle”, postawić resztki sił i kulejąc uciec do ojczyzastego portu.

Królowa, któremu teraz pozwolono wyjść na pokład, ponownie w swoim pastorskim przebraniu, śledzi wzrokiem „Elisabeth”, skręcającą na południe. Jeden maszt ścięto, reje i takie -lunek wyglądają jak jedna poplątana masa, przechyla się silnie. Niesie ze sobą wszystko prawie, co Karol Edward mógł zakupić za owe pożyczone 120 tys. funtów — i tylu, ilu przesyła, z siedmiuset marynarzy, zwerbowanych w Nantes.

Jeszcze widać wyraźnie, jak przez burtę „Elisabeth” zsuwają do morza szeregami owinięte w płótna długie pakunki. Pierwsi, którzy zginęli za sprawę młodego człowieka, upominającego się o tron ojcowski. A ilu jeszcze? Jedno z wielu, pada w morze ciało Irlandczyka, kapitana Patricka Donarda.

Walsh podchodzi do księcia, skruszony.

— Ufam, że wasza księca mocze mi wybaczyć...

Karol Edward nie chowa urazy. A chwila zastanowienia pozwoliła mu ocenić dzielnego kapitana.

Lekkim gestem, z uśmiechem, po rycersku przekreśla akt obrazy majestatu.

— Jeśli spełnię moje obowiązki równie dobrze, jak pan swoje, kapitanie, nie będę miał powodu się wstydzić.

Takimi gestami Młody Pretendent rzucał czar na tych, którzy szli za nim. Takimi gestami i pełną poświęcenia determinacją.

Teraz, gdy Sir John Macdonald proponuje:

— My również musimy zawrócić; wasza księca mocze nie może przybyć do Szkocji bez broni, amunicji i bez żołnierzy...

Księżę potrząsa głową.

— Nie zawracamy — mówi. — Nie zawrócimy nigdy.

Zawsze naprzód.

Z takich słów powstaje legenda.

Rozdział IV

LOCHIEL ŁAGODNY

„Doutelle” podchodził do Wysp Hebrydzkich przy zachodnich wybrzeżach Szkocji. Diuk Atholl, stojąc na pokładzie obok czarno odzianego księcia, spogląda w górę i kręci głową, śledząc lot orła, nadlatującego od pobliskich gór.

— Król ptaków nadleciał, by powitać przybywającego do

Szkocji królewicza — powiada.

Karol Edward ma zawsze gotową odpowiedź. Mówi z

uśmiechem:

— Oby jego powitanie zwiastowało mój triumf!

W pobliżu Kilbride na wyspie South Uist, jednej z większych

spośród pięciuset wysp, które składają się na archipelag

Hebrydów, a z których ledwie jedna piąta jest zamieszkała — żyje

jeszcze jeden Macdonald; mnożą się ci Macdonaldowie na

wyspach i na Zachodnim Pogórzu, gdzie właściwie mówiąc, pa-

nują jak udziałni księcia. Ten zwie się Macdonald z Boisdale.

Księżciu bardzo zależy na spotkaniu z nim. Kapitan Walsh zgadza

się rzucić kotwicę w przystani, którą zna, po zachodniej stronie

wysepek Eriškay, a 3 km na południe od South Uist.

George'a Kelly wysłano do Boisdale jako emisariusza. Księżę,

zmęczony podróżą morską, chce wysiąść na wyspie, przejść się,

rozprostować nogi. Do łodzi, która zabiera ojca Kelly do Kilbride,

wsiadają więc razem z księciem Sir Thomas Sheridan, kapitan

O'Sullivan i Eneas.

Zrywa się wiatr, chmury przesłaniają słońce, to znowu przelatują i promienie rozbłyskują ponownie. Fale idą coraz burzliwsze. Wszystko wokół wydaje się posępne i gwałtowne: morze, wybrzeża, niebo. Ptaki krążą nad głowami, po czym ulatują na wschód, w stronę lądu i schronienia. Obłoki gnają po bardzo bladym niebie, słońce świeci jaskrawo, na horyzoncie gromadzą się czarne masy chmur.

Irlandczycy — Kelly, Sheridan, O'Sullivan — wymieniają ze Szkotem Eneaszem znaczące spojrzenia. Są zabobonni, to u nich we krwi. Burzę, która podczas narodzin Karola Edwarda zniszczyła Hanower, uważano za złowieszczy znak dla hano-werskiej dynastii. Ale co, jeśli burza powita wysiadającego na szkockiej ziemi księcia...?

Łódź dobija brzegu — szerokiej, srebrzystej przestrzeni piasku pod zielenią zboczy. Jeden z marynarzy wyskakuje do płytkiej wody, próbuje wciągnąć łódź.

— Nie da rady — powiada. — Tu się nie da dalej wciągnąć. Za przeproszeniem waszej księżęcej mości, trzeba będzie wsiąść mi na grzbiet!

Dnia 2 sierpnia 1745 r. Karol Edward po raz pierwszy staje na ojczystej szkockiej ziemi, wśród szarych skał, na skraju białej plaży. U jego stóp jest wybrzuszenie podłoża o barwie spłowiałej krwi. Na ten widok towarzysze księcia marszczą brwi. Łódź

powoli odpływa na północ, O'Sullivan woła do ojca Kelly.

— Zabierz nas w powrotnej drodze!

Czarne chmurzyska nadciągają groźnie. Wiatr wyje. Ale

ksiąŜę jest w doskonałym humorze.

— Nareszcie w ojczyźnie! — mówi.

Stary Sir Thomas znajduje schronienie w opuszczonym sza-

łasie o trzech ścianach tylko. Inni zabawiają się chwytaniem rę-

koma flader w płytkich zatoczkach wokół skał. Przynoszą je do

szałas, gdzie O'Sullivan roznieca ogień z mchu i zabiera się do

pieczenia ryb. Karol Edward siada na stosie torfu i mówi ze

śmiechem:

— Gdy dotrzemy do pałacu Holyrood w Edynburgu, będzie my ucztować bardziej po królewsku. Ale wątpię, czy więcej nam to sprawi radości!

O ileŜ bardziej woli takie przygody od domatorskiego stylu Őycia paryskich bankierów i kupców!

Po tym posiłku wychodzą przed szalas. Wicher się wzmaga.

Fale biją o skały, rozbryzgując daleko białą pianę. Morze na przestrzeni między wyspą a statkiem „Doutelle” jakby oszalało w gniewie. Kapitan Walsh sygnalizuje, Őe musi zabrać statek dalej.

JeŐi tutaj zerwie się z kotwicy, roztrzaska się w drzazgi.

Czarne chmurzyska juŜ s nad głowami, dookoła, wszędzie.

Jest ledwie wczesne południe, ale ciemność panuje, jakby o zmierzchu.

— Ojciec Kelly nie dotrze tutaj dzisiaj — mówi Eneas. —

Musimy poszukać schronienia na noc, wasza księca mość.

Jeszcze poprzednio dostrzegli w oddali, na wyspie, zagrodę.

Teraz miga tam Őwiatelko, wskazując im drogę. Padają pierwsze, cięŜkie krople deszczu: id ku zagrodzie, pewni dobrego przyjcia.

Zgodnie z prastar tradycj podróŜny, ktrego chwyci burza czy noc w drodze, przyjmowany jest w grach Szkocji z najwiksz goŐcinnoŐci. W szalasie, chacie, czy dworze — wszędzie podziel się z nim wszystkim, co jest w domu — czasem uboga to goŐcinnoŐć, ale zawsze z caego serca.

W chacie mieszka samotny rybak, barczysty i brodaty. Zaprasza podróżnych do wewnątrz.

— Widziałem wasz statek — powiada. — Cóż wy tu robicie?

Królewscy ludzie w poszukiwaniu przemytników? Nie ma takich na Eriskay.

Z powątpiewaniem spogląda na księdza. O'Sullivan wyjaśnia, że ten młodzieniec chciał zobaczyć góry, nim się zamknie w dolinnej parafii.

W chacie jest jedna jedyna prymitywna izba z dziurą w dachu na odpływ dymu, z drewnianym stołem, stanowiącym całe właściwe umeblowanie. Niewiele dymu ulatnia się przez dziurę w dachu: wszystko wydaje się trwać w izbie. Rybak zaprasza

gości, by usiedli na drewnianych klocach, na pryczy, na złoŝonych kocach, na trójnoŝnym stołku. W chwilę później rzekomy ksiądz zrywa się znowu na nogi, chodzi tam i z powrotem po izbie.

Rybak, mieszając zręcznie owsiankę w ŝelaznym kociołku wiszącym nad ogniem, przypatruje się tym wędrownikom z widoczną dezaprobatą. Duchowny kaszle, podchodzi do drzwi, otwiera je. Wiatr uderza go w twarz. Zamyka pośpiesznie. Ale nie przywykł do czadu ogniska z torfu. Dusi go kaszel. Sir Thomas podchodzi do niego, ale cofa się, odtrącony. Potykając się, ksiąŝę idzie do drzwi i walcząc z wichurą wychodzi na dwór, w ulewę.

Rybak krzyczy do tamtych trzech:

— Co za bies go opętał, ŝe nie moŝe usiedzieć ani ustać, ani w chacie ani na dworze?

Tak brzmiały pierwsze słowa Szkocji do tego, który chciał się zwać księciem Walii i posiadał pełnomocnictwa swego ojca do występowania jako „Regent Szkocji, Anglii, Irlandii i dominiów przynaleŝnych do tych koron”.

Później, gdy juŝ goście podjedli, rybak rozwinął stos koców i — nieoczekiwanie — wy dobył z drewnianej skrzyni prześcieradła.

Pryczę przydzielono najstarszemu wiekiem. Sir Thomas nie moŝe protestować, musi uszanować ksiąŝęcę incognito. Duchowny sam troszczy się o posłanie dla starego guwernera, sprawdza, czy pościel nie wilgotna.

Rybaka znowu to gniewa:

— Co się tak kokosisz? Te prześcieradła byłyby i dla księcia
dość dobre!

Tak wyglądała pierwsza noc prawnuka króla Jana Sobieskiego
w jego szkockiej ojczyźnie.

Rankiem sztorm się przesilił, niebo pojaśniało. Ojciec Kelly
przybywa wraz z Macdonaldem z Boisdale. „Doutelle” znowu
podchodzi bliżej do wyspy Eriskay. Angielski duchowny i jego
druhowie Ŝegnają się ze swym gospodarzem, wciskając mu na
poŜegnanie złotą monetę w dłoń.

Eneasz Macdonald, Sir John Macdonald, Macdonald z Boisdale. Tylu tych Macdonaldów! A to przecież dopiero początek! Kronikarz dziejów Szkocji znajduje swą drogę usianą ludźmi, noszącymi jedno i to samo nazwisko, nazwisko ich klanu: Macdonaldowie, Gambellowie, Gameronowie, Mackintoshowie, Forbesowie, Macgregorowie, Murrayowie. Niełatwo się w tym wyznać. W naszym opowiadaniu posłuŹymy się zwyczajem, stosowanym przez Szkotów samych, rozróżniania członków tego samego klanu mianem ich miejsca pochodzenia lub zamieszkania. Tak więc wodza Macdonaldów, którego Kelly przywozi teraz do księcia, zwano po prostu Boisdale.

Na pokładzie „Doutelle” Boisdale — pięćdziesięcioletni, ale jeszcze krzepki, barczysty, niezwyklej siły fizycznej — przyklęka na jedno kolano i całuje rękę księcia. Karol Edward mówi mu o swojej wyprawie z entuzjazmem, młodzieńczym zapałem, wiarą we własne siły. Ale brew Boisdale'a się chmurzy.

— Z całym respektem uznaję pragnienie waszej księżęcej wysokości odzyskania tronu ojców. I cenię umiłowanie przygód, które przystoi młodemu. Ale przygody to rzecz jedna, a powołanie to rzecz zupełnie inna. Tej wyprawy nigdy powodzenie nie uwieńczy. Wasza księżęca wysokość nie zgromadzi dość ludzi, by osiągnąć swój cel. ToteŹ jestem zdania, Źe dalsza droga byłaby desperacka. Nie cofam lojalności, powinnej waszej

książęcej wysokości i jego królewskiemu ojcu. Ale mogę tylko doradzać, byś zechciał wracać do domu.

Słowa nie bardzo zachęcające. Jednak słowa nie zawrócą księcia.

— Toś ja jestem w domu! — odpowiada. — I nie będę słuchał o wyjeździe! Ufam głęboko, że wierni górale staną u mego boku.

— Zapewne, niektórzy wierni górale staną u boku waszej księżniczki. Ale ilu padnie?

— Kto śledzi po morzach, nie lęka się utonięcia — odpo-

45

wiada księżniczka. — Kto podejmuje wielkie przedsięwzięcie, nie może liczyć kosztów, ani lękać się upadku.

Macdonald z Boisdale pozostaje nieufny, niespokojny. Śmiało przedsięwzięcie i niechętna przezorność. Eneasza usiłuje przerzucić most przez tę przepaść. Mówi do Boisdale'a:

— A jeśli mój brat, Kinlochmoidart, zgłosi swój akces — czy wówczas pójdziesz i ty?

— Tak. Jeśli on przyprowadzi do boku waszej księżniczki swój liczny klan, ja przyprowadzę moich niewielu.

— W takim razie, mości księżniczko, musimy udać się w głąb lądu

— powiada Eneasza.

Kapitan Walsh prowadzi „Doutelle” na południowy wschód, mijając wyspę Rum, wchodzi w ujście jeziora Loch nan Uamh —

wąski kanał między okręgami Moidart na południu a Arisaig na północy. Kraina skalista, górską, surowa, gdzie z trudem człowiek wyŚyć moŚe na wąskich skrawkach uprawnej ziemi tuŚ nad zdradzieckim, pełnym mielizn morzem.

Biegną gońcy na północ, wschód i południe, do wodzów największych klanów. Padają deszcze i chociaŚ to sierpień, zimne wiatry przejmują chłodem. Na pokładzie „Doutelle” wzniesiono namiot, który ma pełnić rolę sali audiencjonalnej. Przygotowano zimne mięsa, wino i mocniejsze trunki, by podejmować gości. Do pierwszych naleŚał bard z okolicy, który zamierzał tylko odwiedzić przybywający statek, co nie naleŚało do częstych zdarzeń w tych okolicach. Później tak opisywał swoje pierwsze spotkanie z Karolem Edwardem:

„Do namiotu wszedł wysoki młodzieniec niezwykle przyjemnej powierzchowności, w czarnym prostym stroju, w białej, niezbyt czystej koszuli, białym sztywnym kołnierzyku spiętym srebrną sprzączką, zwykłym kapeluszu ze sznurkiem, umocowanym do guzika surduta, w czarnych pończochach i mosięŜnych klamrach przy pantoflach... Usiadł obok mnie, a ja podówczas miałem go za jakiegoś duchownego...”

Poeta ubrany w krótką spódniczkę z kraciastego pledu — i krótki kaftan. Nosi pled, przerzucony prze ramię. Książę pyta:

— Czy ci nie zimno, przyjacielu, w twoim góralskim stroju?

— Bynajmniej. Przywykłem do kiltu.

— A nocą, jeśli wypadnie jakiś nocleg przypadkowy, czy owijasz się w ten pled? Gzy nie czujesz, Őe ci to krępuje ramiona?

Jesteś wówczas nie przygotowany do nagłej obrony w razie niespodziewanego ataku?

Poeta dziwi się zainteresowaniu tego duchownego sprawami napaści, obrony, zaskoczenia. Ale odpowiada:

— W czasach niebezpiecznych, wojennych, posługujemy się inną metodą zwijania pledu, tak, Őe jednym skokiem moŐna zerwać się na równe nogi z dobytą szablą w jednej, a pistoletem gotowym do strzału w drugiej ręce.

Wkrótce ksiąŜę wstał i zawołał, by przyniesiono trunki. Ktoś z obecnych, zupełnie obcy, szepnął poecie do ucha, by nie przepijał do czarno ubranego młodziana, „co mnie utwierdziło w budzącym się we mnie podejrzeniu, kto to naprawdę jest...”

Przybywa Kinlochmoidart, a z nim najwyŐszy wódz wszystkich Macdonaldów, znany jako Clanranald. Nie rozwiązuje to jednak dylematu Boisdale'a. I oni się wahają. Wysuwają argumenty podobne do tych, którymi się zasłaniał Boisdale. Nie da się zgromadzić sił, wystarczających dla zapewnienia zwycięstwa.

Karol Edward nalega:

— Moi przyjaciele, jestem waszym księciem, synem waszego

prawowitego monarchy, Jakuba Ósmego szkockiego i Trzeciego angielskiego. Przybyłem z pustymi rękoma, bo moja broń i za pasy przepadły, utracone w bitwie morskiej z angielskim okrętem wojennym. A jednak przybyłem, by zdobyć z waszą pomocą tron Anglii, Szkocji, Irlandii! Czy mi jej odmówicie? Czy dacie mi iść naprzód samemu? Bo naprzód pójdę.

Połączył w sobie i ustokrotnił osobisty czar Stuartów i Sobieskich. Ma dar trafnego słowa, przemawiającego prosto do serca, gestu, chwytającego za serce. Jego osobista odwaga wzrusza tych ludzi, którzy prowadzą Śywot surowy, twardy, Śywot dawnych myśliwych, i którzy często walczą pomiędzy sobą.

Ale wciąż brak decyzji. Eneasza stara się namówić swego brata, ale nadaremno.

— Byłeś długo we Francji — odpowiada mu Kinlochmoidart. — Ja lepiej znam naszych ludzi. Ty możesz zdecydować sam za siebie. Gdy ja zdecyduję — zdecyduję za innych także, za cały klan, za mężczyzn, kobiety i dzieci...

Boisdale czeka na Clanranalda i Kinlochmoidarta. Ci z kolei oglądają się na jeszcze innego wpływowego wodza — Camerona z Lochiel. Chcieliby się upewnić co do liczebności powstania.

Dwaj następni, którzy przybywają, prędeż się decydują.

Macdonald ze Sleat i Laird of Macleod, którzy wspólnie mogliby przyprowadzić ponad dwa tysiące dzielnych wojowników, odrzucają namowy Karola Edwarda bez zastrzeżeń. Jeszcze jeden Macdonald, biskup Hugh, głowa duchowieństwa na całym szkockim wysokim pogórzu, oznajmia, że przedsięwzięcie to jest lekkomyślne, pochopne, przedwczesne i nie ma żadnych szans bez pomocy zagranicznych najemnych wojsk i dostaw. Książę ściszył sobie gorąco francuskiej pomocy, gdy był w Gravelines, ale teraz odpowiada chytrze:

— Nie chciałbym zawdzięczać przywrócenia memu ojcu tronu cudzoziemcom, ale moim własnym rodakom i przyjaciołom, którym powierzam zasługi i chwałę tego osiągnięcia...

Wodzowie wciąż się wahają. Ani jeden klan, nawet po-

mniejszy, nie zadeklarował dotąd swego poparcia bez zastrzeżeń.

Przesadnie wybujały optymizm Johna Murraya z Broughton, który we Francji zapewniał Karola Edwarda: „Wszystkie klany tłumnie staną u twego boku!” — okazuje się wyssany z palca. Ci przezorni wodzowie nie są tchórzami. Gotowi byłiby do hazardowego przedsięwzięcia,

gdyby

widzieli

choć

znikomą

szansę

powodzenia. Tymczasem wydaje się im, że ta wyprawa musi skończyć się klęską.

Może i nie mają racji, ale takie jest ich przekonanie.

Jak się zdaje, ani wodzom klanowym, ani księciu nie przyszło do głowy zastanowić się nad etyczną stroną problemu.

48

Mają sądzić od ludzi, by zaryzykowali swoje życie. Czy sprawa warta tej najwyższej ceny? Odzyskanie tronu Anglii dla

Stuartów... Uwzględnivszy zwykle narzekania na rząd, król Jerzy

II odpowiada swoim poddanym dość dobrze. Znosili jego

panowanie już przez osiemnaście lat. Nie jest geniuszem, ale nie

jest też tyranem. Samozwańczego Jamesa III naród angielski

właściwie nie zna. Też na pewno nie geniusz. A wywodzi się z

dynastii, która miała w Anglii skłonność do despotyzmu, z dynastii, której Edward członek, jako panujący monarcha, nie zdobył sobie trwałej popularności. James III nie ma nic do ofiarowania swoim angielskim poddanym, prócz zdławienia ich religii na rzecz wyznania, którego, jak tego jasno dowiedli, ani nie chcieli, ani nigdy by nie przyjęli.

Wyprawa Karola Edwarda przypomina zabawę małego chłopca, który widząc innego chłopca, stojącego na górze, zbiera swoich druhów do obalenia rywala. „Jestem królem na zamku!” Ale w udawanych bitwach małych chłopców nikomu krzywda się nie dzieje. Rezultatem wyprawy Karola Edwarda będzie — musi być — rozlew krwi, śmierć, prześladowania. Po to tylko, aby on stanął na wzgórzu, na którym w tej chwili stoi kto inny — chyba nie gorszy, może lepszy.

Gdy królowie władali krajem, mogły być słuszne powody do zastąpienia jednego monarchy innym. Mogły być osiągnięcia, usprawiedliwiające przelew krwi. Ale odkąd ludy ustanowiły inne metody rządów — za pomocą parlamentu — niewielkie ma znaczenie, jakie imię nosi marionetka w koronie. A z pewnością nie tak wielkie znaczenie, by usprawiedliwić rozlew krwi, śmierć, prześladowania.

Tymi sprawami książę nie zaprzęta sobie głowy. Karol Edward jest reliktem średniowiecza, dni rycerstwa, kiedy naturalnym obowiązkiem młodego mężczyzny było walczyć o przywrócenie

rodowi zaszczytów, do których rościł sobie pretensję, pomścić śmierć pradziada na szafocie i dowieść, że wojskowy geniusz drugiego pradziada odżył w potomku. Karol Edward jest człowiekiem nieskomplikowanym. Jego charakter nie ma

49

głębi. Próżny, romantyczny, prostoliniowy, mniej miewa wewnętrznych konfliktów, niż ludzie intelektu. Mniej wątpliwości co do motywów działania. Nie zawróca go z drogi obawy klęski — on sam wcale nie wątpi w powodzenie. A co do etycznej strony zagadnienia, ani mu to do głowy nie przyjdzie, jak zresztą łatwemu z wodzów klanowych. Powodzenie lub klęska — to jedyne problemy, jakie zna. Młodzieńczy, rozmiłowany w przygodzie duch gna go naprzód.

— Skoro tylko rozpoczniemy — rzecze — ludzie będą się do nas garnać, nabierzemy rozpędu i zatriumfujemy!

Może racji nie ma, ale tak właśnie czuje.

Decyzja — czy dalej do Szkocji, czy z powrotem na morze — zależy od Lochiela. A kto będzie miał słuszość — zuchwały czy przeczorny — tego nawet Lochiel nie rozstrzygnie.

Tymczasem przybywa Keppoch z Lochaber, chełpliwie zapewniając, że na jego słowo stanie pod bronią pięciuset ludzi.

Męczyzna olbrzymi, zwalisty jak góra, jasnowłosa, o ogorzałej twarzy, nosi tartan w kratę czerwono-czarną. Jego głos nie nadaje się do spisków — gdy mówi, ptaki w powietrzu się trwożą od

hałas. I kocha się w wojaczce.

Keppoch wysłuchawszy księcia, który już trochę znużonym tonem wyklada swoje racje, i nie czekając na zastrzeżenia Bois-dale'a, Clanranalda, Kinlochmoidarta, Sleata i Macleoda — ogłasza wszem i wobec:

— Jego księżca mość wystawiła na hazard swoją osobę, przybywając tutaj. Powierzyła się w ręce swoich przyjaciół.

Obowiązkiem naszego honoru jest bez śladnej zwłoki zgromadzić ludzi, choćby tylko po to, by osłaniać księcia! Takie jest moje zdanie i według niego będę postępował i nie dbam, *co* inni poczną!

Pierwszy stronnik, który nie wyraża śladnych zastrzeżeń. Czy Keppoch naprawdę może przyprowadzić pięciuset żołnierzy, to się dopiero okaże. Książę jest głęboko wzruszony. Oczy mu zachodzą mgłą. Ale poruszył się także Clanranald. Podchodzi po deskach pokładu do Keppocha z wyciągniętą ręką:

— Nie będę zwlekał dłuŜej - rzecze— Jestem z tobą!

Jestem z waszą ksiąŜcą mością!

W pierwszej chwili ksiąŜę ochrypniętym głosem ledwo moŜe

wymówić:

— Przyjaciele moi...

Ujmujcie ich prawe dłonie, łączy je uściskiem własnej prawej

ręki.

— Odtąd łączą nas nierozzerwalne więzy!

Lody przełamane. Brat Eneasza, Kinlochmoidart, takŜe wy-

cofuje swoje zastrzeŜenia. Za nim Boisdale.

Nadal jeszcze namyślają się Sleat i Macleod. Nadal Karol

Edward nosi sutannę. Nadal „Doutelle” kołysze się na łagodnych

falach fiordu Loch nan Uanh. Nadal niewielu jeszcze wie o tym,

Ŝe w zachodniej Szkocji przebywa zuchwały ksiąŜę. Nadal jeszcze

niepewność wisi w powietrzu. JeŜeli Lochiel się nie przyłączy, co

z „moimi przyjaciółmi”?

Lochiel jest juŜ w drodze. Odwiedza młodszego brata, który

go przestrzega:

— Zawracaj do domu! Za nic na świecie nie wystawiaj się

na magnetyczny urok — słyŜałem o nim nawet z Francji —

tego młodego królewicza. Ja znam ciebie lepiej, niŜ ty siebie

znasz! JeŜli staniesz przed księciem, on rzuci urok na ciebie

i będziesz tańczył, jak ci zagra! A jego melodia to desperackie

szaleństwo.

Wieści o „magnetycznym uroku” młodego księcia wyprzedziły go.

Ale Lochiel zignorował ostrzeżenie. Księżę przyjmuje go z otwartymi ramionami.

— Stary, wierny przyjacielu domu Stuartów, witaj! Po
trzebujemy twej rady, twego silnego ramienia, potęgi twego
klanu!

Oto historyczne dni małej zatoki Loch nan Uan, odległej,
zapomnianej, na której brzegach rzadko kiedy kto stanął.

Są tu Keppoch i Clanranald, Kinlochmoidart i Boisdale, Slead
i Macleod, razem z tymi „siedmiu mężami z Moidart”,

51

którzy towarzyszyli księciu z Francji. Biskup Hugh Macdonald
odjechał.

Lochiel jest łagodnie wyglądającym mężczyzną o brunatnych
włosach i oczach niebieskich, w których kryje się wyraz smutku.

Nos cienki, usta i podbródek stanowcze. Gdy będzie potrzebne
silne ramię, każdy by wybrał Keppocha. Lochiel jest niski i
drobny. Chociaż jego klan zwany jest „najdzielniejszym z
dzielnych”, to jego samego nazywają Łagodnym. Ale ponieważ
ludzie boją się potęgi jego klanu, a jego samego uznają jako
sprawiedliwego, więc otacza go powszechny szacunek w całych
górach szkockich.

— Słyszałem o śmiałych planach — mówi Lochiel. — Ale

boję się, czy nie więcej w nich śmiałości, aniżeli rozsądku.

Uraziło to Karola Edwarda.

— Rozsądek winien ustąpić pierwszeństwa czci rycerskiej —

odpowiada. — Mój ojciec jest według boskich praw królem Anglii

i Szkocji. Muszę wywalczyć mu tron! Bóg tak chce. A co do

śmiałości, to Niemcy powiadają, Sei „dem Mutigen gehört die

Welt" — do odważnych świat należy!

— Wasza księżęca mość szlachetnie przemawiasz — mówi

Lochiel. — Ale musimy przekonać ludzi w klanach. Zbiorą się i

będą walczyć za odzyskanie niepodległości Szkocji jako odręb-

neg królestwa, samodzielnego i wolnego, rządzonego z trady-

cyjnej siedziby naszych królów — z Edynburga. Ale nie chcą, by

nimi rządzono z Londynu, czy to będą Hanowerczycy, czy też —

za przeroszeniem waszej księżęcej mości — Stuartowie. Bardzo

wątpię, czy znajdzie się dość ludzi, by osadzić Stuarta na tronie

Anglii.

Księżę nie zadowolili się jednym tronem. Przybył, by zdobyć

trzy.

Lochiel argumentuje. Nalega. Zaklina. Księżę odmawia.

Podtrzymał go na duchu akces Keppocha, Clanranalda, Kin-

lochmoidarta, Boisdale'a. Lochiel oznajmia:

— Nie ma żadnej nadziei. Zaklinam waszą księżęcą mość,

by dla własnego bezpieczeństwa powrócił do Francji.

Nietaktowne słowa. Książę nie chce słuchać głosu rozsądku, a tym mniej będzie słuchał, gdy ktoś mówi o jego osobistym bezpieczeństwie. Błądny rycerz... Nieustraszony wódz... Wierni wojownicy... Biały rumak... Błyszcząca szabla...

Jeśli Lochiel się nie przyłączy, książę nie może liczyć na śadnego więcej naczelnika klanu. Musi go sobie zyskać, musi go przeciągnąć na swoją stronę — lub przegra wszystko. I to teraz, zaraz! Zaklinać go, błagać? Nie, na nic! Grozić? Ale czym? Argumentować? Argumentów nie ma. Zranić jego dumę? Książę wyprostowuje swoją piękną postać, o monarszym dostojęństwie, wbrew przebraniu.

— Za kilka dni — mówi — z garstką przyjaciół, których mam: z dzielnym Keppochem, rycerskim Boisdalem, szlachetnym Clanranaldem, nieustraszonym Kinlochmoidartem, i moimi wiernymi siedmioma druhami z Francji — podniosę sztandar królewski i proklamuję ludom Brytanii, że Karol Edward Stuart przybył, by zasiąść korony swoich przodków, by ją zdobyć, lub zginąć w tej próbie. — Zatrzymuje się, patrzy przenikliwym wzrokiem na wodza Cameronów. — Lochiel, o którym mój ojciec powiadał, że jest naszym najwierniejszym przyjacielem, niechaj zostanie w domu i dowiaduje się z gazet o losie swego królewicza. Wyzywający gest. Wzniosłe słowa. Raniące słowa, sugerujące, że wódz „najdzielniejszych z dzielnych” w trosce o własną skórę

schroni się do domu!

Książę odwraca się ze wzdargą.

Wszyscy inni w namiocie na pokładzie „Doutelle” utkwili wzrok w Lochielu „Łagodnym”. Na moment zwiesił głowę. Ale zaraz wyprostowuje się, podnosi wysoko głowę, zwraca się do tych, którzy czekają na jego odpowiedź. Jego głos brzmi dźwięcznie, czysto:

— Nie, nie zostanę w domu! Postanowiłem. Będę dzielił los mego pana i księcia; a wraz ze mną każdy, kto jest moim podwładnym.

r)3

Potężny klan Cameronów przystąpił do sprawy. Sleat i Macleod nie mogą postąpić inaczej: acz z ociąganiem, przyłączają się również. Uparty młodzik chłostą pogardy wymógł

posłuszeństwo. Teraz obejmuje wodza Cameronów:

— Wiedziałem! Wiedziałem! Wiedziałem, że Lochiel nie zawiedzie! Nasz najwierniejszy przyjaciel...

Wieje przychylny wiatr. Karol Edward pali mosty za sobą.

Odprawiając „Doutelle”, powiada:

— Opuszczę Szkocję lądem, maszerując do Anglii na czele klanów!

Biały rumak. Błyszcząca szabla.

Kapitan Walsh zabiera list do królewskiego ojca, Starego Pretendenta. W liście ksiąŜę zdradza cokolwiek inne nastawienie wobec obcej pomocy niŜ to, o jakim mówił do biskupa Hugh Macdonalda:

— Najgorsze, co moŜe mi się przytrafić, jeśli Francja nie przyjdzie mi z pomocą, to zginąć na czele tych dzielnych wojowników, których tu znajdę...

A najgorsze, co się moŜe przytrafić — innym?

Karol Edward w pełni dowiódł d e t e r m i n a c j i , potrzebnej dla zwycięstwa.

Czy dowiódł równieŜ zdrowego

rozsadku, bez którego determinacja staje się tylko upartą głupotą — dopiero czas okaŜe.

Rozdział V

WOJUJĄCE KLANY I ANGIELSKIE ZŁOTO

Lochiel i inni wodzowie odjechali, by wezwać pod broń klany. Mają spotkać księcia w Glen Finnan, u północnego krańca Loch Shiel, dnia 20 sierpnia. Karol Edward przyjął zaproszenie Kinlochmoidarta i gości w jego rezydencji, o jakieś dziesięć kilometrów na południe od Loch nan Uan. Tu moŜe się

zozkoszować atmosferą kulturalnej siedziby wodza klanowego.

Kinlochmoidart i jeszcze jeden brat Eneasza Macdonalda sami zaplanowali swój dom. Wnętrze promieniuje spokojną wytwornością. powściągliwym dobrym gustem — wszędzie przepiękne stare meble, stara broń, obrazy i rysunki, wiele z nich to dzieło rąk obu braci; i mnóstwo, mnóstwo książek.

Pewnego wieczora książkę, który miał pisać w swoim pokoju, wymyka się kuchennymi schodami i wychodzi, by zażyć świeżego powietrza. Nosi nadal swoje duchowne przebranie, jest bez broni.

Zapada zmierzch. Karol Edward wchodzi do sosnowego lasu.

Nagle zza drzewa wysuwa się smukła postać w kilcie, z pledem przerzuconym przez ramię, w berecie — zwanym tam o'shanter — kryjącym włosy, z nagą szablą w dłoni. Książkę staje, jak wryty.

Zwiastuny romantyczności!

— Dokąd idziesz o tak późnej porze i sam? — Głos, cho-

55

cia o niskim, głębokim brzmieniu i rozkazującym tonie, bez śladnej wątpliwości należy do kobiety.

Rzekomy książkę ignoruje pytanie, natomiast mówi:

— Nie jesteś tym, za kogo chcesz uchodzić.

— Ani ty.

— Nie jesteś mężczyzną, lecz kobietą.

— A ty nie jesteś duchownym, lecz księciem Karolem

Edwardem.

Książę śmieje się z jej bezceremonialnej prostolinijności.

— Więc cóś zamierzasz zrobić?

— Zamierzam przyłożyć koniec mojej szabli do piersi waszej księżęcej mości i trzymać tak długo, dopóki wasza księżęca mość nie zgodzi się mianować mnie swoim przybocznym gwardzistą.

Widać, jak na dłoni, że ci potrzebny taki strażnik, który by nie odstępował ani o krok, trzymał straż u drzwi i pilnował, abyś wasza księżęca mość nie narażał się lekkomyślnie, sam i bez broni!

— Moim przybocznym gwardzistą — dziewczyna?

— Gwarantuję, że jestem równie silna, jak wasza księżęca mość i że równie dobrze potrafię władać szablą — czego mogę dowieść, skoro tylko wasza księżęca mość będziesz miał swoją szablę przy boku! sýłam w oczekiwaniu przybycia waszej księżęcej mości, ćwiczyłam w posługiwaniu się bronią, praktykowałam, by umieć walczyć za waszą księżęcą mość!

— Gdybyś tylko była mężczyzną...

Dziewczyna zdejmuje o'shanter — i bujne długie sploty kasztanowatych włosów spadają na jej ramiona. Oniemiały, Karol Edward podziwia: czarne oczy, dumnie podniesioną głowę, delikatną cerę; a dziewczyna wsuwa szablę do pochwy, dobywa sztylet i zanim książę pojął, co zamierza zrobić — obcina warkocz jednym cięciem. Odrzuca go precz za siebie i pyta:

— Czy teraz jestem męŜczyzną na tyle, by ci to starczyło?

— Jezus Maria! Jaka szkoda! — Ta dziewczyna jest równie uparta, jak on sam. — A właściwie mówiąc... kim jesteś?

56

— Nazywam się Klementyna Walkinshaw i jestem córką dawnego posła ojca waszej ksiąŜcej mości w Wiedniu. A mój ojciec nadał mi imię na cześć matki waszej ksiąŜcej mości, której dopomógł w ucieczce z więzienia w zamku w Innsbrucku przed wielu laty. Nie miał syna... ale zanim umarł, kazał mi przysiąc, Őe gdy wasza ksiąŜca mość przybędzie do kraju...

— Słyszałem o twoim ojcu. A skąd przybywasz?

— Szłam sto mil, z okolic Perth, by ofiarować waszej ksiąŜcej mości moją szablę.

— Ale jak wiedziałaś...?

— MoŜe więcej ludzi wie, niŜ się wasza ksiąŜca mość spodziewa.

Dziewczyna nadal trzyma sztylet w ręku — ruchem jakby groŜącym.

— Przybyłaś ofiarować mi swoją szablę, czy teŜ grozić mi? — pyta z uśmiechem ksiąŜ.

Ona odpowiada pytaniem na pytanie:

— Czy wasza ksiąŜca mość przyjmie mnie do przybocznej straŜy?

Dziewczyna intryguje go. Wielkich wodzów musiał namawiać,

przekonywać, schlebiać i drażnić ich dumę, nim zdeklarowali się po jego stronie. A ta dziewczyna... sto mil szła! Patrzy na nią. Jej drobne piersi za ledwie wzdymają kurtkę po tej stronie, gdzie pled się zesunął... Więc tak daleką drogę przebyła, by się do niego przyłączyć. Nie może jej odesłać. Nie odtrąci ani jednego stronnika: każdego mu potrzeba!

Zabiera ją z powrotem do dworu, opowiada wszem wobec jej historię. Dla ludzi, chowanych na pieśniach bardów, nie jest to historia nadzwyczajna. W górach Szkocji młode kobiety na równi z mężczyznami, nie czekając, by przygoda i miłość zastukały do ich drzwi, często wychodzą im naprzeciw. Co prawda, we dworze Kinlochmoidart niektórzy podnoszą brwi. Ale nawet Atholl, nawet Sir John Macdonald, nawet stary guwerner — byli kiedyś młodzi. I wszystkim znane jest dobrze

nazwisko Walkinshaw. Ojciec dziewczyny maszerował wraz z nimi w 1715 r.

Klementyna śpi tej nocy przed drzwiami komnaty księcia — owinąwszy szczupłe ciało w pled, szabla i pistolet w pogotowiu.

Zwiastuny romantyczności...

Dnia 19 sierpnia o świcie Karol Edward z przyjaciółmi i przybocznym gwardzistą opuszcza gościnne progi Kinlochmoidart, by udać się na umówione spotkanie w Glen Finnan.

Odrzucił przebranie, które nie zwiódło Klementyny Walkinshaw.

Wdział surdut piaskowego koloru, szkarłatne bryczesy, przypiął Őółtą kokardę na kapeluszu oraz szpadę do pasa.

Łodzie wiosłowe czekają na Loch Shiel. Przeprawa pod prąd, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Wody jeziora, miejscami do stu metrów głębokości, przepływają początkowo między torfowiskami, dalej między skalistymi wysokimi brzegami, porośniętymi z rzadka sosną szkocką, niską i powykręcaną, w zaciszniejszych zakątkach bukami. TuŜ nad nimi potęŜne szczyty.

Burze minęły, dzień jest pogodny. Po kilku godzinach wytrwałej pracy wiosłarze docierają do Glenaladale na zachodnim brzegu, pagórkowatej oazy jasnej zieleni, otoczonej wysokimi urwiskami, przeciętej krystalicznie

czystym

strumieniem.

ZbliŜając się, dostrzegają na brzegu trzech jeźdźców; ich przywódcą jest starzec, przygarbiony na siwym górskim koniku.

Książę spogląda pytająco na Atholla, który obserwuje obcych.

— Na krzyŜ święty! — wykrzykuje Atholl. — ToŜ to Gordon z Glenbucket! On musi być w moim wieku, albo i starszy... Słynie z waleczności... Ale teraz smętnie wygląda... Jego ziemie leŜą w Banff, na wschodnim brzegu. Musiał przeprowiać się konno przełęczami przez szczyty...

Gdy Karol Edward wysiada na brzeg, jego przyboczny gwardzista z ręką na rękojeści szabli idzie tuż za nim. Stary Gordon z Glenbucket zsiada z konia, przyklęka na jedno kolano — obciśnięte w tartanowe spodnie — a składając na drugim stary szkocki miecz obosieczny, zwany claymore, powiada:

— Wasza księżęca mość — składam ci hołd i oddaję mój miecz. Jestem stary i chory. Przez trzy lata byłem przykuty do łoża. Ale wieść o wylądowaniu waszej księżęcej mości wlała nowe siły we mnie. Nie odtrącaj mnie. Wrócę do Banff, a za parę dni przyłączę się do was z czterema setkami odważnych serc i silnych ramion.

Księcia wzrusza do głębi ta wierna lojalność, kontrastująca z niezdecydowaniem młodszych wodzów. Podnosi Glenbucketa z klęczek i dopiero wtedy spostrzega, że starzec jest zgięty wpół, nie może stać prosto. A jednak tak daleką i trudną odbył drogę i mówi o powtórzeniu tej podróży jeszcze dwukrotnie!

— Mój zacny i lojalny przyjacielu! Nigdy bym nie odtrącał szabli wzniesionej za naszą sprawę, a już tym bardziej takiej szabli, jak twoja! Gdy już dokończymy naszej pracy, moim pierwszym obowiązkiem będzie dopilnować, by twoje siwe włosy zostały tak uczczone, jak na to zasługują.

Rozłożono posiłek na polanie. Klementyna dogląda, aby wszystko odbywało się tak uroczyście, jak tylko okoliczności

pozwalają. Glenbucket, Atholl i Sir John Macdonald opowiadają o krwawych zmaganiach w powstaniu z 1715 r. Toasty na zdrowie „Króla za morzami”, „Księcia Walii”, wspaniałego starca Gordona. Przed samym końcem posiłku Glenbucket wstaje i usprawiedliwia się:

— Mam daleką drogę przed sobą, ale niebawem spotkamy się znowu, wasza księżęca mość, w bojowym ordynku!

Zdarzenie napełniło księcia nadzieją. Bardzo mu tego potrzeba.

U ujścia Loch Shiel czekają nań dwa oddziały Macdonaldów, około pięćdziesięciu ludzi. Pierwsi żołnierze, którzy znajdują się pod jego dowództwem. Księżę przechodzi przed dwu-

59

szeregiem żołnierzy, przyglądając się im bacznie — każdy ma broń, szablę, sztylet, muszkiet, pistolety — i wdając się w pogawędkę. Wypytuje, jak zabezpieczyli rodziny na czas nieobecności...

— ...która, jak ufam, nie będzie długotrwała...

Kierują się w stronę Glen Finnan: zakątek samotny i romantyczny, wąska kotlina, przez którą przepływa rzeczka Finnan, otoczona zewsząd wysokimi skalistymi górami.

Serce Karola Edwarda bije mocno. Lochiel i Clanranald, Keppoch i Boisdale i inni wodzowie, z pewnością już zwerbowani, powinni napełnić kotlinę tłumem wojowników w tartanach

najrozmaitszych barw.

Kotlinę skrywa przed oczyma księcia zakręt ścieśki i ogromna skała. Kilka jeszcze kroków — ksiąśę powstrzymuje się by nie biec. Idzie spokojnie, skręca za skałę. Stoi nieruchomo, a wokół niego zbierają się najpierw jego dawmi druhowie, później dwa oddziały Macdonaldów. Książę wykrzykuje:

— Czy w ten sposób górale Szkocji dowodzą lojalności wobec syna swego króla i władcy?

W dolinie nie ma ani jednego człowieka.

Stary Sir John Macdonald próbuje ułagodzić rozczarowanie:

— Cierpliwości, mości książę. Czas w górach słuśy ludziom, nie rządzi nimi. Teraz Őniwa..

Książę nie daje się ułagodzić. Po raz pierwszy ulega przygnębieniu. Pamięć o szlachetnej lojalności wspaniałego starca, Glenbucketa, nie wystarcza juś, by go podtrzymać.

Jest późno. Karol Edward przyjmuje zaproszenie Angusa Macdonalda, by spędzić noc w jego siedzibie, która leśy w pobliśu. Ale ten dom w niczym nie przypomina pięknego dworu Kinlochmoidarta. Stary, długi parterowy budynek; małe pokoje sypialne, jak cele, wychodzą wszystkie do wielkiej bielonej sieni, przypominającej stajnię.

Tu przyłącza się biskup. Jest nadal chwiejny, ale nie chce się opóźnić w obowiązku pobłogosławienia przelewu krwi.

Na cześć królewskiego gościa złowiono i usmaŝono ogromnego łososa, upieczono dziczyznę. Ale dziedzic tronu Stuartów odsyła nietknięte półmiski. Siedzi milczący, zasepiony.

Minie dobrych kilka dni od wylądowania Karola Edwarda w Eriskay, zanim wieść o tym dotrze do Królewskiej Rady Szkockiej w Edynburgu. W pierwszej chwili Lord Prezydent Duncan Forbes lekcewaŝy wiadomość, jako niemoŝliwą.

— Przecieŝ jakobici w ogóle nie poczynili ŝadnych przygotowań na przybycie Młodego Pretendenta!

Prawda. John Murray z Broughton niczego nie osiągnął. Ale wiadomość jest teŝ prawdą. I ostatecznie dowódca wojsk, Sir John Gope, daje jej wiarę. Zaczyna gromadzić swoje oddziały. Niewiele lepiej jest przygotowany do obrony panowania Hanowerczyka, aniŝeli ksiąŝę do jej obalenia. Sir John moŝe zebrać wszystkiego cztery tysiące ŝołnierzy, z czego trzy tysiące piechoty. Czterystu ledwie zwerbowanych nowozacięŝnych jeszcze nigdy prochu nie wachało; jazda takŝe surowa i nie wyćwiczona, zarówno dragoni Hamiltona, jak i Gardinera. Całe wojsko bardzo kiepsko uzbrojone: w pierwszym regimencie piechoty ani jednej szabli. Gope ma kilka starych armat, ale ŝadnego dobrego kanoniera. Nie jest to z winy Sir Johna. Od dawna juŝ zwracał uwagę władz cywilnych w Edynburgu na niezadowolającą sytuację militarną. A władze w Edynburgu z równym uporem nieustannie

zapewniały Londyn, że śadna rebelia nie grozi.

Ale teraz Londyn otrzymał niepokojące wieści z Francji o wyjeździe księcia. Nowiny spóźnione, ale w każdym razie wcześniejsze od tych, które miały nadejść z Edynburga. I Anglia nie jest przygotowana do odparcia inwazji z północy, jak Szkocja do stłumienia rebelii. W całej Anglii znajduje się nie więcej, jak siedem tysięcy żołnierzy, przeważnie zajętych ochroną portów morskich przed przemytnikami i piratami. Nie ma armii, którą by można od razu wysłać na granicę szkocką.

61

Większość wojsk jest w Niderlandach, pod wodzą księcia Cumberlanda.

Anglicy od dawna bali się stałego zawodowego wojska, jako zagrożenia dla ich swobód obywatelskich. Odmawiali pieniędzy na utrzymywanie żołnierzy w czasach pokoju. Gdy nadchodziła wojna, pośpiesznie werbowano nie wyćwiczonych rekrutów, a przede wszystkim najmowano cudzoziemskich jur-gieltników. A co do dowodzenia, to jeden z ówczesnych mężów stanu określa wojsko angielskie jako posiadające „najgorszych oficerów w całej Europie”.

Król Jerzy II nie przebywa w kraju. Zawsze wolał swój rodzinny Elektorat Hanowerski. Jego tamtejsi poddani są zadowoleni z paternalistycznej formy rządów. A w Anglii stale mu dokucza parlament: określa jego religię i religię jego małżonki,

zabrania ministrom wyrażania jego poglądów w Izbie Gmin. Nie wolno mu zaciągnąć regimentu, nałożyć podatku, zawiesić ustawy.

Polityka wewnętrzna i zagraniczna Anglii nie jest polityką króla, lecz jego pierwszego ministra, Sir Roberta Walpole.

Te i inne więzy Anglia narzuciła swoim monarchom przed sześćdziesięciu laty, gdy despotyczny pradziad Karola Edwarda, James II, został zdetronizowany na rzecz swej córki, protestantki Mary i jej męża, Wilhelma Orańskiego. Trudno się spodziewać, aby Anglicy bez sprzeciwu zgodzili się na przywrócenie despotyzmu autokratycznych rządów Stuartów w razie, gdyby Karol Edward zatriumfował. Wojna domowa jest nieunikniona.

Stary Pretendent nie chciał czy nie umiał tego zrozumieć.

Nieobecność Jerzego II jest w danej chwili poważnym utrudnieniem dla rządu. Nie wymaga się od króla, by podejmował decyzje, ale musi przyłożyć koronną pieczęć na decyzjach, podejmowanych przez ministrów. Nie żyjąc dla swego niemieckiego suwerena szczególnego przywiązania — był to zarozumiały, choleryczny człowiek, mówiący po angielsku z okropnym akcentem — ani też szczególnej antypatii, jego

poddani w normalnym stanie rzeczy nie dbali o to, czy król Jerzy zaszczyca swą obecnością Londyn czy teŹ Hanower. Ale teraz, gdy zagraŹa kryzys zarówno narodowy jak i dynastyczny, panuje niezadowolenie z powodu jego nieobecności. Na bramie pałacu królewskiego w Londynie przypięto w nocy ogłoszenie :

„Zagubiony lub zaginiony z tego domu, męŹczyzna, który opuścił Źonę i szeŹcioro dzieci, zostawiając je na łasce parafii; ktokolwiek doniesie o miejscu jego pobytu, otrzyma cztery szylingi i szeŹć pensów. Uwaga: tej nagrody się nie podwyŹszy, nikt nie oceni nieobecnego na wartość korony".*

Młodego Pretendenta rząd wyŹej ocenia. Wydaje proklamację:

„...poruszeni słuszną indygnacją... niniejszym w imieniu jego królewskiej moŹci rozkazujemy i zarządzamy, aby wszyscy oficerowie i urzędnicy oraz wszyscy lojalni poddani jego królewskiej moŹci wszelkimi wysiłkami próbowali ująć i pochwycić wymienionego syna Pretendenta... A następnie w imieniu jego królewskiej moŹci obiecujemy i przyrzekamy nagrodę trzydziestu tysięcy funtów szterlingów tej osobie lub osobom, którzy do ujęcia i pochwylenia się przyczynią...”

W samej Szkocji niejeden — włącznie z wodzami niektórych klanów — chętnie by się zgłosił po te trzydzieŹci tysięcy funtów.

Na przykład Campbellowie, którzy od dawna wojują z

Macdonaldami. W kaŹdej kłótni, sprzeczce, róŹnicy zdań stają po

przeciwnych stronach i korzystają ze sposobności, by zmniejszyć liczebność odwiecznego wroga. Macdonaldowie są jakobitami.

Wobec czego automatycznie Campbellowie deklarują się po stronie Jerzego II.

Są i inni, którzy się opowiadają przeciw Młodemu Pretendentowi. Duncan Forbes, Lord Prezydent, uświł swego niemałego wpływu w tym celu. Hrabia Stair, Lord Annandale, Lord Rothes, większość szkockich lordów — ci są za „status quo”.

* Korona — moneta — równa się pięć szylingów.

Oprócz Gampbellów jeszcze kilka innych klanów będzie walczyć w razie potrzeby za panującego monarchę. Na innych można liczyć, że przynajmniej zostaną w domu. Na czym właściwie polegał „wpływ” Forbesa, nie wiadomo, ale wielu ma pewne podejrzenia. Korupcja nie jest nowością wśród szkockiej arystokracji, która od XVI wieku — jeśli nie dawniej — wielokrotnie wbijała nóż w plecy swoim bohaterskim rodakom.

Tak dalece, że w górach Szkocji powstała popularna ballada:

Za nic nam była angielska stal,

Ufamy własnej odwadze!

Angielskie złoto zatrulo krew

Bandy łotrów w narodzie.

Dwudziesty sierpnia jest lepszym dniem dla Karola Edwarda.

Wcześniej przybywa do kotliny Glen Finnan. Na halach nadal pustki, prócz dwóch oddziałów Macdonaldów, ale zza -gór nadlatuje poświstem melodia: góralskie kobzy ślą przenikliwe dźwięki bojowych pieśni klanowych, pibrochu.

— Nadciągają! Mości księżę, nadciągają! — woła

Kinlochmoidart.

Uśmiech rozpromienia wszystkie twarze, i księcia i dziewczyny-gwardzisty, stojącej tuż za nim.

W kwadrans później od północnego krańca doliny pojawia się Clanranald na czele stu pięćdziesięciu wojowników w kraciastych

spódnicach, zwanych kiltami. Następny przybywa Keppoch z dwustu Macdonaldami. A teraz Lochiel „Łagodny”. Jedzie konno, dojechał już do księcia, a jego Cameroni wciąż jeszcze tłoczą się w dolinę, jest ich pięciuset. A za nimi, na czele jeszcze dwustu, nadjeżdża wyniosła, dumna kobieta na gniadym wierzchowcu w zielonej uprzęży, ozdobianej złotem. Strój na niej barwy wody morskiej, szkarłatne wyłogi ze złotą koronką. Gdy się zbliża, księżę dostrzega, że jest piękna,

64

ma cudowne oczy. czarne włosy w lokach, aksamitny kapelusz ze szkarłatnym długim piórem. To Jennie Cameron, która po rozwodzie wróciła do rodowego nazwiska. Wspaniała amazonka, salutuje księciu obnażoną szpadą.

Księżę podjeżdża do niej, przyjmuje jej hołd, zabiera ją do namiotu. Klementyna Walkinshaw pozostaje na zewnątrz i nie ma wesołej miny.

Jennie Cameron nie jest jedyną kobietą, która nadciągnęła wraz z klanami; są tu młode dziewczęta, które przyszły z narzeczonymi, bojąc się może ich utracić; są mężatki, które mają kochanków; są kobiety mniej romantyczne, a bardziej interesowne. Wydano wprawdzie rozkaz, aby nikt nie towarzyszył wojownikom; ale ktoś zechce odesłać kobiety i narazić się na to, że mężczyźni odejdą za nimi? A poza tym, wiadomo już, że księżę ma „przybocznego gwardzistę” — chociaż ten sypia jeszcze za

drzwiami księżycowej sypialni lub namiotu.

Poszczególni wojownicy wciąż nadciągają. Ale są i dezercje.

Sleat i Macleod, którzy z ociąganiem zgłosili swój akces wraz z Lochielem, nie dotrzymali złożonej obietnicy.

— To nie mężczyźni — mówi Jennie Cameron, wzgardliwie wykrzywiając piękne wargi. — Za angielskie złoto łatwo ich kupić! Banda łotrów.

Łotrów różnego pokroju. Można bronić lojalności każdej ze stron. Są więc i tacy, którzy próbują się opowiedzieć po obu stronach naraz. Na przykład Lord Lovat, głowa klanu Fraserów.

On to przed laty obmyślił plan kampanii, według którego Karol Edward zamierza teraz działać, zatrzymując wojska Sir Johna Cope poza centralnym masywem górskim aż do chwili, gdy dalsze jeszcze klany powstaną do walki. Teraz Lord Lovat wysłał do księcia swego dziewiętnastoletniego syna Simona, zwanego „paniczem Lovat”, z częścią klanu Fraserów. Simon nie chciał iść: ojciec go przymusił.

— Mój ojciec wyraża głęboki żal, i nie może osobiście przyłączyć się do wyprawy, mówi księżę — mówi młody Simon.

— Jest stary i chory.

65

Rzeczywiście, Lord Lovat ma 78 lat. Ale zmusiwszy syna, by zaryzykował, w najlepszym razie śmierć na polu bitwy, a w najgorszym szubienicę i tortury, wymierzone zdrajcy, Lord Lovat

pisze do Duncana Forbesa z oznajmieniem o swojej „lojalności wobec prawowitego rządu”, i Ńałuje, Ńe jego nieposłuszny syn uparł się, aby się przyłączyć do rebelii. Co prawda, nie wywiera to wielkiego wraŃenia na Forbesie. I on wie o „bandzie łotrów”.

Tym niemniej Fraserowie wzmacniają liczebność jakobi-tów.

Ten, który przed osiemnastu dniami wylądował w Eri-skay z zaledwie siedmiu towarzyszami, bez pieniędzy, bez broni i zapasów, ma teraz pod swoją wodzą półtora tysiąca barczystych górali w tartanach, a do swojej dyspozycji sakiewki bogatych wodzów klanowych. Jest za mało ludzi i za mało pieniędzy. Ale chyba znak pewny, Ńe będzie więcej!

Dzień mija. Czas juŃ, podpowiada kapitan O'Sullivan, podnieść sztandar Stuartów, proklamować króla Jamesa III.

Biskup Hugh Macdonald błogosławi sztandar, karmazynowy jedwab, w Ńrodku białe pole z mottem: „Tandem Triumphans”.

KsiąŃę Atholl z wysiłkiem unosi drzewce — wielki krzyk zrywa się w całej dolinie. Wiatr dmie, stary Atholl nie jest w stanie utrzymać prosto sztandaru, który nieomal pada, nim podchwycą go Eneas i Kinlochmoidart. KsiąŃę Atholl, głosem niewiele silniejszym od swych ramion, odczytuje proklamację Jamesa III, mianującą Karola, księcia Walii, jedynym regentem aŃ do czasu królewskiego przybycia. Mało kto słyszy słowa, ale ci najbliŃsi Athola wyrzucają czapki i berety w górę, a wszystkie klany ich naśladują.

Głos księcia rozbrzmiewa donośnie i czysto, dociera do najdalszego zakątka doliny, odbrzmiwając echem od skalistych zboczy. Każdy go słyszy.

— W imieniu mego ojca dziękuję wam za lojalność... jest nas jeszcze mało, ale ufam, że każdy z nas reprezentuje dziesięciu, którzy

niebawem

nadciągną. — Ponosi go optymizm.

Przygnębienie z poprzedniego wieczora rozwiało się z dźwię-

kiem kobz. — ...maszerujemy ramię przy ramieniu dla szlachetnej sprawy... doprowadzimy nasze przedsięwzięcie do triumfalnego końca — Tandem Triumphans!

Znowu okrzyki, wiwaty, znowu czapki i berety wylatują w powietrze, znowu połyskują obnażone miecze.

KsiąŜę wraca do domu Angusa Macdonalda. Wodzowie tłoczą się w bielonej sieni, gdzie rozstawiono stoły do wieczornego posiłku. A z dalszej i bliŝszej okolicy zeszli się gapie. KsiąŜę nie pozwala Klementynie ani innym nikogo odpędzać, zasiada do posiłku w ich obecności, wesół i w dobrym humorze.

— Nie co dzień mają takie przedstawienie! — mówi.

Słusznie, zdobywanie sobie sympatii ludności jest dobrym posunięciem. Kto wie, kiedy ta przychylność będzie mu potrzebna?

Wodzowie nie przybyli z pustymi rękoma. Trunków jest pod dostatkiem dla wszystkich. Lochiel wstaje i woła:

— Deoch slaint au Righ — pijemy zdrowie króla!

Gdy zmierzch zapada, gapie wymykają się do swoich domów, a Karol Edward zasiada z wodzami do narady wojennej.

Mianowano

kapitana

Johna

O'Sullivan

generalnym

kwatermistrem. Będzie musiał dopilnować, by wojujące klany miały co jeść, i jeśli możliwe, gdzie spać. Ma dbać o to, by były pieniądze na utrzymywanie wojsk, prowadzenie wyprawy. Nie synekura, taka nominacja.

Jeszcze podczas obrad przybywa goniec. Jechał bez tchu z Edynburga: przywozi odpis proklamacji, obiecującej za głowę Młodego Pretendenta cenę trzydziestu tysięcy funtów. Książę Sartauje:

— Wysoko mnie cenią! Wyśej, niż ja cenię Jerzego Hanowerskiego.

Kwatermistrz

generalny,

proszę

ogłosić

proklamację, że wypłacę tytułem nagrody trzydzieści funtów — jeśli mi ich ktoś poświęczy — każdemu z lojalnych poddanych mego ojca, który się przyczyni do pochwylenia wyśej wymienionego uzurpatora.

Gdy śmiech ucichł, odzywa się Eneasze:

— Jego ksiąŜęca mość jest w wesołym nastroju. Wszyscy się tym cieszymy. Ale mówiąc powaŜnie, sãdzę, Őe naleŜy za głowę uzurpatora wyznaczyć cenę nie niŜszą od tej, którą tak impertynencko wyznaczono...

Przygotowano więc odpowiednią proklamację do rozesłania po całej Anglii i Szkocji za pośrednictwem agentów jako-bickich.

Przynoszą ją księciu do podpisania. Ten waha się i śmieje:

— Trzydzieści tysięcy funtów nagrody! Jak mogę tyle przyrzekać? Ja, który mam ledwie gwineję w kieszeni!

Jennie Cameron odpowiada:

— Wasza ksiąŜęca mość będzie miał wkrótce całą Brytanię!

Będzie miał całą Brytanię? Pod swoim butem, czy w pogoni za sobą? Oto jest pytanie!

Rozdział VI

KRÓLEWICZ STUART NADCIĄGA

Pierwsza krew dla księcia. Zwycięstwo odniesiono wtedy, gdy płynął łodzią w górę Loch Shiel, przez stronników, o których jeszcze nic nie wiedział.

Od południowego zachodu do północnego wschodu, łącząc Atlantyk z Morzem Północnym, biegnie przez góry Szkocji linia wielkich jezior, połączonych rzekami — droga wodna, znana pod nazwą

Wielkiego

Glenu.

By

strzec

tej

ważnej

linii

komunikacyjnej, Anglicy zbudowali dwie silne twierdze: Fort William, o jakieś 30 km na północ od Ardgour i Fort Augustus o 50 km na południowy zachód od Inverness.

Czterdziestu angielskich żołnierzy w szkarłatnych mundurach maszeruje od jednego fortu do drugiego. Kotlina. Strzały zza wysokich skał nad nimi. Dwaj żołnierze padają. Szkarłatne mundury chcą się cofnąć! Niemożliwe. Pięćdziesięciu Macdonaldów Keppocha, śpieszących na nieco spóźnione spotkanie ze swym wodzem, zagradza im drogę. Szkarłatne mundury — naprzód! Niemożliwe. Drugi oddział, również pół setki górali, zeskakuje i zsuwa się po przepaścistych zboczach skalnych z bojowym okrzykiem na ustach. Szkarłatne mundury w pułapce. Pierwsza krew dla księcia. Pierwsi jeńcy.

Potyczka, ale o dużym znaczeniu. Błyskawicą szerzy się po górach wieść — czasem prawdziwa, częściej wyolbrzymiona.

69

— Potyczka... Walka... Bitwa... Pięciuset Anglików padło...

Prawda nie waŝna. Wieŝ biegnie, jak kula ŝnieŝna, rosnąca w lawinę i dodaje ducha góralom. Setki niezdecydowanych postanawia przyłączyć się do powstania w Glenfinnan, albo podczas pochodu księcia na wschód.

— W twoich ŝyłach płynie krew gaelicka — powiedział do księcia stary góral. — Oby twój język wymawiał słowa gaelickie, oby twoją odzieŝą był tartän, oby twoją nagoŝć przykrywał kilt...

„Słowa gaelickie” przychodzą mu z trudem. Ale zanim wyruszy z Glenfinnan, ksiąŝę przywdziewa kilt. Według ówczesnego angielskiego kronikarza, nie jest to bardzo skuteczne przykrywanie nagoŝci:

„Czeŝć pledu układa się w fałdy i przewiązuje wokoło pasa, tworząc w ten sposób krótką spódniczkę, sięgającą do połowy uda... czeŝto noszą kilty tak krótkie, ŝe w wietrzny dzień, albo gdy idą pod górę czy schylają się, nieprzystojnoŝć ujawnia się wyraźnie”.

Przywdzianie narodowego stroju szkockiego, przestrzeganie tradycji i obyczajów ŝwiadczy, ŝe ksiąŝę postanowił zyskać sobie sympatię nawet kosztem ryzyka „nieprzystojnoŝci ujawnionej wyraźnie”. I rzeczywiŝcie, ujmuje tym górali. Są mu wdzięczni.

Zdobywa sobie popularnoŝć.

Oprócz kiltu i skórzanego sporrana, zawieszzonego u pasa,

Karol Edward wkłada równieŝ szkockie obuwie z miękkiej skóry,

które mu dostarczył Kinlochmoidart. Wkładając je po raz

pierwszy ksiąŜę mówi:

— Nim znowu rozwiąŜę te wiązania, rozprawię się z Jasiem

Cope!

Co prawda, nie tak to będzie wyglądało, ale tego rodzaju

powiedzenia, podchwytywane i powtarzane, szybko rozchodzą się

po całych górach, wśród klanów.

Wodzowie znają dobrze góry i przełęczę, przez które ma-

szerują teraz na wschód. A Klementyna niedawno przejeżdżała tamtędy w drodze z Perth. Omijają Fort William, pozostawiając go po prawej ręce i kierują się prosto na Glen Loy. Przeprowadzają się przez Wielki Glen koło Gairloch, gdzie Loch Lochy zwęża się w rzekę Lochy. I dalej pod górę, przełęczami omijając najwyższe wzniesienia, sięgające półtora tysiąca metrów nad poziomem morza. Ich pierwszym celem jest Las Corrieyairack, u skraju którego znajduje się przełęcz tej samej nazwy. Jeżeli Sir John Cope maszeruje ze swym wojskiem, by przychwycić rebeliantów przy Wielkim Glenie, to Przełęcz Corrieyairack jest z punktu widzenia taktycznego najdogodniejszym miejscem, by na niego czekać. Od zachodu prowadzi tu długie, łagodne podejście, ale od wschodu, skąd mają nadciągnąć Anglicy, droga wspina się siedemnastoma zakrętami; nie do przejścia pod ogniem strzelb z góry.

Maszerując na czele swoich wojsk, teraz sięgających liczby dwóch tysięcy ludzi, Karol Edward jest szczęśliwy. Zdrowy i silny młodzieniec raduje się wojskowym gwarem, nawet ciężkim trudem fizycznym w krystalicznym powietrzu gór. Nie gnębią go już żadne wątpliwości. Przedsięwzięcie rozpoczęte! Musi się skończyć powodzeniem. Trudności? Przelew krwi? Tym się Karol Edward nie trapi. Strzeżcie się, obrońcy hanowerskiego uzurpatora — Stuart nadciąga!

Idą przez kraj górzysty, surowy. Obficie rodzi tu jedynie wrzos. Dzikie bydło i jelenie pasą się swobodnie, wydry, bobry i drapieżne tumaki mnożą się bez przeszkód, a spod stóp zrywają się przepiórki, cietrzewie, pardwy. Przed wiekami poruszające się masy lodowcowe wyłobily kotliny, pozostawiając skały, które pokryła miejscami płyciutka warstwa ziemi. Przyroda określiła gospodarke i tryb życia górali; wypasali czarne, kudłate bydło, zahartowane owce i kozy; byli pastuchami i wojownikami, by bronić stad, a zarazem napadać na stada sąsiadów; sąsiedzi się odwzajemniali, właśnie załatwiano pchnięciem sztyletu, pojedynkiem, albo też wojną całych klanów, zwoływanych na wrzosowiska: surowość i barbarzyństwo. Nie ma

wiosek, budowanych z ciosanego kamienia i krytych strzechą, zacisznych i malowniczych, jak w Anglii. Spoglądając na hale, ksiąŜę dostrzega tylko jakby placki z błota: ubogie lepianki, o jednej izbie, czasem przedzielonej zasłoną z trzciny. Pośrodku ognisko, na którym tli się i dymi suszony torf, a nad nim zawieszony na trójnogu Őelazny kociołek.

Większość robót wykonują kobiety. MęŜczyźni są leniwi, przesiadują przed lepiankami latem, a przy ognisku zimą, wspominając dawne zajazdy, chełpiąc się bojowymi czynami, albo teŜ słuchając wędrownych bardów, snujących ballady o bohaterskich i krwawych czynach. Katolicy księŜa i kalwińscy duchowni przemierzali góry i doliny, ale słowo boŜe nie wyparło celtyckiego kultu olbrzymów, czarownic, leśnych ludków, kamieni, które Őyją i mówią. Dwie wiary nakładają się na siebie.

Po jakimś czasie ksiąŜę opuszcza czoło pochodu, idzie to z jednym klanem, to z drugim, słucha tradycyjnych pieśni, próbuje uczyć się gaelickich zwrotów i słów. Prymitywna, plemienna organizacja i zwyczaje klanów dobrze odpowiadają jego średniowiecznym upodobaniom. Trochę juŜ wie o tej organizacji, uczył go stary guwerner. Ale teraz rozpytuje szczegółowo, trzymając się strzemię wierzchowca Jennie Cameron i idąc obok niej, dostosowując swój krok do kroku Lochiela „Łagodnego" albo zmuszając Keppocha, który woli jechać konno, by z

kurtuazji zsiadł i dotrzymywał mu towarzystwa.

Klan góralski jest zbiorowiskiem ludzi, noszących to samo nazwisko, pochodzących od tego samego przodka. W każdym klanie jest kilka podległych plemion, każde posiadające własnego naczelnika, podporządkowanego głównemu wodzowi całego klanu, jak na przykład Clanranaldowi podlegają wszyscy Macdonaldowie, a Cameronowie Lochielowi. Członek klanu w swej lepiance ma pretensje do szlachectwa na równi z wodzem w kamiennym dworze. Klan jest jego jedyną osobowość-

cią i jedynym prawem: poza prawem klanowym zna tylko miecz.

Większość członków klanów nie umie czytać ani pisać. Wodzowie, zwłaszcza młodszy, kształcili się na uniwersytetach w Glasgow lub Edynburgu, a nierzadko w Paryżu lub Rzymie.

Mówią nie tylko po angielsku, ale także po francusku, równieś po łacinie i grecku. Piją francuskie wina i przybierają kołnierze i rękawy bezcennymi koronkami. Znaczenie jednego z wodzów w stosunku do innych opiera się na liczbie bydła na pastwiskach i liczbie męszczyzn, których może powołać pod broń. Zdarzają się wśród nich dziwacy. Keppoch chełpi się przed księciem:

— Kiedy Macpherson z Cluny wrócił z Europy, zatrzymał się u mnie czas jakiś. Powiedział mi, że widuje się teraz w zamkniętych domach za granicą wielkie kandelabry. Kazałem więc, by przy wieczerzy wokoło stołu stanęli kręgiem ludzie mego klanu, każdy trzymając wysoko palącą się pochodnię.

I zapytałem Cluny'ego, czy można znaleźć gdziekolwiek w Anglii, Francji albo Italii takie kandelabry!

Stosunek zależności wodzów wobec króla, Hanowerczyka albo Stuarta, czy teś nawet francuskiego Bourbona, jest nieokreślony, właściwie dyktowany osobistym interesem. Klan jest ważniejszy od narodu, posiadłości wodza ważniejsze od dobra Szkocji. W czasach wojen nie bywa jedności w kraju. Każdy wódz ocenia

sytuację z punktu widzenia korzyści, jakie on i jego klan mogą wyciągnąć. Ale posłuszeństwo, jakiego wódz wymaga od klanu, jest absolutne. Jeśli wezwany na wojnę członek klanu pozostanie w domu, to ten dom będzie spalony, jego bydło, jeśli je miał, zostanie zagnane do stad wodza, jego ziemie uprawne zdeptane stadami owiec wodza.

— Wódz chroni swój klan, mości ksiąŜę i wymierza kary

klanowi

—

wyjaśnia

Karolowi

Edwardowi

Clanranald.

— Przed niedawnym czasem przyprowadzono przed mój sąd pewną kobietę, która ukradła pieniądze mnie — mnie, swemu wodzowi. Rozkazałem, by ją za włosy przywiązali do wodoro-

stów na skałach, i tam została, aŜ nadszedł przypływ i zatopił ją.

Książę jest wstrząśnięty.

— Czy nikt z klanu nie protestuje przeciw takiej surowej
sprawiedliwości ?

— Protestuje, mości książę? SkądŜe znowu! Kto ukradł coś
wodzowi, ten okradł klan. Kto krzywdzi wodza, krzywdzi klan.

Gdybym tę kobietę wydał klanowi, rozerwaliby ją na sztuki.

Takich to ludzi Anglicy od stuleci usiłują nagiąć do swojej
woli mieczem i złotem. Metodą prawną było mianowanie kilku
wielkich wodzów klanowych szeryfami na ich terytoriach. To
posunięcie związało z rządem angielskim wpływowych „lair-dów”

szkockich;

pozwoliło

równieŜ

na

załatwienie

dawnych

porachunków klanowych pod płaszczykiem królewskiego prawa.

KaŜdy mężczyzna w klanie, zdolny do noszenia broni, jest

wojownikiem. Gdy idą do walki, wódz, albo ktoś przez niego

mianowany — Lord Lovat na przykład mianował swego syna

Simona — jest ich pułkownikiem. Inni najbliŜsi członkowie

rodziny wodza dowodzą skrzydłami i tylną straŜą. Głowa kaŜdej

rodziny występuje w charakterze oficera, odpowiedzialnego za uformowanie kompanii, plutonu lub oddziału swoich krewnych.

— A jak wezwałeś swoich ludzi? — pyta ksiąŜę Lochiela

— mieszkających w rozproszeniu po dalekich górach?

— Zgodnie z tradycyjnym obyczajem, wasza ksiąŜęca mość

— odpowiada Lochiel — płonącym krzyŜem. Dwa podpalone

kije umocowuje się na kształt krzyŜa do długiego drąga i prze

wiązuje skrawkiem płótna, zamaczanego we krwi. To hasło po

dają sobie z rąk do rąk.

Mógł dodać, Ŝe całe mnóstwo zabobonów towarzyszy klanom,

odpowiadającym

na

wezwanie. Jeśli spotkają zbrojnego

męŜczyznę po drodze — dobry omen. KaŜde napotkane dzikie

zwierzę trzeba koniecznie zabić, inaczej złe losy się sprzysięgną.

Jeśli bosa kobieta przemierzy drogę przed wojownikami,

trzeba ją schwytać i upuścić jej z czoła kroplę krwi ostrzem sztyletu. Te i inne zwiastuny klęski lub zwycięstwa większe mają dla klanów znaczenie od błogosławieństwa, wyrzeczonego przez biskupa nad szkarłatnym sztandarem Młodego Pretendenta.

Ci Macdonaldowie, którzy urządzili zasadzkę na szkarłatne mundury koło Wielkiego Gleny, przyłączają się do Keppocha.

Wszyscy im urządzają wielkie powitanie. Książę im gratuluje. Ale Keppoch nie jest rad. Po co brali jeńców? To tylko mitręga w pochodzie!

— Gdybyście oddali parę strzałów więcej, zaoszczędzilibyście nam wszystkim mnóstwa mitręgi!

Niezadowolenie Keppocha jeszcze wzrasta, gdy książę traktuje angielskiego oficera z rycerską kurtuazją i każe go zwolnić na parol.

Przybywa stary Glenbucket, z trudem prostując pokręcone reumatyzmem ciało, dumny ze swoich czterystu Gordonów. I Macpherson z Cluny z dwustu ludźmi. Dziwna jest jego historia.

Posłyszawszy, że książę wylądował, Macpherson początkowo zaczął zwoływać swój klan, by bronić istniejącego ładu i rządu; ale gdy się dowiedział o podwójnej zdradzie Lorda Lovata, zmienił zdanie i pomaszerował w przeciwną stronę. Wyznaje to przed księciem i przysięga na obnażony miecz wierność i lojalność Jamesowi III. Gdyby złamał tę przysięgę, tylko zabijając go, jego

klan oczyściłby swój honor.

Z pomniejszych wodzów niektórzy przyłączyli się z myślą o dobrze płatnej synekurze, o angielskich dobrach, nadawanych w nagrodę za dzielność, o sposobności wydania córki za męża za bogatego angielskiego jakobitę. Jeszcze inni przyszli po prostu z ochoty do wojaczki, w nadziei łupów. I są tacy, których poruszyła odwaga — choć można to i inaczej nazwać — księcia, powierzającego się lojalności wiernych górali.

Jednakże faktem pozostaje, że gdyby wszystkich zdolnych do noszenia broni ich wodzowie zebrali pod sztandar Stuartów, książkę rozporządzałby siłą ponad trzydziestu tysięcy żołnierzy — liczba, zdolna istotnie przerazić Anglię i króla Jerzego II. Tymczasem większość wodzów wolała pozostać w swoich dolinach i górach, wspominając, co się przytrafiło ich ziemiom i ich klanom, gdy ich ojcowie odpowiedzieli na apel Starego Pretendenta przed trzydziestu laty. Religijne wąśnie, ambicje wodzów, obawa banicji lub konfiskaty ziem sprawia, że niemożliwością jest zjednoczyć wszystkich szkockich górali dla wspólnej sprawy. Można rozprawiać o Mesjaszu, gdy Mesjasza nie ma w pobliżu; można wznosić toasty za zdrowie-„króla za morzami", dopóki ten król i jego syn pozostają za morzami. Ale posłuchać wezwania Mesjasza do walki, ale bić się o odzyskanie tronu dla króla? Mesjasz powinien mieć na tyle rozsądku, by pozostać nierealnym tematem pieśni bardów. Nieładnie ze strony Mesjasza ryzykować ujawnienie glinianych nóg swoich domniemanych uczniów. Książkę maszeruje, pogrążając dwiema złotymi monetami w swoim sporranie — to całe jego bogactwo. Nadaje pochodowi ostre tempo, nie zwalnia na stromych, usianych skałami podejściach, przeskakuje strumienie górskie, śpieszy po dolinach. Niechaj słońce pali, niech deszcz zacina, on głowę trzyma wysoko, jakby wyzywał Śywioły tak, jak wyzywał hanowerskiego

uzurpatora i angielski rząd.

Po całodziennym marszu, po wieczornym posiłku, młodzi górale o gorącej krwi, nie zmęczeni pochodem, urządzają turnieje zapaśnicze, mociją się, biją. Karol Edward wyzywa na rękę jednego, który już pokonał sześciu przeciwników.

- Nie chcę żadnej konsyderacji dla mojej osoby — uprzedza.

— Kto mnie położy na obie łopatki, nie popełni żadnej obrazy majestatu!

Książę i góral obchodzą siebie dookoła, doskakują i uskakują, wreszcie — chwyt. Mociją się. Wszyscy patrzą jak zaczarowani, z zapartym tchem, każdy tu sędzią.

76

— Położył go...

— Teraz go ma...

— Piękne zwycięstwo...

— Jest silny, zwinny...

Tak, książę zwycięża. Nie wszystek czas w Rzymie spędzał z damami dworu. W zapasach może pokonać każdego w klanie.

Szacunek dla niego wzrasta. Zwinne, wyćwiczone mięśnie — to rozumieją, to potrafią docenić.

Gdy ciemność zapada, góry zdają się przybliżyć i otaczać wojsko, z dala słysząc krzyki nocnych ptaków, płomienie ogniska skaczą wzwyż, a Karol Edward woła o pieśń, o balladę, o legendę.

Starzec bard powstaje, bierze do rąk instrument. Głos ma

niezwykle silny, donośny, jak wielki aktor, a skały zamykające kotlinę tworzą doskonałą akustykę.

— „...na jego ramieniu smukła strzelba, u pasa roŚek z prochem i kule, przy nodze wierny pies... śył wedle tradycji dawnych myśliwych. Nie przepędzał godzin czekania na łowy grając w karty, albo łykając dym tytoniowy, albo pijąc whisky... ale wzywał bardów, śpiewaków, zachęcał ich do układania ballad o słynnych łowach, o olbrzymach... słodkie były jego uszom ich pieśni, a lekka jego ręka na harfie...”

Nocą ksiąŜę owija się w swój pled tak, jak go nauczył poeta na pokładzie „Doutelle”, aby w razie alarmu mógł zerwać się bez przeszkody, z szablą i pistoletem w dłoni. Stary Sir Thomas Sheridan układa się obok niego i zawsze ma przydzielone najwygodniejsze legowisko na mchu. A o parę kroków dalej, czujna jak kot, śpi Klementyna.

Przekonawszy się nareszcie, Śe nawet bez „przygotowań na jego przyjęcie” Młody Pretendent wylądował z zamiarem wzniecenia rebelii — władze w Edynburgu decydują, Śe Sir John Gope musi jak najśpieszniej maszerować prosto na przeciwnika i pokonać go bez Śadnej zwłoki. To łatwe zadanie, zapewniają go:

— Tacy awanturnicy, desperaci, łowcy fortuny jak ten zwariowany młokos mogą zebrać tylko bezładną bandę, która się rozpierzchnie od kilku regularnych salw.

Co więcej, zapewniają Cope'a, że po drodze przyłączy się do niego wiele setek górali. Władze w Edynburgu są równie zadufane, jak i sam książę. Ale nikt nie ma ku temu podstaw.

Cope przygotowuje się do wykurzenia rebeliantów. Nawet gdyby przyjąć, że pogarda dla „awanturników, desperatów, łowców fortuny” jest uzasadniona, powzięty plan nie grzeszy rozważą. Ludzie Cope'a nie znają gór. Tabory i artyleria będą mogły się tam posuwać tylko z największymi trudnościami.

Nieprzyjaciel zna każdą górską perć, każdą przełęcz, każde dogodne miejsce na zasadzkę, każdą kryjówkę. W 1715 f. książę Argyll, dowodzący wojskami rządowymi, rozsądnie pozostał na niskim pogórzu, strzegąc wejść do przełęczy, upewniając się, że bitwa musi być rozegrana na równinie. Ale Cope — dzielny, lecz obawiający się odpowiedzialności — słucha wydanych rozkazów.

Karol Edward zamierza nie dopuścić Anglików do gór. Cope chce wygnać rebeliantów z gór. sąda, by dla obrony Edynburga

ściągnięto

wojska

z

pogranicza

szkocko-angielskiego.

Odpowiadają mu mniej więcej, by pilnował własnych spraw. Tak więc Cope maszeruje na północ z dwoma tysiącami ludzi, z taborem zapasowej broni i amunicji, czterema armatami, prowiantem na dwadzieścia jeden dni. Duncan Forbes udał się już poprzednio w góry, by nakazać wodzom i szeryfom wzdłuż trasy pochodu Cope, iż mają mu udzielać wszelkiej pomocy.

Po zgnieceniu powstania z 1715 r. wydano nakaz rozbrojenia klanów. Klany jakobickie, oczywiście, nie oddały broni. Nie było tego sposobu wyegzekwowania tego nakazu. Tylko klany lojalne wobec rządu oddały broń. Więc jeżeli teraz mają dopomóc Sir Johnowi Cope, trzeba im dostarczyć broni. Nie takie to proste. Księżę Argyll, którego ziemie obejmują całe po-

łudniowo-zachodnie góry, włącznie z Argyll i Kintyre, oraz duŜymi wyspami Muli i Islay, a którego potencjalne wojsko liczy pięć tysięcy ludzi, opowiedział się za rządem, ale odmawia przyjęcia broni. To by było przeciwne prawu.

— Zdaję sobie sprawę z kłopotów, wynikających dla rządu i dla kraju — powiada — ale nie zamierzam narazić się na kary i później oczekiwać pardonu.

Argyll wie coś niecoś o rządach. W podłym strachu, w chwili krytycznej zachęcają do łamania praw, a gdy niebezpieczeństwo minie, będą karać za ich łamanie.

Marsz Cope'a zaczyna się na dobrych drogach. Kieruje się do Dalwhinnie, skąd zamierza skręcić w góry, gdzie za kaŜdym załomem skalnym moŜe czyhać wróg, do przełęczy Corrieayairack i do Fortu Augustus, o nielicznym garnizonie, którego komendantem jest stary i zniedołęŜniały do tego stopnia oficer, Őe jego córka musi pisać za niego rozkazy. Cope nie wie jeszcze, Őe ksiąŜę i jego „banda awanturników” postanowili uprzedzić ich na przełęczy. Tak, Cope nie wie jeszcze wielu rzeczy. Ale się nauczy.

W Crieff, na drodze na północ, Atholl, brat banity, towarzyszącego Karolowi Edwardowi, spotyka Cope'a. Atholl powiedział poprzednio Duncanowi Forbesowi, Őe wezwie pod broń setki wojowników swego klanu Macgregoiów. Teraz powiada, Őe podlegli mu wodzowie odmówili posłuszeństwa. Nie moŜe

przyprowadzić ani jednego człowieka. Ani teŝ nie chce wziąć
broni, którą mu wciska Cope. Powiada, ŝe jeśli by przywiózł ze
sobą do klanu broń, to wojownicy zabraliby ją i udali się do obozu
Młodego Pretendenta. Bądź co bądź, rozbrojenie lojalnych klanów
nie było zupełnie bezsensowne. Lord Glenorchy takŝe pisał lojalne
i pełne obietnic listy do Edynburga, do Cope'a osobiŝcie. A teraz
wita generała z pełnym wozem — wymówek. Nie przyprowadził
nikogo.

Wozy z zapasową bronią sã nie tylko nieuŝyteczne: stajã się
ciężarem, kulã u nogi. Cope odsyła połowã z nich pod eskortã z
powrotem do Sterling.

79

Jeszcze i inne kłopoty spadajã na głowã angielskiego generała.

Z kaŝdã przebytã miã przekonuje się coraz wyraźniej, ŝe
zapewnienia o poparciu klanów były bezpodstawne. Klany sã
czasem obojętne, czasem wyraźnie wrogie. ŝadnych rekrutów.
ŝadnego transportu. I ciãgle podstępne napaŝci: ktoŝ konie
taborowe kradnie nocami, wbrew czujnym straŝom; ktoŝ rozcina
wory, z których ziarno wysypuje się bezpowrotnie; prowiant
znika; ci z ŝołnierzy, którzy sã Szkotami, dezertują, a kaŝdy
zabiera ze sobã broń dla kilku ludzi.

Ksiaŝe miał trudności ze zwerbowaniem wojsk — Cope pa-
trzy, jak jego wojska z kaŝdym dniem topniejã.

W Dalwhinnie do obozu Cope'a zgłasza się angielski oficer,

którego Macdonaldowie wzięli do niewoli w zasadce przy Wielkim Glenie, a którego ksiąŜę wypuścił na parol. Przynosi wiadomości, Ŝe rebelianci sã juŜ prawdopodobnie w posiadaniu przełęczu Corrieayirack i jeŜeli tam będą czekali, znajdã się w pozycji nie do zdobycia. Atakowanie przełęczu musi się skończyć klęską atakujących i wielkimi stratami.

Cope decyduje zostawić własnemu losowi Fort Augustus i maszerować do Inverness. Co chciał tym osiągnąć — trudno pojąć.

— Pogórze i Edynburg pozostaną zupełnie bezbronne, panie generale — zwraca uwagę jeden z oficerów sztabu.

— Rebelianci nigdy nie powaŜã się wejść na pogórze, zostawiając na swoich tyłach niepokonanã armię nieprzyjacielskã — odpowiada Cope.

Nie wie, co począć. Miał rozkaz maszerować na północ. Więć nadal maszeruje na północ. Jest pewien, Ŝe ksiąŜę pójdzie za nim, Ŝe wyda mu bitwę na równinach koło Inverness — a na równinach zwycięŜy księcia. Klany wówczas zobaczą, Ŝe nie ma Ŝadnej nadziei. Ci, którzy się jeszcze wahali, teraz zostaną w domach lub przyłączã się do wojsk rządowych. A ci, co juŜ się opowiedzieli po stronie księcia — zdezerterują. Wszyscy, jak przypuszcza Cope, będą się stosowali do reguł gry według jego osobistego pojęcia.

Ale buntownicy nie chcą się stosować do „takich” reguł gry.

Książę otrzymuje wiadomość o zmianie planów Cope'a od zaprzyjaźnionych górali. Rada wojenna. Musi teraz wysłuchać od swoich wodzów klanowych wszystkich argumentów tak niedawno wytaczanych przed Cope'a. I jeszcze nowych też.

Stary książę Atholl:

— Ja bym radził, mości książę, iść w ślad za Copem i wydać mu bitwę. Zwycięsymy go na pewno. Jego wojska są słabe, niewyćwiczone, na pewno wylęknione. Na obcej ziemi, gdzie żołnierz będzie oczekiwał, że każdy wznosi rękę przeciw niemu...

Keppoch:

— Niechaj górale sami o siebie się troszczą, moim zdaniem, mości książę! A my weźmy się za większą rzecz — Edynburg!

Tam wasza książęca mość z łatwością uzyska pieniądze:

przytrzymamy tych kupców z Dolnej Szkocji za portki i

wytrząśniemy z nich złoto. A co by nam przyszło z pokonania

Jasia Cope pod Inverness?

Lochiel:

— Z pokonania Cope'a w górach osiągnęlibyśmy wielką

korzyść. Mackayowie, Munroeowie, Sutherlandowie, Macin-

toshowie — rozglądam się dookoła, gdzie oni są? A oni są na

północ i na wschód i na zachód od Inverness. I czekają w tych

niedostępnych górach, bacznie śledząc wydarzenia. Niechaj więc

mają wydarzenie! Zwycięstwo wciągnie ich w nasze szeregi,

przybędą zaraz, podwoją, potroją nasze siły!

O'Sullivan, teraz pułkownik, mówi z punktu widzenia

kwatermistrza:

— Jego wysokość ksiąŜę potrzebuje pieniędzy i zapasów.

Tych nie znajdziemy w górach. Lojalność klanów jest mocno niepewna. I wiemy, Œe góral najpierw schowa worek ziarna, a potem przyjdzie ofiarować ci swoją krew.

— Ten Irlandczyk kłamie! — woła z oburzeniem Jennie

Cameron, zazdrosna o reputację szkockich klanów. — Nasza goŒcinnoŒć jest przysłowiowa...

81

Jennie ma rację, ale ma ją równieŜ O'Sullivan. Ten sam góral szkocki, który wystawi dla swego goŒcia obfitą ucztę, by ten zabrał ze sobą co tylko się da, ale w brzuchu, nie ofiaruje mu nic do zabrania w plecaku.

Stary Glenbucket, skrzypiącym, starczym głosem oŒwiadcza:

— Na drodze, którą Sir John Morę maszeruje do Inverness, moŒci ksiąŜę, znajduje się przełęcz zwana Slochd Mor.

Znam ją dobrze, kaŜdą szczelinę, skałę, załom. JeŒli tam się udamy spiesznym marszem — to tylko trzydzieŒci mil stąd —

a wasza ksiąŜęca moŒć pozwoli doradzić sobie co do rozstawienia naszych ludzi, moŒemy im urządzić taką zasadzkę, Œe

ani jeden szkarłatny mundur nie wymknie się z Œyciem lub

wolnością...

Clanranald mówi zwięźle:

— Maszerować na południe, mości ksiąŜę, zostawiając regularne wojsko, choćby i kiepskie, na naszych tyłach, jest strategicznym samobójstwem...

Podtrzymują bo: Boisdale, Kinlochmoidart i Sir John

Macdonald. Natomiast Macpherson z Cluny i angielski jako-bita

pułkownik Sheridan woleliby zwrócić się na południe i na

Edynburg. Doradcy nie wojskowi — ojciec Kelly, Sir Thomas

Sheridan, Eneas Macdonald — zachowali przezorne milczenie.

Książę jest w rozterce, czeka na jakiś przeważający jego decyzję

głos. Teraz potrzebna mu zimna krew, zdrowy rozsądek.

Odzywa się Eneas — głos bankiera, nie dbającego o prawa

militarnej gry:

— Edynburg jest nie broniony, wasza ksiąŜęca mość. Mo

Ŝemy tam szybko dojść, wziąć miasto. Wasza ksiąŜęca mość bę

dzie rezydować w Holyrood, siedzibie królów Szkocji. To wy

wrze wielkie wrażenie i w Szkocji, i w Anglii...

Holyrood, odwieczna rezydencja szkockich królów. Warto

będzie wysłać specjalnego gońca do Rzymu, niech zanieśe taką

wiadomość królewskiemu ojcu. I oto głos, przeważający szalę

decyzji.

Pościg za Copem odłóŜono. Bitwę odłóŜono. Nerwowa przezorność kaŜe iść na północ, ale śmiałe lekcewaŜenie prawideł zwraca się na południe.

Wodzowie, choćby i potrzásając głowami, muszą przyjąć decyzję księcia. Pochód idzie w kierunku południowo-wschodnim.

KaŜdy wódz maszeruje na czele własnego klanu. JeŜeli jedzie konno, nosi obcisłe spodnie tartanowe. JeŜeli idzie pieszo, kilt i sporran. Długie włosy zwiázuje z tyłu wstáŜką, a orle pióro, zatkníete przy berecie, oznacza jego rangę. Kurtka tartano-wa, kamizelka z tartanu, pończochy i pled z tartanu, przytrzymywany na lewym ramieniu duŜą mocną zapinką ze srebra i górskiego kryształu. Barwy: zieleń i Ŝólc, błękit i szkarłat. Para pistoletów zatkníetych za pas, u jednego biodra sztylet, o pochwie cyzelowanej w srebrze, obok nóŜ i widelec.

TuŜ za wodzem idzie jego najbliŜszy druh, brat mleczny, wykarmiony u tej samej piersi, bo Ŝona wodza nie karmi swego dziecka. Obok kroczy bard, w którego pamięci sá utrwalone dzieje klanu, wojenne czyny wodza. Za bardem kobziarz. Potrafi grać do tańca i do pieśni, potrafi zagrzewać ducha do marszu, a gdy jego wódz poprowadzi swoich ludzi do walki, dźwięki pibrochu wywołują bojowy nastrój całego klanu. Czwarty maszeruje Bładier, czyli główny mówca, człowiek świadom tradycji, precedensów, obrotny w języku, wypraktykowany w argumentach

i komplementach. I w końcu — czterech pachołków przydzielonych do osobistej słuŜby wodza: jeden niesie jego miecz i okrągłą tarczę z byczej skóry, nabijaną srebrnymi ćwiekami, drugi ma przenosić samego wodza przez brody, trzeci prowadzi jego wierzchowca na niebezpiecznych przejściach, czwarty niesie jego bagaŜe.

Członkowie klanu rozmaicie się ubierają i róŜną miewają broń: jedni strzelby i pistolety, inni stare obosieczne miecze, a niektórzy nic więcej prócz kos, osadzonych sztorcem i przyciętych. Ale kaŜdy ma sztylet lub dwa za pasem. I wszyscy noszą zatknięte w berecie gałązki rośliny, która jest symbolem ich klanu: ma to mistyczne znaczenie, jak amulet chroniący przed

8;
czarami i klęską: wrzos, oset, tarnina, dąb, woskownica, nawet wodorosty. I kaŜdy ma w pogotowiu hasło, zawołanie rodowe, dzikie i okrutne wezwanie do boju, wyrzaskiwane w chwili ataku.

Tych ludzi naleŜy się obawiać w kaŜdej walce. Dzicy. Okrutni. Gwałtowni. Nic dziwnego, Ŝe na wieść o ich nadejściu bębny i trąby dźwięczą na alarm w Sterlingu, w Edynburgu. Nic dziwnego, Ŝe szczupłe garnizony angielskie ulegają panice tak samo, jak zwykli mieszkańcy. Gdy pewien angielski dragon wpadł przypadkiem do płytkiej studni i narobił wielkiego hałasu, cały szwadron z miejsca zawrócił i uciekł!

Camero nowie nadciągają! Macdonaldowie, Fraserowie,
Gordonowie, Macphersonowie... Królewicz Stuart nadciąga!
A Jasio Gope z większością angielskiego wojska, jakie w
ogóle jest w Szkocji, usadowił się o dwieście kilometrów od
stolicy, koło Inverness.

Rozdział VII

ZMIANA WARTY W EDYNBURGU

To nie przygodny nocleg na wrzosowiskach pod gołym niebem.

Książę ma być gościem Lorda Stormonta. Wyprawa dotarła i zajęła bez oporu miasto Perth. Droga do sukcesu!

Książę prowadził klany przez hrabstwo Perth, największe, środkowe hrabstwo Szkocji, o granicach zataczających prawie regularny krąg, a dotykających na zachód Argyllshire, na wschód Angusshire, na północ Invernesshire, na południe Sterling.

Przeprawili się przez przełęcz w górach Grampian i Skidlaw.

okrążyli brzegi jezior Ericht, Rannoch i Tay. Szli po perciach,

halach i dolinach, nad którymi górowały starożytnie zamki o

nazwach znanych z historii. Przewędrowali trzęsawiska, siedziby

wypraw, wielkie ciemne puszcze, gdzie się kryją jelenie. Brodzili

przez strumienie, rojne od łososi i pstrągów. A nikt nie sypiał

krócej, nikt nie zrywał się wcześniej, by obmyć twarz w

kryształowym źródle, nikt nie wyprzedził w marszu, nie widział

zmęczonym księcia Karola Edwarda. Cieszył go każdy krok tego

trudnego pochodu. Pod względem siły i wytrwałości okazał się

godnym swoich stronników z gór. I powstawała wokół jego osoby

legenda wśród tego ludu, który kochał się w sile i sprawności.

A teraz, w południowo-wschodnim krańcu hrabstwa, miasto

Perth, leżące u ujścia rzeki Tay do Firth. Zwane „Pięknym

Miastem”: od 1310 r. na prawach królewskich, od 1452 r. sto-

lica Szkocji, miejsce koronacji szkockich królów. Wmieszane w kaŝde waŝniejsze wydarzenie burzliwej historii kraju, zdobyte i bez litoŝci potraktowane przez Olivera Cromwella w 1651 r., a w czasie powstania 1715 r. zajęte przez jakobitów. Znaczenie jego zmniejszyło się w miarę rozwoju Edynburga i Glasgow. Ale w jego małym porcie nadal panuje oŝywiony ruch, rojne targi odbywają się jak dawniej, powstaje przemysł farbiarski i destylarnie.

Tu krótki odpoczynek pochodu i dalej, do obecnej stolicy kraju.

W Pałacu Stormont witają księcia dwie stare siostry jego lordowskiej moŝci. Starsza mówi:

— Mój brat głęboko ŝałuje, ŝe go tu nie ma. Wezwano go — hm, hm — przed kilku dniami do zachodnich okolic hrabstwa w sprawach związanych z jego majątkami.

Książę marszczy brwi. Nieobecność jego lordowskiej moŝci jest wyraźną zniewagą, nawet chociaŝ Karol Edward nie wie, ŝe Stormont wyjechał z domu zaledwie przed paru godzinami, nie chcąc być zmuszonym do jawnego zdeklarowania się; wolałby zaczekać, aŝ będzie pewniejsze, kto zatriumfuje: Stuartowie czy Hanowerczycy. Banda łotrów...

Opamiętawszy się szybko, książę roztacza swój uwodzicielski czar przed starymi damami. Popatrują one trochę z ukosa na dziewczynę, która zwie się przybocznym gwardzistą i ŝyczy sobie

łóSka przed drzwiami sypialni ich królewskiego gościa.

Klementyna mieszkała w domu swego stryja właśnie w Perth.

JednakŜe ani na jedną godzinę nie opuszcza swej słuŜby. Idzie za

Karolem Edwardem jak cień, nieodstępna, bystrym wzrokiem

zawsze wypatrując czyhającego w ukryciu nieprzyjaciela.

Damy w Pałacu Stormont szybko ulegają czarowi swego

urodziwego gościa o dwornych manierach. Goszczą go, częstują,

raczą winem, komplementami, które odwzajemnia, piją za jego

powodzenie, za zdrowie króla za morzami.

Diuk Perth, ten, który słał wiadomości do księcia do Pary-

86

Ŝa, Ŝe powstanie uda się nawet bez pomocy Francuzów, nadciąga z

dwustu ludźmi, by się przyłączyć do klanów. Jest odwaŜny i

lojalny, ale zbyt mało posiada talentów wojskowych, by go

mianować generałem, co ksiąŜę właśnie czyni. Przybywają teŜ

lordowie Strathallan, Oliphant z Gask i kilku innych panów, kaŜdy

ze zbrojnym poczem. Zjawia się wreszcie Jöhn Murray z

Broughton. Przyprawdza ze sobą kawalera Jamesa Johnstona,

syna bogatego kupca edynburskiego, który przywozi hojną

kontrybucję pienięŜną, dzięki czemu zostaje mianowany

adiutantem.

Jest jeszcze jeden, którego przybycie jest w sensie wartości

militarnych waŜniejsze od wszystkich pozostałych, razem wię-

tych: Lord George Murray, krewniak Johna Murraya z Broughton.

Bardzo zdolny Szołnier, weteran powstania z 1715 r. Wysoki, barczysty mężczyzna o wydatnych rysach twarzy. Wytrwały, czujny, energiczny, pilny, o przysłowiowej odwadze. Ma zwyczaj mawiać do swego klanu:

— Nie chcę, byście szli przede mną, moi chłopcy, ale zawsze tuż za mną!

Lord George dostarcza powstańczej armii to, czego jej bardzo brak: zdolności i doświadczenia wytrawnego Szołnierza. Niestety, cechuje go wyniosła wzgardliwość w stosunku do ludzi mniej zdolnych, mniej doświadczonych.

Mianowany

generałem,

odmawia przyjęcia rangi, dowiedziawszy się, że ten sam stopień przyznano diukowi Perth. Lochiel „Łagodny” zdoła go w końcu przekonać, by cofnął rezygnację i przyjął rangę, ale incydent podważył zaufanie, jakie książę w nim pokładał.

— To zbiegowisko klanów — powiada Lord George z przekąsem — dobrze by się nadawało, gdybyśmy chcieli urządzić polowanie na jelenia. Ale do walki z regularnym wojskiem angielskim potrzeba nam bardziej militarnej organizacji, większej dyscypliny, ładu i ordynku. Proszę waszą książęcą moc, by zechciał mnie zatrudnić podczas tego kilkudniowego postoju w

Perth, sprawami musztry. Niewiele tego będzie, bo czas
nagli. Ale zawsze coś.

— Chętnie przyjmuję propozycję i waszą pomoc —

odpowiada ksiąŜę. — Ale proszę dyscypliną i formalnościami nie zabić w tych ludziach ich dobrej woli i zapału.

— Te zalety są bardzo cenne, mości ksiąŜę. Ale powinny być uŜyte dla wspólnego dobra, a nie w pojedynczych wyczynach, jak to zwykle z klanami bywa. To jest powaŜne przedsięwzięcie, nie zajazd na bydło!

— Zostawiam to w waszych rękach — mówi ksiąŜę, które mu wyniosłość i wzgardliwość Lorda George'a nie bardzo przypadają do gustu. — Ja mam na razie wiele innych spraw, którym muszę poświęcić swój czas i uwagę.

Inne sprawy. Kawaler Johnstone przywiózł gotówkę, bardzo mało w porównaniu z potrzebami. Prowiant, odzieŜ, amunicja dla armii, liczącej teraz ponad pięć tysięcy ludzi — to nie drobiazg!

Karol Edward i jego kwatermistrz głowią się nad sposobami zapełnienia królewskiego mieszka. Zabierają się do tego

uświęconym

sposobem

wszystkich

wojsk

okupacyjnych.

Nakładają na miasto Perth kontrybucję w wysokości pięciuset funtów szterlingów i proporcjonalne sumy na inne miasta w

hrabstwie. Dostają teŝ prywatnie fundusze od poddanych, którzy doszli do przekonania, ŝe jeśli nie złoŝą dobrowolnej kontrybucji, mogą być naraŝeni na nie zawsze łagodne obyczaje „dzikich” górali.

Malowniczo przedstawiają się klany w pochodzie — temu nikt nie zaprzeczy. Ale mieszkańcy nizin Szkocji znają dzikie okrucieństwo, jakie się nierzadko kryje za malowniczym wyglądem. Szkot z gór i Szkot z nizin naleŝą formalnie do jednego narodu, jednakŝe prowadzą bardzo odmienny tryb ŝycia. Górale zachowują jeszcze ustrój plemienny, a utrzymują się po większej części z tego, co im dają lasy, hale i strumienie. Od pokoleń terroryzowali niziny częstymi wypadami na gospodarstwa i dwory, by łupić, rabować, zabijać w razie oporu i zaraz uciekać, unosząc bogatą zdobycz.

Organizacja społeczna nizinnej Szkocji, wyjąwszy parę większych miast, ma charakter feudalny i patriarchalny.

88

„Laird” na nizinach, odziany w samodział, w niebieskiej czapce na głowie, rządzi rodziną, słuŝbą, parobkami i dzierŝawcami z ojcowskim despotyzmem, ale bez surowości jakiegoŝ Clanranalda. Prowadzi dom otwarty, chętnie przyjmuje podróŝnych, wspomaga ubogich. Do swoich ludzi zwraca się, nazywając ich imieniem folwarków; oni do niego mówią imieniem jego majątku. Gdy podróŝuje, na przedzie biegną dwaj słuźy, odziani na biało,

w czarnych czapkach, z długimi halabardami. Następnie pół tuzina konnych, potem powóz „lairda” i znowu konni. DzierŜawcom i słuŜbie wydaje się, Ŝe to królewska kawalkada z Londynu. KaŜdy na drodze czy na polu przystaje, by popatrzeć. PoŜadane urozmaicenie codziennej monotonii.

Niektórzy „lairdowie” są zaprzyjaźnieni z naczelnikami klanowymi, wyprawiają się w góry na łowy; niektórzy noszą teŜ kilty. Przepaść, dzieląca mieszkańców nizin od górali nie jest nieprzebyta; ale klany Ŝywią rodzaj pogardy w stosunku do zasiedzialego, spokojnego, zapobiegliwego trybu Ŝycia na nizinach; u mieszkańców nizin nad kaŜdym uczuciem dominuje strach.

W 1707 r. politycy Anglii i Szkocji obmyślili i uchwalili Akt Unii. według której dwa kraje stały się jednym państwem, całością ekonomiczną, rządzoną przez parlament, chociaŜ w niejednakowej liczbie posłów; Anglii przysługuje większość. Postanowienia Unii poświęciły polityczną niepodległość Szkocji na rzecz rozwoju ekonomicznego. Górale z małymi wyjątkami, sprzeciwiali się Unii. Obawiali się, i nie bez racji, angielskiej penetracji w ich góry i gleny, podwaŜenia ich tradycyjnego trybu Ŝycia. Mieszkańcy nizin mieli inne poglądy, uwarunkowane innymi okolicznościami, odmiennym stadium rozwoju. Dostrzegli, Ŝe granica między obu krajami nie będzie więcej przeszkodą, lecz raczej ogniwem w handlu. Przewidywali moŜność wzbogacenia się, szybki rozwój

gospodarczy.

W przeciwieństwie do górali, prawie wyłącznie katolików, większość mieszkańców szkockich nizin naleŜy do sekty prezbi-

89

terianów. W XVII wieku z rąk angielskich królów z dynastii Stuartów — którzy oficjalnie naleŜeli do kościoła protestanckiego, ale potajemnie, a nawet nie zawsze potajemnie, skłaniali się ku papizmowi — presbiterianie wiele wycierpieli. Trudno się spodziewać, aby ich potomkowie z entuzjazmem witali katolickiego pretendenta, którego ukoronowanie z całą pewnością doprowadzi znowu do prześladowań innowierców.

ToteŜ teraz szlachta i kupiectwo na nizinach szkockich są, jeśli nie wrogo nastawieni, to najwyŜej obojętni wobec księcia i jego wyprawy. Wszyscy oni wygodnie się urządzili, mają posiadłości ziemskie, folwarki, urzędy, sklepy, warsztaty. Jeśli Karol Edward zwycięŜy, niewiele im z tego przyjdzie. Jeśli poniesie klęskę, cały kraj zaleją szkarłatne mundury, będą rekwirować bydło, opróŜniać ich stodoły i spichrze. Mają wiele do stracenia. A brak im wygodnych kryjówek w niedostępnych górskich zakamarkach. Nie zdradzają ochoty zaryzykowania dobrobytu i pokoju dla wątpliwej zmiany.

Karol Edward nie moŜe liczyć na poparcie nizin. Ale jego optymizm wcale się nie zmniejsza. Gdy jego podjazdy w hrabstwie Perthshire zajmują się zdobywaniem gotówki starą metodą

Stuartów, która zaprowadziła Karola Pierwszego na szafot, to znaczy wymuszonymi kontrybucjami, w Perth odbywa się wielki jarmark. Książę kazał wydać glejty angielskim kupcom i handlarzom i chętnie ich zapewnia:

— Powiedzcie swoim rodakom, że za dwa miesiące będę ich oczekiwał w Pałacu St. James w Londynie.

Tymczasem kilku księży katolickich zajęło się werbowaniem rekruta do wojsk powstańczych. Ojciec Duthie, przełożony w Seminarium Scalan, śle entuzjastyczne wezwanie do wszystkich katolików w górach, nakazując im przyłączyć się do księcia. Inni duchowni przypasują szerokie miecze szkockie, zatykają sztylety za pas i idą wraz z klanami, jako kapelani z rangą kapitanów.

Dwaj księża ze Strathaven w nizinnym hrabstwie Lanark, ojciec Grant i ojciec John Tyrie, rzucają losy: który z nich będzie miał zaszczyt przelewać krew, a który za-

90

zna rozczarowania i będzie musiał pozostać na plebanii. Wygrywa ojciec Tyrie, o którym będzie głośno wszędzie, gdzie tylko biją się wojska powstańcze. Kazanie na Górze zostało zapomniane, gdy można angielskich heretyków karać mieczem i ogniem.

Karol Edward z niechęcią, chociaż i z satysfakcją przyglądał się wysiłkom Lorda George'a Murraya w zaprowadzaniu dyscypliny i stworzenia czegoś przypominającego regularną armię z wojowniczych klanów. Militarne talenty Murraya budzą zawiść

innych. Książę Perth, pułkownik O'Sullivan i Kep-poch oblegają wciąż księcia skargami:

— Lord George robi wszystko na własną rękę...

— Niczyjej rady nie chce słuchać...

— Doprawdy, tak sobie poczyną, jakby to on, a nie książę był wodzem naczelnym.

Zaufanie Karola Edwarda do tego najzdolniejszego ze wszystkich jego dowódców zmniejsza się z każdym dniem. Do zalet księcia nie należą trafna ocena ludzi, ani też umiejętność odrzucania insynuacji zawistnych doradców.

Targ w Perth skończony. Podjazdy przywiozły ściągnięte w hrabstwie kontrybucje i napełniły skarbczyk pułkownika O'Sullivana. Dostatek tego jest, by umożliwić księciu poprowadzenie swoich stronników dalej na południe — do Edynburga.

Tego samego dnia, kiedy Karol Edward dotarł do Perth, Sir John Cope, pojawiwszy, że zostawiono go bezczynnie w górach, a Edynburg znalazł się w niebezpieczeństwie, wyrusza z Inverness. Maszeruje do Nairn, nad zatoką Moray, trzydzieści kilometrów na północny wschód, po czym skręca na południowy wschód przez hrabstwa Moray i Banff. I gdy Młody Pretendent opuszcza Perth, Cope dociera do Aberdeen z wojskiem zdrożnym, ale szczęśliwie zaokrętowanym na statki transportowe. Cope pragnie dostać się do Leith, portu Edynburga, za-

nim Karol Edward obejmie w posiadanie stolicę. To wyścig między wiatrami w ręku Boga, a silnymi nogami szkockich klanów.

Teraz, w czasie tego pochodu można docenić korzyści, wynikłe z wysiłków Lorda George'a Murraya wpojenia dyscypliny i ładu w niesubordynowane szeregi klanów. Górale przejawiają niezwykłą wstrzemięźliwość. Maszerują w szeregach. Słuchają rozkazów. Oficerowie i sierżanci pilnują, aby nikt nie oddalał się z szeregów w celach rabunku.

Firth of Forth wcina się głęboką zatoką w szkockie niziny.

Karol Edward musi więc maszerować na południowy zachód do Dunblane, a później prosto na południe do Stirling, zanim znajdzie się znowu na drodze na wschód, drodze do stolicy. Pochód dociera do brodu na rzece Forth. Na przeciwległym brzegu stoją dragoni pułkownika

Gardinera.

Po

raz

pierwszy

książę

widzi

nieprzyjaciela. Tylko z dala. Dragoni zawracają i odjeżdżają, by zawiadomić o nadciąganiu buntowników. Książę pierwszy wskakuje do wody.

W Sterling znajduje się potężny zamek. Lord George Murray

doradza:

— Zostawmy go, mości ksiąŜe! Garnizon tam zbyt nieliczny, Ŝeby odwaŜyli się wyjść za mury. A niczego nie wskóramy, naraŜając ludzi na ogień armatni.

Działa forteczne oddały salwę, gdy klany przechodziły, na bezpieczną odległość. KsiąŜe odpowiada, wymachując beretem.

Do jadącego konno starego Atholla, obok którego właśnie idzie, powiada:

— Psy szczekają, ale nie ośmielą się kąsać!

KsiąŜe jest w wybornym humorze, pełen wigoru. MoŜe za wcześnie na taką radosną pewność siebie, ale gdy terier atakuje mastyfa, musi się zdobyć na ufność we własne siły.

Na razie więcej jest powodów do radości, aniŜeli nawet księciu wiadomo. Dragoni Gardinera nie zostali w Stirling:

92

uciekli do Edynburga. Ani nawet tam się nie zatrzymali. Wydaje im się bezpieczniej po tamtej stronie miasta. A przyniesiona przez nich wieść o nadciąganiu „dzikich hord męŜów z gór” budzi popłoch w Radzie Szkockiej, przeraŜa Duncana Forbesa. Oni równieŜ wybierają raczej rozwagę, niŜ odwagę. Pozostawiają Edynburg pod opieką burmistrza; a gdy ten dygnitarz wzywa ochotników do obrony miasta — zaledwie siedmiuset się zgłasza. Mieszkańcy Edynburga kalkulują, Ŝe niewiele zyskają w walce, w

której nie mają szansy zwycięstwa, a ci, co przeŹyją, będą traktowani jak zdrajcy dynastii Stuartów. Lepiej spokojnie siedzieć w domu i czekać, co będzie dalej!

O jakieś cztery kilometry na południe od Stirling klany dotarły do miejsca, które było sceną szkockiej chwały — pole bitwy pod Bannockburn. Tu w 1314 r. Robert Bruce, król Szkocji, wywalczył niepodległość dla swego kraju. Jego wojsko, na które składali się wyłącznie piesi wojownicy, zbrojni w oszczepy, zwycięŹyło w krwawej bitwie o wiele potężniejszą armię, włącznie z tysiącem jazdy, pod wodzą króla angielskiego Edwarda Drugiego.

Wspomnienie tego chlubnego zwycięstwa może zaiste rozpać serca ludzi, skłonnych do romantyzmu.

Nieco później ksiąŹę spotyka na gościńcu Lorda Elcho, którego nie widział od chwili rozstania w Gravelines. I znowu powód do satysfakcji, powód realny, solidny, brzęczący.

— Przyłączam się do waszej wysokości nieco spóźniony — powiada Elcho. — Ale nie zmarnowałem tego czasu. Nie przychodzę z próŹnymi rękoma.

Zwraca się do kwatermistrza O'Sullivana, towarzyszącego księciu i wskazuje konia, obładowanego ciężkimi workami.

— Proszę przeliczyć, pułkowniku! Zebrałem dla naszej sprawy tysiąc pięćset gwinei!

W Edynburgu — panika! sylaste nogi górali okazały się szybsze od wiatrów w ręku Boga. Na oknach sklepowych po-

zakładano Ŝaluzje. Kobiety siedzą zamknięte w pokojach. Tłum
 męŜczyzn gromadzi się wokół Domu Złotników, gdzie rajcy
 miejscy mają postanowić, czy bronić się przed rebeliantami, czy
 teŜ dojsć z nimi do ugody. Ledwie zegary wybiły południe, gdy
 rozlega się tętent kopyt końskich na ulicznym bruku. NadjeŜdŜa
 szlachcic z gór, strojny w barwną kratę swego klanu. Tłum
 rozstępuje się przed nim w milczeniu. Szlachcic wstępuje po
 schodach:

— W imieniu Regenta Szkocji i Anglii Ŝądam, by mnie
 wpuszczono!

Wręcza burmistrzowi list. DrŜącymi rękoma dygnitarz prze-
 łamuje pieczęcie.

„Jeszcze teraz gotowi jesteŝmy wkroczyć przyjaźnie do uko-
 chanej stolicy naszego staroŜytnego królestwa Szkocji... Ŝądamy
 przyjęcia nas tak, jak to nakazuje wasz obowiązek... przyrzekamy
 przestrzegać wszelkich swobód i przywilejów miasta, uszanować
 własność kaŜdego z naszych poddanych. Ale jeŜeli spotkamy się z
 jakimkolwiek

oporem,

nie

moŜemy

odpowiadać

za-

konsekwencje..."

Krótko mówiąc, zwykle dwuznaczne deklaracje najeźdźcy.

Kładź się potulnie i pozwól, bym cię podeptał, a wszystko będzie dobrze, w każdym razie dla mnie. Spróbuj się opierać, a mój palec naciśnie cyngiel, nie z mojej winy.

Posel odchodzi do sąsiedniej sali, by czekać odpowiedzi.

Któryś biuralista, by zasłużyć sobie na względy, przynosi mu flaszkę wina.

Rajcy dyskutują gorąco.

— Bronić się! Dowieść, żeśmy nie tchórze...

— Bronić się? Jak, czym? Nasze wały i mury są zniszczone.

Posiadamy ledwie parę armat, i to starych, nie wartych, które prędzej zabiją własnych kanonierów, niż wroga...

— Brak nam żołnierzy...

— Brak zapasów żywności...

— Sir John Gope z pewnością jest już niedaleko. Nadciągnie z odsieczą, może nawet za parę godzin...

94

Gope jest dalej, niżby sobie życzyli.

Posel wraca do księcia z prośbą o odłożenie chwili wkroczenia, żeby można było przygotować się należycie do przyjęcia.

Siedmiuset ochotników czuwa przez całą noc na wyznaczonych posterunkach. Rankiem posel nadjeżdża znowu. Księżę nie zgadza się na odkładanie wjazdu do miasta. Jakże to-„przyjęcie" chcą

przygotować?

— „śędamy natychmiastowego poddania miasta. JeŚeli nie...”

Znowu debaty. Znowu brak zgody. Do tłumów, zebranych wokół Domu Złotników podjeŚdŚa jeździec na siwym koniu.

— Tysiąc sześćset górali maszeruje! — krzyczy i odjeŚdŚa galopem.

Dwuznaczność jest narzędziem propagandy.

Mieszczanie zaczynają wołać:

— Ugoda! śędamy ugody!

— Pozarzynają nas w łóŚkach...

— Nasze Śony... nasze córki!

Wielu z nich, gdy znajdą się we własnych domach, nie zdradza takiej znowu wielkiej paniki. Dziewczęta są zdania, Śe jest ich i tak za wiele w Edynburgu. MęŚatki często narzekają na indolencję swoich małŚonków. A ci górale nie są tak wstrzemięźliwi... i te krótkie spódniczki!

Cztery kompanie ochotników składają broń i roztapiają się w ciemnych zaułkach. Dwa banki przewoŚą swoje zapasy pieniędzy do zamku. A wśród rajców nadal niezgoda. Burmistrz nie moŚe powziąć decyzji. Poseł odjeŚdŚa, zniecierpliwiony czekaniem.

Mieszczanie, którzy wołali: „śędamy ugody!” — poszli do domów. Bramy miasta pozostają zamknięte. Druga noc zwątpienia, a w niektórych sercach kobiecych — nadziei.

Lord George wysłała dziewięciuset ludzi pod wodzą Lochiela,

by wysadzić w powietrze jedną z bram i zająć miasto siłą.

— Unikać rozlewu krwi, o ile się da. Ci mieszczenie winni stać się naszymi przyjaciółmi, a nie wrogami — przykazuje ksiąŜę.

95

Gdyby doprawdy tak mu zaleŜało na unikaniu rozlewu krwi, powinien by zostać w Rzymie. Wznecając rebelie, nie moŜna uniknąć przelewu krwi, prędzej czy później.

Lochiel próbuje róŜnych środków, ale bezskutecznie. Myśli juŜ o odstąpieniu, gdy około północy przekupiony straŜnik otwiera bramę miejską, by wypuścić jakiegoś spłoszonego kupca, uciekającego z miasta.

Niejaki kapitan Ewan Macgregor podchwytuje sposobność.

Nim zdołano zamknąć bramę, wpada do wewnątrz, a tuŜ za nim paruset górali. Z obnaŜonymi szablami, z tarczami na lewym ramieniu, klany maszerują spieszenie po opustoszałych, ciemnych ulicach. Macgregor wysłał jeden oddział, by zdobył wartownię, gdzie kilkunastu ochotników kryje się w przeraŜeniu. Resztę swoich ludzi, nakazując im milczenie, prowadzi do parlamentu, a poszczególne oddziały wysłał, by opanować dalsze bramy miejskie. Ochotnicy przewaŜnie juŜ poznikali. NajodwaŜniejsi przyłączyli się

do

szczupłego

angielskiego

garnizonu,

stacjonującego na zamku.

Kapitan Macgregor dokonał swego udanego zamachu nocą, bez zamieszania, bez hałasu. Wysłała wiadomość do Lochie-la, otrzymuje posiłki, które nadchodzą równie sprawnie, w zupełnym porządku i ciszy, tak dalece, że później ich oficerowie i sierżanci mówili: „Zachowywali się, jak niewinne dziecięta, ponad wszelkie spodziewanie ich najlepszych przyjaciół!”

Tymczasem Edynburg śpi, aczkolwiek snem trochę niespokojnym. Wczesnym rankiem pewien mieszczanin, wyszedłszy na ulicę, ze zdumieniem spostrzega górala obok działa.

— Nie naleśycie do wczorajszej warty! — mówi niespokojnie, przypatrując się spódniczce i przerzuconemu przez ramię pleadowi.

— A nie — brzmi lakoniczna odpowiedź. — Zmieniono wartę od wczoraj.

Rozdział VIII

ZWYCIĘZCA SPOD PRESTONPANS

W kaśdym oknie twarze: wystraszone, ciekawe, pełne nadziei, niespokojne. Na kaśdym murze, kaśdym podwyższeniu gapie. Kaśdy pomnik oblepiony zwinnymi młodzikami. Na ulicach

łoczno, głowa przy głowie. Mężczyźni, kobiety, dzieci wszystkich klas, każdego wieku.

Lochiel Łagodny jest w Edynburgu. Kapitan Macgregor jest w Edynburgu. Dziewięciuset górali z klanów zawładnęło miastem o stu tysiącach mieszkańców. Cała stolica Szkocji oczekuje przybycia jednego człowieka — Pięknego Księcia Charlie.

Przezorność edynburczyków wobec dynastycznych zmian wcale nie tłumi ich ciekawości, ani nie psuje im apetytu na widowisko, królewskie widowisko, chociażby nawet ta królewskość była dość uboga. Wyobraźnię romantycznych mieszkańców rozpalila odwaga Karola Edwarda. Prócz tego, księżę ponoć słynie z urody.

I nosi kilt...

Południe. Pięć tysięcy górali o marsowym wyglądzie, równymi szeregami podchodzi do Królewskiego Parku, gdzie w zamku nadal jeszcze przycupnął w trwodze angielski garnizon. Prawe skrzydło górali prowadzi diuk Perth. Lewe Lord Elcho. W środku maszeruje na czele Młody Pretendent. Tuż za nim szczupła chłopięca sylwetka z obnażoną szablą. Dalej nieliczny oddział jazdy, mężczyźni w tartanowych spodniach na drobnych górskich konikach, ale silnych i wytrwałych. Za

97

nimi główne siły piechoty pod wodzą Lorda George'a Murraya: kobzy grają, kilty powiewają rytmicznie, tarcze na lewym ramieniu, miecze, pistolety, strzelby, kordelasy, kosy sztorcem

osadzone.

Książę nie zawiódł oczekowań. Wszystkie oczy wpatrzone w niego. Gwiazda przewodnia! Gwiazda zwodnicza! Wśród kobiet szepty:

— Urodziwy zaiste...

— Wysoki, piękny...

— Ten spiczasty podbródek i drobne usta są trochę zniewieściałe...

— Ale ciało muskularne, silne...

— A to chyba najwładniejsze!

Chichoty.

Karol Edward nie szczędził wysiłków, by wywrzeć odpowiednie wrażenie. W Perth zaopatrzył się na tę okazję w strój, który cokolwiek przypominał barwne upierzenie koguta, dumnie przechadzającego się przed oczyma samiczek swego stada, ale jednocześnie taktownie podkreślał jego szkockie pochodzenie. Ponad łukami brwi, pięknie zarysowanymi na wysokim czole, jaśniała bujna peruka pod błękitną aksamitną czapką, opasaną złotą koronką i uwieńczoną białą kokardą jakobitów. Pierś muskularną, a po młodzieńczemu zwinną, opinał krótki kraciasty kaftan z orderem św. Andrzeja. Pas błękitny, przetykany złotem. Spodnie obcisłe z tartanu i wysokie wojskowe buty. Szpada w pochwie ze srebra. Romantyczny młody książę. Za wcześnie jeszcze, by orzec, czy dobrze zagra swoją rolę. Ale na pewno wie,

jak się do tej roli przystroić.

Przenikliwe wiwaty, okrzyki na cześć księcia i jego dzielnych druhów. Zatrzymuje się przed St. Anthony's Well, zsiada z konia.

Kobiety cisną się dookoła, całują jego rękę, dotykają królewskich szat. Mężczyźni spoglądają w milczeniu. Ich obecność może być przez rebeliantów przyjmowana jako poparcie; ich milczenie będzie wyjaśnione przez legalne władze jako milczący sprzeciw.

Jutro, w przyszłym tygodniu, w przyszłym mie-

98

siącu Anglicy mogą powrócić. Lepiej się nie narażać śladnej ze stron.

Kobiety wciskają się w szeregi maszerujących klanów. Mniej ufni we własne siły, spośród ich małżonków i kochanków, czują dziwne swędzenie nad czołem, w miejscach, gdzie mogłyby wyrastać rogi.

Książę znowu dosiada wierzchowca, prowadzi swoje oddziały na wschód, ku siedzibie szkockich królów: to przynęta, w którą go zwabił Eneas Macdonald, zaćmiewając rozsądek wojskowej strategii.

Ludność towarzyszy wojsku do Holyrood. Gdy książę wstępuje na schody przed pałacem, z tłumu wychodzi poważny szlachcic i wznosi do góry obnażony miecz. Drobną ręką Klementyny chwyta za rękojeść szabli. Książę Perth kładzie po ojcowsku dłoń na jej ramieniu i szepce:

— Przywilej jego rodu! To Hepburn z Keith. Zgodnie

z tradycją głowa tego rodu wprowadza monarchę do Holyrood.

James Hepburn wstępuje tyłem po schodach, prowadząc księcia krok po kroku.

Na balkonie ksiąŜę Atholl odczytuje proklamację, tę samą, którą po raz pierwszy ogłoszono w Glen Finnan. Wśród zebranych tłumów jeździ konno kobieta, rozdzielając stuartowskie białe kokardy. Őona Johna Murraya z Broughton. W chwili, gdy Atholl zwija pergamin z proklamacją, rozlega się salut artyleryjski. Ale to nie armaty księcia przemówiły: ksiąŜę właściwie artylerii nie posiada. To garnizon zamkowy strzela, a tak szczęŝliwie, Őe dosięga północno-zachodniej wieŝy Pałacu Holyrood, zasypując odłamkami tynku i cegieł dziedziniec. Daremny gest? Czy ostrzeŝenie?

W Holyrood ksiąŜę przyjmuje uroczysty hołd wodzów klanowych, a takŐe tych kilku panów z niŝszego pogórza, których strach obleciał i nie oŝmielili się nie przyłączyć do księcia. Kaŝdy składa przysięgę.

— ... Jak pragnę miłosierdzia boskiego, tak przyrzekam lo-

99

jalność i wierność waszej wysokości i jego ojcu, najjaŝniejszemu panu, ... zawsze w gotowości, by poświęcić moje Őycie i moje mienie dla obrony ŝwiętej osoby pomazańca i korony Szkocji...

słuŝyć ci jako wasal, ŝyć i umrzeć w twojej słuŝbie, walcząc przeciw kaŝdemu nieprzyjacielowi. Tak mi dopomóŝ Bóg!

Tak mi dopomóŝ Bóg!

Romantyczna, hazardowa wyprawa Klementyny Sobieskiej z

Zamku Ambros osiągnęła swój pierwszy bezpośredni cel: tytuł

królowej. Romantyczna, hazardowa wyprawa jej syna takŝe

osiągnęła pierwszy cel: proklamowanie z balkonów pałacu

Holyrood w Edynburgu ojca królem, jego samego regentem. Czy

powiedzie mu się lepiej niŝ jego matce? Czy wkroczy do Pałacu

St. James w Londynie? Czy sięgnie po koronę Anglii?

Książę zwiedza staroŝytną siedzibę swoich przodków. Pałac

Holyrood został zbudowany przez Jamesa IV króla szkockiego,

protoplastę Karola Edwarda, z początkiem XVI wieku. Spalono go

i odbudowano w 1544 r. Niezbyt imponująca budowla w stylu

francuskim, otaczająca kwadratowy dziedziniec.

Ale pałac oddycha atmosferą romantycznej tragedii — dzie-

dzictwo sześciu lat, w ciągu których zamieszkiwała tutaj królowa

Maria Stuart. W tej oto kaplicy jej włoski sekretarz i domniemany

kochanek, Dawid Rizzio, został zamordowany w jej obecności:

zbrodnia, w której współuczestniczył jej mąż, Lord Darnley.

Księżciu pokazują brązową tablicę, wprawioną w podłogę w

miejscu, gdzie krwawiące ciało Rizzia rzucono pod nogi królowej.

W podziemiach Opactwa Holyrood spoczywają doczesne szczątki

David

Rizzia

obok

grobowców

szkockich

królów,

w

niespokojnym sąsiedztwie Lorda Darnleya, którego z kolei

zamordowano w okolicznościach, wskazujących na współudział

jego żony, królowej. I również w Pałacu Holyrood Maria Stuart w

trzy miesiące po tragicznej śmierci Lorda Darnleya, poślubiła

swego trzeciego męża, jedynego człowieka, którego naprawdę

kochała, hrabiego Bothwella.

100

O wszystkich szczegółach opowiada szambelan pałacowy,

który obdarza swą lojalnością i wiernością nie Jerzego II z dynastii

hanowerskiej, ani też pretendenta z dynastii Stuartów, lecz sam

Pałac Holyrood. Na ścianach oprowadzałby po nim z należytą

kurtuazją i formalnymi ceremoniami nawet samego diabła.

Mniej posępna od kaplicy i podziemi pałacowych jest Galeria

Obrazów, szczerze mówiąc, traktowana raczej jako świątynia, gdzie

wiszą portrety królów szkockich tak dawnych, jak i

prehistorycznych.

— Z połowy XVII wieku, wasza księżęca mość — objaśnia

niewzruszony szambelan — pędzla malarza nazwiskiem De Witt,

który podjął się namalować sto dziesięć portretów w ciągu dwu

lat, i dotrzymał obietnicy. — Szambelan dodaje sucho: —

Wypadło mu mniej niż tydzień na jeden, a przy takim tempie

trudno oczekiwać arcydzieł sztuki malarskiej.

Książę nie jest może wybitnym znawcą, ale nawet on spo-

strzega, że szambelan i tak dość powściągliwie określił te obrazy.

W sali tronowej, o bardzo ozdobnym plafonie, książę staje na

dłuższej przed obrazem, który jest rzeczywiście arcydziełem sztuki

— wspaniałym portretem monarchy na koniu, Karola I. Malarz —

Van Dyck. Czy książę przypomina sobie może, że gdy ten jego

pradziad, zwyciężony w wojnie domowej, szukał schronienia u

Szkotów, ci sprzedali go jego wrogom na pewną śmierć za sumę

dwustu tysięcy funtów szterlingów? Tak, ta olbrzymia suma

rozeszła

się

po

kieszeniach

szkockiej

arystokracji

i

duchowieństwa. „Banda łotrów w narodzie...”

Nie widać wcale po zachowaniu Karola Edwarda, by mu

uwagę takie posępne myśli zaprzętały. Tymczasem wszystko, co w

Edynburgu należy do wielkiego i możeśnego świata, śpieszy go

witać w nadziei otrzymania zaproszenia do Holyrood. Książę zanurza się w potokach komplementów i pochlebstw, uważając zresztą, że mu się słusznie, jako krwi królewskiej, należą.

Rzeczywiście, gdyby tak nie sądził, musiałby chyba śmiać

101

się w twarz tym samozwańczym adoratorom, romantycznym półgłówkom, amatorkom jego objęć, niedoszłym ale entuzjastycznym kochankom, pochlebcom o niespokojnym wzroku, sykofantom i pieczeniarczom.

Tego pierwszego wieczoru po zajęciu Edynburga, gdy klany rozstasowały się obozowiskiem tuż pod murami miasta, w Pałacu Holyrood odbywa się wielki bal.

Olbrzymie kandelabry rzucają jaskrawe blaski na tuzin sal o ścianach wykładanych dębowymi boazeriami. Stoły uginają się pod wielkimi półmiskami z dziczyzną, łososiem, drobiem wszelakiego rodzaju, olbrzymimi płatami wołowej pieczeni, pomysłowymi wytworami wybornych kucharzy, wspaniałymi słodyczami, stosami owoców w cukrze. Kryształowe karafki połyskują wystawym winem, czerwonym i białym, migoce szkocka whisky i francuskie koniaki. Tłumy wygalowanych lokai stoi w pogotowiu, by obsługiwać gości. Taka hojna gościnność też niemało kosztowała, a kwatermistrz Sullivan na wszystko musiał być przygotowany. Ale hojności spodziewano się po księciu. Nie śmiał okazać się skąpcem, aby ci, których namawiano by

przyczyniali się kontrybucjami do powstania, nie poszli za jego przykładem.

Karety podjeżdżają do stopni pałacu. Piękne panie, Jennie Cameron między innymi, w głęboko wydekoltowanych sukniach, w krynolinach i panierach, eskortowane przez kawalerów młodych i starszych, wystrojonych według mody szkockiej, angielskiej. Kobziarze jeszcze milczą, w oczekiwaniu...

Księżę wychodzi ze swoich osobistych apartamentów, cały jaśniejący we wspaniałym stroju francuskiego dworu: biała kamizelka, haftowana złotem, długi, z jasnoblękitnego jedwabiu kaftan, szkarłatne, obcisłe spodnie dworskie, biała peruka. Jego przyboczny gwardzista stoi na posterunku. Księżę się uśmiecha. Bawi go nadał fakt, że jego, silnego mężczyznę strzeże słaba dziewczyna! Ale jednak nie gardzi swoim gwardzistą. W marszu z Glen Finnan dowiodła niezwykłej wytrwałości.

102

I widział ją w pojedynkach ze słynnymi ze swych sił góralami, którym wytrącała szable z ręki jednym zręcznym pchnięciem własnej broni.

— Klementyno! Nie wybierasz się na bal?

Dziewczyna spogląda z Salem na swoją męską odzież, zniszczoną na dokładkę, tę samą, którą nosiła, gdy po raz pierwszy spotkała księcia w Kinlochmoidart.

— Czy nie mogłaś tu, w Edynburgu, dostać dla siebie

sukni?...

— Nie śmiałam bez pozwolenia opuścić mego posterunku,
wasza wysokość!

Książę się broni:

— Nie pytałaś... — Przerywa sobie, uderza się dłonią
w czoło. — Co za samolub i niedbalec ze mnie! A teraz za
późno.

Wymyka się jej westchnienie szczerego Źalu czy kobiecej
chytrości. ktoś to wie?

Książę składa jej niski ukłon dworski, jedna noga cofnięta,
prawą ręką zataczając łuk, lewa złożona na sercu.

— Madame, proszę o zaszczyt...

Nuci melodię menueta i tańczy z Klementyną wzdłuż galerii i
z powrotem. Z galanterią całuje jej rękę. Ona składa głęboki dyg,
dziwne czyniący wrażenie z powodu jej męskiego, kraciastego
stroju. Gdy podnosi się z głębokiego ukłonu, książę
niespodziewanie schyla się ku niej i wyciska mocny, śmiały po-
całunek na jej ustach. Klementyna odstępkuje o krok, chwytając
oddech, cała spłoniona, z błyszczącymi oczyma.

— Taki jest zwyczaj przy tańczeniu menueta we Francji

— powiada książę i ująwszy jej rękę, podnosi ją wysoko i pro-
wadzi swą partnerkę tanecznym krokiem z dworską galanterią
wzdłuż galerii, w dół po schodach. Zatrzymuje się o trzy stop-
nie od dołu przed salą balową. Wszystkie oczy są zwrócone na

tę niedobraną parę.

— Mili przyjaciele! — powiada ksiąŜę. — Mój gwardzista przyboczny prosi o wybaczenie za swój ubiór, który się mo-

103

Ŝe wydawać niestosowny, ale tak nie jest. Panna Klementyna Walkinshaw jest na słuŜbie.

Składa znowu niski ukłón, znowu całuje jej rękę. Szepty uznania, zachwytu. Tak się rodzą legendy.

KsiaŜę idzie przez salę, by zaprosić do pierwszego tańca

Jennie Cameron. Klementyna szeroko rozwartymi oczyma śledzi ich ze schodów, na których stoi. Pawana się kończy. KsiaŜę

odprowadza Jennie do boku Lochiela. Klementynie znowu

wymyka się westchnienie. Pocałunek w usta nie jest zwyczajem przy tańczeniu pawany we Francji.

Następnego ranka spieniony wierzchowiec galopuje do stopni

Pałacu Holyrood. Jeździec rzuca cugle słuŜbie, biegnie po dwa stopnie na raz. W wielkiej sieni pałacowej spotyka Lorda Elcho.

— Milordzie, pilne wieści dla jego ksiąŜęcej mości...

Elcho śpieszy do księcia.

— Sir John Cope wylądował w Dunbar! Maszeruje na Edynburg!

— Doprawdy! Więc pośpieszmy mu naprzeciw — odpowiada

ksiaŜę. — Oczekuję tego spotkania z prawdziwą niecierpliwością

!

Wobec tego, Œe ksiąŜę miał w swoim rękę Edynburg, Sir John Cope nie mógł wylądować w przyległym Leith. jak poprzednio zamierzał. Podczas czterdziestokilometrowego marszu z Dunbar mówi swoim ludziom, Œe Œadnej bitwy nie będzie. Zapewne nie wierzy własnym słowom, ale chce w jakiś sposób dodać nieco otuchy swoim niespokojnym, strwoŜonym, niedoŒwiadczoneym Œołnierzom.

— Klany nie powaŜą się czekać na połączone siły angielskiej jazdy i piechoty — dowodzi Cope.

Rzeczywiście, klany nie czekają. Około trzech tysięcy górali maszeruje na wschód, by jak najprędzej spotkać się z nieprzyjacielem.

104

TuŜ przed zapadnięciem zmroku, dwa nieprzyjacielskie wojska stają naprzeciwko siebie, przedzielone głębokimi bagnami koło Prestonpans, na wybrzeŜach zatoki Perth. Bagna stanowią dobrą pozycję defensywną. Ale albo Anglicy, albo Szkoci muszą je przekroczyć.

Cope rozmieszcza dwa i pół tysiąca Anglików w ten sposób, Œe czoło wojsk opiera się o goŒciniec, biegnący ze wschodu na zachód skrajem bagien, a zaplecze o brzeg morski. Piechotę Cope umieŒcił w Œrodku, a na skrzydłach regiment dragonu i trzy armaty. Na pozór bardzo silna pozycja. Tylko, Œe Œadna pozycja nie bywa silniejsza od odwagi tych, którzy tej pozycji mają bronić. A

Solnierze Cope'a boją się spotkania z ludźmi z gór, o reputacji krwioŹerczych, a teraz jeszcze w dodatku rozognionych bezkrwawym zwycięstwem. Bynajmniej otuchy im nie dodaje perspektywa przepędzenia nocy w szyku bitewnym, pod gołym niebem.

Klany stanęły na wzgórzu zwanym Fawside, wybranym przez Lorda George'a, aby mieć awantaŜę podwyższonego gruntu w obronie, a dodatkowy impet zbiegania ze wzgórza w razie, gdyby atakowali. Liczebnie górale mają pewną, acz nieznaczną przewagę. Ale posiadają jedną jedyną armatę, nadającą się tylko do sygnalizowania wystrzałem rozkazu do natarcia. A jazda składa się raptem z pięćdziesięciu szlachty z pachołkami, na przeważnie dosyć kiepskich wierzchowcach.. Wielu z piechoty za całą broń posiada kosę. JednakŜe górale, chociaŜ jeszcze nie brali udziału w bitwie, są w nastroju zdobywców: zajęli Perth, zajęli stolicę.

W skromnej oberŜy we wsi Tranent, o kilometr mniej więcej na południe od bagien, Karol Edward siada do obiadu z księciem Perth i księciem Atholl. Jedynym daniem jest zupa na mięsie, jaką zwykle się posilają tutejsi wieśniacy. Trzej biesiadnicy mają tylko dwie drewniane łyŜki do dyspozycji i jeden nóż, którym mogą odcinać kawałki mięsa od kości. OberŜystka, znając reputację górali jako złodziei, pochowała swoje sztuce!

Po posiłku ksiąŜę wyszedł na pole przyszłej bitwy, gdzie zastał

juŝ coŝ w rodzaju toczącej się walki, ale między własnymi wodzami klanowymi. Wszyscy nacierają na Lorda George'a. Clanranald, Keppoch, Kinlochmoidart, Boisdale hałaśliwie dowodzą, ŝe według tradycji, sięgającej czasów Roberta Bruce, przywilej walczenia na prawym skrzydle jest prawem Macdonaldów. Natomiast Lochiel „Łagodny” wraz z Jennie upominają się o ten przywilej dla Cameronów, a Karol z Ardshiel dla klanu Stewartów. I trzeba całego autorytetu i całej siły wymowy, jaką dysponuje Karol Edward, by w końcu namówić Cameronów i Stewartów do zajęcia stanowisk na lewym skrzydle.

Lord George, owinięty w swój pled, zapadł juŝ w lekki sen, gdy budzi go sierŝant z nocnej warty:

— Milordzie, człowiek jakiś się zgłosił, który pilnie chce się widzieć z waszą lordowską mością.

— Gdzie on jest?

— Warta go pilnuje, milordzie. Czy mam go przyprowadzić?

— Nie, ja pójdę. To moŝe być nieprzyjaciel. Lepiej go nie wprowadzać do środka naszego obozu.

Przybysz, który się przedstawia jako Jock Anderson z

Whitburga, jest człowiekiem małomównym.

— Zwykłem strzelać słonki w tych okolicach, które widać wybraliście sobie na pole przyszłej bitwy. Mogę wam wskazać drogę, którą obchodzi się bagna, i to tak, ŝe Anglicy nie będą was widzieć.

— Czemu chcesz nam dopomóc? — pyta Lord George

przezornie.

— Mego ojca Anglicy zabili w 1715 r.

— Nie zdradzisz nas?

— Będę szedł przed tobą, milordzie — odpowiada Anderson.

— MoŜecie trzymać pistolet, wycelowany we mnie.

106

Naczelny wódz zostawia przybysza pod swoją straŜą i idzie do księcia, który śpi na legowisku, wymoszczonym grochowinami.

— Poślij po Lochiela i innych wodzów — rozkazuje Karol Edward.

Wszyscy chętnie się zgadzają na propozycję przybysza. Klany ostrzeŜono, nakazano zachowanie ciszy. Gęsiego maszerują za Andersonem i Lordem Georgem w ciemnościach, czasem potykając się, czasem zapadając aŜ po kostki w błoto.

Klementynie przyznano zaszczyt niesienia królewskiego sztandaru Stuartów, na razie jeszcze zwiniętego i okrytego pokrowcem.

O świcie górale przepawili się juŜ przez bagna, ale przed oczyma nieprzyjaciół skrywa ich wciąż jeszcze gęsta i zimna mgła. Lord George postanawia w pełni wykorzystać zaskoczenie.

Jeszcze przedtem ksiąŜę oznajmił o swojej intencji poprowadzenia osobiście wojsk do ataku. Trochę to chłopięcy, niedojrzały gest. Na szczęście są między wodzami ludzie o tęŜszych

głowach. Zapowiadają, że jeśli książę będzie się upierał przy takim głupim narażeniu własnej osoby, bez której całe przedsięwzięcie od razu się załamie, to opuszczą go i powrócą do domów. Książę nie ma wyboru: musi poddać się ich woli i objąć dowództwo nad drugą linią ataku. Tak więc Lordowi George'owi przypada wydanie rozkazu:

— Górale! Do ataku! I nie znajcie litości!

W tej samej chwili książę dobywa swej szpady, odpina pochwę, rzuca ją na środek bagien, wołając:

— Odrzuciłem pochwę! Nie mogę więcej schować mojej szpady!

Jakiś sceptyk się znalazł, który mruczy:

— Oby nie nadszedł czas, kiedy będziesz musiał odrzucić również szpadę!

Góralskie berety wylatują w górę... zawołania klanowe krzyśują się w porannej mgle... wreszcie łączą się w jeden ści-

107

nający krew w śyłach wrzask bojowy... ludzie Cope'a zrywają się na równe nogi... góralskie berety znowu nakładane na głowy...

kobzy piszczą i skrzypią pibroch, bojową melodię klanów... wciąż wrzeszcząc przerażająco, pierwsze szeregi górali rzucają się do ataku...

Pierwszy dopadł Anglików klan Cameronów. Oddawszy salwę, rzucają strzelby na ziemię. Szable w prawej ręce, kordelasy

w lewej, tarcze na lewym ramieniu. Prą naprzód nie-
powstrzymanie. I artylerzyści Cope'a uciekają przed nimi...

— Dragonia, naprzód! — rozkazuje angielski generał.

Górali pouczone, aby uderzali konie w nozdrza, by zmusić
je do cofania się i zawracania, co wywoła zamieszanie. Tak się teŜ
dzieje. Zamieszanie, chaos. Dragoni zawracają i uciekają na
wschód, tam skąd nadjechali.

Na krótki czas piechota angielska wytrzymuje napór. Oddaje
regularne salwy. Ale po ucieczce artylerii i jazdy panika ogarnia
równieŜ i piechotę.

Nadchodzi kolej na księcia i klany drugiej linii.

— Za mną, panowie! Za łaską boską w tym dniu uczynię
was wolnym i szczęśliwym narodem!

Czy aby nie oczekuje zbyt wiele od jednego dnia?

Gdy ksiąŜę prowadzi klany do bitwy — sztandar królewski
powiewa teraz ponad kasztanowatą głową Klementyny — Anglicy
rzucają broń i uciekają, a Sir John Cope galopuje co sił na czele
uciekających, pozostawiwszy swoją reputację odwagi i dzielności
bezpowrotnie na polach Prestonpans...

Gdy do Dunbaru przybył Johnnie Cope.

Pytali go: Gdzieś zgubił ludzi?

A lichy ich wie! Lichy wie!

Zostali wczesnym rankiem...

Gdy do Dunbaru przybył Johnnie Cope,

Wołali doń: Hej, Johnnie, hańba!

Przynosić wieść o klęsce swej

Samemu wczesnym rankiem!

108

Górale dokonują strasznej masakry. Wielu, bardzo wielu

Anglików ginie od ran, zadanych w plecy. Pewien czternastoletni

góralczyk zabija sam jeden czternastu wrogów, tylu, ile lat sobie

liczy. Inny góral bierze do niewoli dziesięciu nieprzyjaciół,

krzyknąwszy na nich:

— Broń rzucić na dół, ręce podnieść do góry!

Brzęk Źelaza, zgiełk, wrzawa bitwy... jęki rannych., krzyki

umierających...

Tylko jeden angielski oficer, pułkownik Gardiner, chociaŹ

ranny na samym początku bitwy, usiłował ocalić od niesławny

dobre imię swych rodaków. Po ucieczce dragonu sam stawia •czoła

góralom, rani, zabija, rozprasza nieprzyjaciół. Gromadzi wokół

siebie kilkunastu Źołnierzy. W końcu Źciąga go z konia góral

potęŹnym zamachem kosy. A gdy pada, Keppoch rozbija mu

głowę uderzeniem pałasza. Gdy później słuŹba dzielnego oficera

przychodzi na pobojowisko po ciało swego pana, znajdują je

ograbione z wszelkich kosztowności, nawet bez odzieŹy i butów.

Prawie tak samo łatwo wydaje się walczyć, jak wtedy, gdy w

dziecinnych latach w Rzymie „wrogowie” Karola Edwarda

zgadzali się ponosić klęskę na niby i uciekać. W kwadrans jest po

wszystkim. Tak rodzi się legenda... Wzięto wszystkie sztandary angielskie, całą artylerię Cope'a, przestarzałą, ale jeszcze »użyteczną. I skarbczyk wojskowy z dwoma i pół tysiącami funtów szterlingów jest bardzo przydatny. Czterystu Anglików leży na polu bitwy. Kilkuset wzięto do niewoli. Za ledwie półtora żołnierzy piechoty Cope'a zdołało się ocalić ucieczką w bezpieczne miejsce.

Jeńcy pod silną strażą maszerują w daleką drogę z powrotem do Glen Finnan, gdzie mają się połączyć ze współtowarzyszami, wziętymi do niewoli w utarczce koło Wielkiego Gle-nu. Tu i ówdzie odzywają się narzekania, ponieważ trzeba jeszcze uszczuplić nieliczne wojska powstańcze, by dostarczyć straż dla jeńców. Nie wszyscy księżęta z domu Stuartów cofnęliby się przed alternatywą. Bezwzględności i okrucieństwa im

109

nie brakowało. Nim dziad Karola Edwarda, James II, wstąpił na tron angielski, jeszcze jako księzę Yorku był głównym zarządcą Szkocji. W tym charakterze nie tylko nakazywał torturować więźniów stanu, ale zwykł przypatrywać się ich męczarniom. Na szczęście, jego wnuka cechuje więcej rycerskości.

— Nie jesteśmy barbarzyńcami — powiada. Co prawda, niekoniecznie odnosi się to do wszystkich jego stronników, ani te, jak się później okaże, do wszystkich jego angielskich przeciwników. — Nie mordujemy bezbronnych!

Lochiel i Lord George Murray popierają go, ze względów przynajmniej praktycznych, jeżeli nie śadnych innych:

— Jeśli będziemy zabijać jeńców, to później nieprzyjaciel mógłby w ten sam sposób potraktować naszych ludzi wziętych do niewoli.

Szkoccy górale ponieśli minimalne straty: stracili tylko trzech oficerów i trzydziestu żołnierzy zabitych, a osiemdziesięciu rannych.

Prawnuk Jana Sobieskiego odniósł dnia 20 września 1745 r. swoje pierwsze walne zwycięstwo — rozgromił nieprzyjaciela bez reszty. Niewielu może było wmieszanych w bitwę żołnierzy, ale triumf jest wielki. Jako naczelny wódz, bez którego upartej wytrwałości w ogóle nie byłoby ani powstania, ani bitwy pod Prestonpans, książe przyczynił się znacznie do tego zwycięstwa. Ale z hojną wielkodusznością Karol Edward wszelkie zasługi przypisuje Lordowi George'owi Murray, innym wodzom i wszystkim klanom. A najprawdziwszym zwycięzcą spod Prestonpans jest ów polujący na słonki myśliwy, Jock Anderson z Whitburga, który znikł, nie czekając na słowa księżej wdzięczności. Nie było go już w chwili pierwszego ataku, może nie chciał ryzykować śmierci zdrajcy, gdyby przypadkiem Anglicy odnieśli jednak zwycięstwo. Ale stało się inaczej: wciągnięcie do powstania wodzów klanowych nad brzegami Loch nan Uamh; opanowanie wodzów pod Corrieyairack; zajęcie Perth i Edynburga

bez przelewu krwi; Cope wżgardliwie zwy-

110

cięSony w otwartej bitwie; Sadnych wojsk angielskich nie ma w Szkocji.

Karol Edward objął w niekwestionowane władanie kraj swoicli przodków. Młodzieńcza śmiałość, ksiąŞęca śmiałość zawstydzają, jak się zdaje, przezorną rozważę i niechęć wieku dojrzałego.

Rozdział IX

WESOŁO BYŁO

Od sześciu juŞ tygodni ksiąŞę oddaje się rozkoszom dworskiego iycia w Holyrood. Jego górale — a w kaŞdym razie ci z nich, którzy nie znaleźli sobie cieplejszych objęć — sypiają w twardych i surowych warunkach obozowiska w Dunningstone, wioski położonej opodal miasta.

Nawet walory propagandowe zwycięstwa pod Prestonpans nie zwiększają napływu ochotników do pomocy klanom. Wprawdzie z północy napływają drobne grupki górali, zwerbowanych przez pomniejszych wodzów, ale mieszkańcy Edynburga są przezorni. Ojciec George Kelly, zbierający datki i sierŞanci, zajmujący się werbunkiem, przekonują się o tym rychło...

Stolica Szkocji jest miastem poszarpanych skał granitowych.

W samym środku wyniosłą skałę wieńczy zamek ponad przepaścią. Na południowy wschód jest siedziba Artusa, skaliste

wzniesienie na jakieś 300 m wysokości. Na południe, góry Braid i góry Graiglockhart, razem z Pentlandami, odległymi o parę kilometrów, wznoszącymi się do blisko tysiąc* metrów. Klimat chłodny, o czym świadczą wąskie okna, małe drzwiczki, wysokie kominy. Miasto jeszcze nie bogate, ale szybko porastające w dostatki. Wzdłuż wybrzeży zatoki Forth rozrastają się saliny, których produkty używane są do solenia śledzi, tej podstawowej diety ubogich warstw społeczeństwa zimą. Po obu stronach zatoki coraz głębiej sięgają odkrywkowe kopalnie węgla; mężczyźni kopią kilofami, kobiety wynoszą urobek w koszykach. Są już w mieście drukarnie, destylarnie i browary, piekarnie i wytwórnie sucharów. Na giełdzie zbożowej panuje zawsze ruch. Handel zagraniczny — wymiana płodów rolniczych za manufakturę, głównie z Anglią — koncentruje się w porcie Leith. Ulicami idą stada bydła i owiec w drodze do wielkich rzeźni. Na targowisko, zwane Grassmarket, wjeżdżają furgony wyładowane płodami rolnymi, drabiniaste wozy z sianem na potrzeby miasta: ciężkie perszerony ciągnące platformy połyskują ogromnymi zadami i krzeszą iskry podkowami po kocich łbach bruku.

Strome są te ulice dzielnic mieszkalnych. W Edynburgu im więcej ktoś ma pieniędzy i im lepszym szczy się pochodzeniem, tym bliżej nieba mieszka. Może dlatego, że niewiele mają nadziei na to niebo w przyszłym życiu? Miasto wybudowano na dwóch

wyraźnie

wyodrębnionych

tarasach,

uwarunkowanych

topograficznie. Mieszkańcy z lepszych sfer zajmują wyższy taras,

mieszkają powyżej skarpy, oddzieleni od niższego tarasu

skalistymi

wysokościami.

Kamienice

z

pryzmami,

dobudówkami, wieżyczkami, sterczącymi przy każdym narożniku.

Wąziutkie ulice, jakby im poskąpiono miejsca. Mieszkania

skupione, piętro nagromadzone na piętrze. Nie bez przyczyny; Im

wyżej tym słabszy jest nieunikniony odór moczu, ekskrementów i

gnijących odpadków. A zarazem, gdy budowano te domy, ich

wysokość świadczyła o obawie przed angielskimi najeźdźcami,

którzy wybijali niższe okna, wyważali drzwi, przebijali szablami

bez różnicy mężczyzn, kobiety i dzieci.

Na szczycie tych „gawronich gniazd”, jak je nazwał pewien

podróżnik, zamieszkują patrycjusze i bogaci kupcy. Na parterach i

niższych piętrach mieszczą się rzemieślnicy — introligatorzy,

metalowcy, siodlarze, złotnicy. W innych europejskich miastach

klasy niższe starają się naśladować styl Sycylii „lepszych od siebie”.

imitują warunki Śycia gminu. GdyŚ Śycie w tej wyŚszej topograficznie dzielnicy takŚe jest prymitywne, chociaŚ to dzielnica arystokracji. Ze wszystkich pięter pomyje i nieczystości wylewa się oknami wprost na środek ulicy. Wspólne klatki schodowe, za których czystość nikt nie ponosi Śadnej odpowiedzialności. są tak brudne, Śe kobiety muszą wysoko unosić spódnice, idąc po schodach.

Te mieszkania arystokracji tak są zatłoczone, Śe najczęściej podejmuje się przyjaciół w lepszych oberŚach, słynących z rzeczywiście doskonałej kuchni, gdzie moŚna zjeść świeŚe ostrygi, wybornie upieczoną baraninę, pić bogate stare wina. Do takich oberŚ zagłąda teraz często ojciec Kelly, namawiając swą złoto-ustą wymową do ofiarowywania datków na rzecz powstania. (Według złośliwej anegdoty pewien edynburski mieszczanin, ulegając naprzykrzającemu się księdzu, rozwiązał swój mieszek i o dziwo, wyleciał z niego mól!) Wymowny Irlandczyk wygłasza całe kazania, gdy tylko trafi się sposobność. A kiedy indziej bierze na stronę upatrzoną ofiarę, puka w pierś swym długim palcem, przysuwa blisko smagłą twarz, namawia i grozi:

— Obecna sytuacja ulegnie wkrótce zmianie. Książę jest Szkotem. On i jego ojciec dopilnują juŚ tego, aby inni Szkoci bogacili się kosztem Anglików, a nie odwrotnie, jak teraz. A

ciebie się pozostawi bez korzyści, bo będzie się pamiętało, że nie chciał pomóc teraz...

Czasem mu się udaje. Słuchacze ojca Kelly obliczają, kalkulują. Nie wszyscy należą do „bandy łotrów”. Niektórzy się uważają za patriotów, chociaż tak starannie walczą wszystkie pro i contra. I sądzą czegoś więcej od przywódcy rebelii, nie tylko zuchwałego awanturnictwa. Odwaga. Determinacja. Talenty militarne. Zimna krew. Zdrowy rozsądek. Bitwa pod Prestonpans przekonała niektórych, że księżka potrafi ukoronować swe powstanie — i swego ojca — w Londynie. Inni są przezorniejsi. Angielskie wojska pod Prestonpans były nieliczne, źle dowodzone. Więc czy nie byłoby najlepiej naśladować

114

przykład Lorda Lovata, który jedną ręką przysięgał na wierność Jerzemu Drugiemu, a drugą wskazywał swemu synowi i klanom drogę do obozowiska Stuartów? żeby tak po trochu być po każdej stronie i wygrać z wygrywającą? Do angielskich przyjaciół pisać pogardliwie o rebelii, jako o zwykłym sąsiedzkim zajeździe, który prawdziwa angielska armia pod generałem z prawdziwego zdarzenia skruszy z łatwością. A tymczasem w pałacu Holyrood wznosić właściwe toasty, ukradkiem wręczać odpowiednie datki... Niektóre damy sprzedają nawet klejnoty, powierzone im przez mężów „na czarną godzinę” i oddają pieniądze na „sprawę”. Ale ich hojność nie była wywołana ani patriotyzmem, ani

przezornością. Ach, te kilty!

NiŜsza dzielnica miasta, niŜsza w sensie dosłownym, wybudowana poniŜej stromej skarpy, zajętej przez „gawronie gniazda”

— przypomina królikarnię, wkopana głęboko w ziemię pracą robotników destylarni i browarów, karczmarzy, stangretów, tragarzy i róŜnorodnych wyrobników. Jest tu teŜ zbiegowisko włóczęgów

i wyrzutków

społeczeństwa,

nawiedzających

prymitywne, hałaśliwe zajazdy. Więcej brudu, odory wstrętniejsze, zastarzałe, bo bez przewiewu, jeszcze większe stłoczenie nie domytych ciał; pod innymi względami dzielnica niŜsza niewiele się róŜni od wyŜszej.

Strome i brudne schody kamienne wiodą w górę między dwoma czarnymi, ślepyimi ścianami, wąskim przejściem, którego drugi kraniec niknie w ciemnościach. Dwaj Macdonaldowie, sprawujący wartę, wstępują po stopniach. Nieco dalej dymiący kaganek rzuca słabe światelko. Pod nim trzech męŜczyzn klóci się zaŜarcie, wymyślając sobie ochryplymi, zapijaczonymi głosami, niewyraźnie, nie kończąc nawet zdań, które giną w pomroce alkoholu. Jeszcze jeden męŜczyzna, z głową opadającą na piersi, przymkniętymi oczyma, opiera się o mur, jakby miał lada chwila

osunąć się na schody. Dalej

115

latarnia oznacza drzwi, zza których dolatują jakieś niewyraźne odgłosy hałasów, sprzeczek, sprośnych piosenek. Nad drzwiami otwiera się małe okienko i gniewny głos kobiecy piskliwie krzyczy:

— Wynosić mi się, i to juŜ! Mieliście juŜ wszystko, za coście zapłacili!

Wartownicy przepychają się przez kłótliwą trójkę do środka karczmy. Powietrze gęste od dymu tytoniowego, zapachów tabaki i piwa. Jest to jedna z tawern o najgorszej reputacji w mieście. ZamoŜniejsi mieszczanie tu nie zachodzą; jedynie męty uliczne, wyrzutki społeczeństwa. Ubogo odziani męŜczyźni zbili się w grupki, wołają o piwo, gadają, narzekają. śpiewają posepnie. Silnie zbudowany młodzik obejmuje ramieniem kibić pulchnej kobiety, niezbyt juŜ młodej, z rozpuszczonymi nieporządnie włosami, porozpinanym stanikiem, odsłaniającym zwisłe piersi. Ta para przystaje przed ladą, na którą młodzieniec rzuca monetę. Jeden z sierŜantów kładzie mu rękę na ramieniu:

— Lepiej byś swych sił uŜywał do lepszych celów! — po wiada.

Młody męŜczyzna śmieje się:

— Jeszczem nie znalazł lepszego. Mam tylko jedną wadę, ale teŜ daje mi więcej przyjemności, niŜ wszystkie moje cnoty!

— Chodź! — nalega niecierpliwie rozchełstana kobieta. —

Marnujesz czas!

Ale silna dłoń sierśanta nie puszcza ramienia męszczyzny. —

Powinieneś był być pod Prestonpans — powiada.

— Gdybym tam był, może bym już nie miał nigdy więcej
kobiety!

— Ja byłem, a kobiety będę miał — odpowiada sierśant. —

Cóż, mój dzielny chłopcze, może przyłączysz się do nas i po-
możesz zdobyć tron?

— Nie ciekawią mnie trony — mruczy młody męszczyzna.

Wokół zbierają się gapie. Piwo płynie strumieniem, koń by utonął.

Ladacznica wzrusza beznadziejnie ramionami i odcho-

116

dzi. Gdy męszczyźni zaczynają gadać o polityce, ona musi czekać.

Wie już o tym. Jeden z sierśantów powiada:

— Jego ksiąsęca wysokość ryzykuje swoją osobą za ciebie,
a ty nie zaryzykujesz siebie za niego?

Inny młody męszczyzna, niśszy, zezowaty, wtrąca się:

— Jeśli jego ksiąsęca mość ma taką chęć, to proszę, ale co
do mnie, to nie!

Drugi z sierśantów zaczyna się złościć:

— Posłuchajcie mnie, wy, baranie gnidy! Walka księcia, nasza
walka, jest twoją walką...

— A jeśli ksiąsę pan taką ma chęć panować w Anglii, to

czemu nie maszeruje na Londyn, zamiast tutaj ucztować i dobroci zażywać?

— I zaznawać łask pięknych dam!

— Księżę pójdzie na południe, gdy będzie gotów. Czekają na posiłki z Francji, przyobiecane na koniec października, skoro wy, którzy moglibyście z nim pójść, nie idziecie...

— Jeżeli chce zasiąść na udzielnym tronie szkockim, to i dobrze. Ale jeśli chce zdobyć również tron angielski, to niech się bierze do roboty. Anglicy się przygotowują, gdy on tańczy i poluje...

Wybuch głośnego śmiechu na krańcu rozgadanej grupy.

— Poluje? Istne kpiny! Poszedłem jako naganiacz na takie jego polowanie tamtego tygodnia. Księżę stąpa jak grenadier na paradzie, kruszy gałęzie, a trzeszcza, nieomal ziemia się trzęsie pod jego stopami. Każde stadko cietrzewi podrywało się i ulatywało. I jeleni z rogami tak wielkimi, jak drzewo podniósł się i pokłusował pomalutku poza zasięg strzelb... Poluje! Ufam tylko, że wojuje lepiej...

Teraz wszyscy zaczynają gadać naraz. Większość jest przeciwna rebelii. Nieliczni zwolennicy, nawet przy pomocy sierżantów werbunkowych, nie mogą odpowiedzieć na wszystkie przytaczane argumenty.

— Co nam z tego przyjdzie, że zamienimy Hanowerczyka na Stuarta?

. — Wolność i niepodległość Szkocji i każdego jej obywatela!

. — Tak samo będę musiał harować dla mego pana, tego samego pana. I ten pan będzie wyciskał ostatni pot ze mnie, wszystko jedno, kto tam siądzie na tronie. I ty to nazywasz wolnością i niepodległością?

— Jeszcze Saden Stuart na angielskim tronie nie troszczył się o dobrobyt takich, jak my!

— Poszedłbym walczyć za Stuarta na tronie Szkocji, niech by nami rządził jako niepodległym królestwem, ale nie pójdę walczyć za Stuarta na tronie angielskim...

— Rozdzielcie Anglię od Szkocji, a stracimy wszystkie korzyści, jakieśmy mieli z Unii...

— Korzyści z Unii? Jakie korzyści? Tylko kupcy na tym zyskiwali. I zmusili nas do obniżenia cen produktów rolnych, powiadając, że mogą je taniej kupić w Anglii. A nam sprzedają angielską manufakturę za wyższe ceny, niż by im Anglik zapłacił! Gdzie tu korzyści dla takich, jak my?

Starczy głos zaskrzeczał:

— Bo wy, młodzi, nie znacie, czegoście nie posmakowali!

Tutaj płaciecie tym starym wiedźmom — ruch ręki w stronę ładacznic — a my w Anglii, kiedyśmy wracali spod Preston w 1715 r., tośmy po wsiach Sądnej ładniejszej dziewczynie nie

przepuścili. Dwóch przytrzymało, Œeby nie wrzeszczała, a reszta... — Stary człowiek chichocze.

— I warto było za tyłu, ilu was wtedy poległo, za wstyd i hańbę klęski?

— Et, pusta gadanina, do niczego nie doprowadzi...

— A wierzę, Œe trzeba więcej niŜ gadaniny, by tego starego doprowadzić tam, gdzie chciałby być...

— Gzy słyszeliście o jednym prezbiteriańskim pastarze, który w modlitwach, jakie mu kazano odprawiać za Karola Edwarda, powiedział: „Młodemu księciu, który tu przybył w poszukiwaniu doczesnej korony, daj, o. miłosierny Panie, jak najprędzej koronę niebieską”?

118

— Miał szczęście, Œe mu góralski sztylet gardła nie podciął!

— MoŜe i to go nie minie. Na razie potrzeba im przyjaciół, wrogów mają pod dostatkiem.

— A ja powiadam, Œe to hańba, aby Anglia rządziła Szkocją. I wariactwo, Œeby Szkoci próbowali rządzić Anglią. CzyŜ to właśnie nie doprowadziło do zguby Marii Stuart?

— Niejedno się przyczyniło do zguby Marii Stuart, i niejeden.

Śmiech, sprośne Œarty. Klepanie po plecach. Jeden z sier-

Œantów przysuwa gniewną twarz tuŜ do twarzy niewczesnego

Œartownisia;

— Pytlujesz jęzorem, a sensu w głowie za grosz! Gdzie

twój patriotyzm?

Słowo „patriotyzm” pada, jak iskra na beczułkę z prochem.

Ogólna wrzawa. Ktoś chwyta sierŜanta za gardło. Drugi sierŜant

zamierza się w obronie towarzysza. Wrzaski:

— Nie gorsi z nas patrioci od was!

— Tylko nie tacy durnie...

Jeden z sierŜantów rozciągnął się jak długi od porządnego

ciosu. Tuzin męŜczyzn się z nim mocuje. Inni biegną na pomoc.

Wszyscy nadal krzyczą:

— Szkocja dla Szkotów!

— To głupie mrzonki!

— Londyn nie będzie nami rządził...

Wolność dla Szkocji...

— Gadacie o wolności, gdyście trzeźwi, i śnicie o niej po

pijanemu, ale Ŝaden ani palcem nie ruszy, by wolność zdo

być ! — woła drugi sierŜant.

Ale teraz juŜ słowa zagłusza walka, padają ciosy, lecą na-

czynia, połamane stołki, stoły... Opuszczona ladacznica, po swo-

jemu ucziwa, wyciąga z rozgardiaszu młodego męŜczyznę, który

przed pół godziną zapłacił jej za usługi...

Z podbitymi oczyma, guzami na głowie, krwawiącymi no-

sami, czasem kulejąc albo pocierając sobie ramię, adwersarze

magając sobie nawzajem, teraz już zupełnie nie wiedząc, kto był za, a kto przeciw, i nie dbając o to... Wesoło było, wszyscy sobie uśyili w takiej bijatyce, starzy i młodzi, górale i edynburchyzy.

Tylko karczmarz wzdycha, popatrując na swoją izbę: podłoga z rozbitymi naczyniami, połamanymi stołkami, zgubionymi fajkami, beretami, strzępami odzieŝy, wszystko pokrzwawione i zalane piwem. Potrzęsa głową:

— I większość z nich dowodziła, Ŝe nie chcą walki — mruczy. — Już by lepiej poszli się bić na pole...

Jak echo przypominają się słowa Lochiela Łagodnego nad Loch nan Uamh:

„Wątpię, czy nie zabraknie nam męŝczyzn, korzy...”

„Anglicy się przygotowują, gdy on tańczy i poluje...” W

rzeczywistości rząd angielski jakby postanowił współzawodniczyć z Karolem Edwardem własną niekompetencją i

niezdecydowaniem. Skarbnik koronny Henry Pelham powiedział po bitwie pod Prestonpans:

— Gdyby pięć tysięcy Francuzów wylądowało przed tygodniem gdziekolwiek na tej wyspie, jestem doprawdy przekonany, Ŝe podbicie całego kraju nie kosztowałoby ich ani jednej bitwy...

Szczęściem dla Anglii, Francuzi są zajęci gdzie indziej.

Jedynę posunięcie, na które do tej pory rząd się zdobył, by przeciwdziałać rebelii, to sprowadzenie około sześciu tysięcy

heskich jurgieltników. Wyprawiono teŝ posłów do Niderlandów z
Ŝądaniem przysłania pomocy wojskowej, by pokonać Młodego
Prezidenta.

W październiku w Izbie Gmin toczy się debata nad ustawą,
zmierzającą do powściągnięcia przekupstwa, pieniącego się
podczas wyborów, oraz zlikwidowania presji, wywieranej na
posłów przez moŝnych patronów. Z ław opozycji Wiliam Pitt,
gani rząd w płomiennym przemówieniu za to, ŝe „jak Neron,
zabawia się grą na skrzypcach, gdy Rzym płonie”.

— Będę zawsze rzetelnym zwolennikiem kaŝdego zarządzenia
(...) które by hamowało fatalne przekupstwo; ale (...) rebelianci juŝ
osiągnęli zwycięstwo nad regularnymi wojskami jego królewskiej
moŝci, co dało im władanie nad jedną częścią Zjednoczonego
Królestwa. Czy w takich okolicznościach mamy przepędzać czas
na projektach ochrony naszych swobód przed korupcją, gdy tym
swobodom grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo zdeptania siłą?
Upominając się o podjęcie zdecydowanych kroków, Pitt w
dalszym ciągu dowodzi, ŝe moŝna polegać na angielskim narodzie,
iŝ „będzie bronić swego suwerena i siebie przeciwko tym, którzy
zdradziecko spiskowali, by jego pozbawić korony, a ich samych —
- swobód, własności i religii”. W dalszym ciągu ŝąda, aby zamiast
polegać na sile najemnej Hesjan i Ni-derlandczyków, sprowadzić
do kraju przeciw Karolowi Edwardowi angielskie wojska z
Flandrii.

Pitt jest nie tylko najświetniejszym z angielskich oratorów, ale także najpopularniejszym politykiem w całym kraju, choćby dlatego, że wciąż uparcie wyraża swoje przekonanie o rozsądku i dobrej woli obywateli. Jego przemówienie rozbrzmiewa echem od kanału La Manche aż do szkockiej granicy. Książę Adam Czartoryski, bardzo uważnie wysłuchawszy jednego z przemówień Pitta powiada — z pewną pogardą — że nie jest to mowa męża stanu, lecz trybuna ludowego. A powieściopisarz Tobiasz Smollett pisze, że Pitt „zabłysnął jak piorun na ministrów i synów korupcji, porażając swym ogniem opozycję...”

Rząd zmuszony jest zastosować się do zaleceń Pitta. Pod koniec października niewielka armia, złożona głównie z milicji obywatelskiej, nie obytej z wojną, pod dowództwem siedemdziesięciodwuletniego generała George'a Wade'a ściąga do Newcastle na północy, a druga, z hrabstw środkowych, do Lichfield. Tym będzie przewodził Sir John Ligonier. Książę Cumberland otrzymał rozkaz przyprowadzenia do kraju z Niderlandów znaczniejszych sił pod własną komendą.

Czy Karol Edward stracił już swoją jedyną szansę ostatecznego zwycięstwa wówczas, gdy Anglia była, praktycznie biorąc, bezbronna?

•

Karol Edward tak nie sądzi. Ma w kieszeni list, który mógłby go przekonać. Ale jego niełatwo przekonać.

Lord George Murray unikał, o ile mógł, trwonienia czasu na zabawy w Holyrood. Tygodnie czekania poświęcił na musztrę i na manewry, których celem było wprowadzenie w błąd Anglików.

Pewnego dnia Londyn otrzymał wiadomość, że w punkcie X znajduje się pięciuset zbrojnych rebeliantów. Następnego dnia — w punkcie Y. Trzeciego dnia — w punkcie Z. W rzeczywistości ten sam oddział przerzucano z miejscowości do miejscowości tak,

by

sprawić

wrażenie

znacznie

większych

sił,

szeroko

rozmieszczonych.

Natomiast próby wzięcia głodem zamku edynburskiego

okazały się mniej skuteczne. Lord George zamknął wszystkie

drogi, którymi prowiant mógł być dostarczany oblężonym. Ge-

nerał Guest, weteran wielu wojen i doświadczony żołnierz, do-

wodzący garnizonem na zamku, zasądził, by zdjęto blokadę. Lord

Murray wcale nie odpowiedział. Wobec tego Guest zbombardował

miasto z dział zamkowych, zburzył kilka domów, poranił, a nawet

zabił kilku mieszczan. Mieszkańcy zwrócili się z petycją do

księcia, który wbrew Lordowi George'owi rozkazał wycofać

oddziały, pilnujące dróg do zamku.

Lord George nie nalegał na dalszy pochód. Był zdania, że siły klanów są zbyt słabe, aby zaryzykować takie przedsięwzięcie.

Spodziewał się, że po zwycięstwie pod Prestonpans liczba ochotników do szeregów pretendenta podwoi się, że wątpiących i niezdecydowanych to zwycięstwo przekona. Jednakże tak się nie stało.

Może jednak książę popełnił błąd. gdy przed dwoma miesiącami nie zgodził się pójść do Inverness w pościgu za Sir Johnem Cope. Zwycięstwo, odniesione tam, w górach, przy-

122

ciągnęłoby zapewne pobliskie klany z północy i wschodu. A zamiast tego Lord Loudon w imieniu rządu udał się do Inverness i tam zwerbował cały regiment piechoty do walki po stronie Jerzego II! Tu, w Edynburgu, Lordowi George'owi dokuczają dezercje. Do

klanów

zakradło

się

zniechęcenie,

bezczytność

sprzyja

rozpręśnieniu. Szybko do bitwy i szybko do domu — oto ich

pojęcie wojny. Zresztą, nie chcą iść na Anglię. Wymykają się więc

z obozu, wracają do domów. Trzeba drewno na opał przed zimą

szukować.

Gdy Karol Edward na radzie wojennej przedstawia swoją decyzję rozpoczęcia drugiego etapu przedsięwzięcia, Lord George zabiera głos i przemawia otwarcie:

Romantyczny patriotyzm, który nasze dawne dzieje po tylekroć rozplómił, naleŹy juŹ chyba do chlubnej przeszłości. Dzisiaj zaledwie tli się, nawet wśród klanów góralskich, gdzie za czasów Roberta Bruce, za czasów bitwy pod Bannockburn, płonął, jak poŹar na wrzosowiskach. Angielskie złoto przytłumiło płomienie. Teraz zarówno na górskich halach, jak i na ulicach miast, wŹada ludźmi chytry interes własny.

Księżciu nie przypada to do smaku. Nie podoba mu się sugestia, Źe daleko mu do Roberta Bruce, Źe nie potrafi juŹ rozplómić uczuć patriotycznych. Jego niechęć do Lorda George'a roŹnie. Nie moŹe jednak zaprzeczyć, Źe ma pod swoją wodzŹ wciŹŹ jeszcze nie więcej, jak sześć tysięcy ludzi.

SwojŹ przezornŹ powŹciŹgliwoŹciŹ Lord George zaraŹŹa Lochiela, Clanranalda, Kinlochmoidarta, Boisdale'a, .nawet starego Glenbucketa z klanu Gordonów — słowem, wszystkich trzeŹwiej myŹlŹcych spoŹród klanowych wodzów. Lord Elcho narzeka, poniewaŹŹ wbrew kontrybucjom, nałóŹonym na miasta, wbrew wysiłkom ojca George'a Kelly, wciŹŹ jest o wiele za maŹo gotówki na przygotowanie inwazji. KsiŹŹ mu odpowiada:

— Więcej zbierzemy pieniędzy dopiero w Anglii, gdzie, jako

prawowity monarcha, będą mógł ściągać podatki w hrabstwach,
przez które będziemy przechodzić. Co więcej, otrzy-

123

małem wiadomość, że nadsyłają nam z Francji pięć tysięcy funtów
szterlingów wraz z bronią, oraz francuskimi i irlandzkimi
oficerami...

— Ale nam nie oficerów potrzeba — protestuje Lochiel —
lecz szeregowych. Tysiący żołnierzy!

Za inwazją na Anglię opowiada się „siedmiu z Moidart”, diuk
Perth, John Murray z Broughton i Jennie Cameron — ludzie o
bardziej awanturnicznym usposobieniu z otoczenia księcia.

Po raz drugi Karol Edward zaryzykuje, postawi na tę jedyną
kartę, jaką ma do dyspozycji.

— Pochód postanowiony — oznajmia. — Niektórzy z was,
jak widzę, pójdą ze mną, by zdobyć dla mego królewskiego oj-
ca to, co mu z prawa należy. A ci, wodzowie czy zwykli go-
rale klanowi, którzy się obawiają, niechaj wracają do swoich do-
mów i do bezpieczeństwa. — Księżę dobrze zna Szekspira
i powtarza słowa, które poeta włożył w usta króla-wojownika,
Henryka V:

— „Nie chcemy ginąć w towarzystwie człeka,
Co nie chce w śmierci naszym być kolegą”.

Zdrowy rozsądek? Czy awanturnictwo? Tworzywo historii?

Czy tworzywo legendy?

W kaŝdym razie apel decydujcy tym silniejszy, Őe w powietrzu jeszcze sychac echo sow Lorda George'a o zamierajcym patriotyzmie.

— Zaszliŝmy aŝ tutaj — mowi z rezygnacj w gosie

Clanranald. — Jeŝli wasza ksiaŝca moŝc rozkazuje, nie zostaniemy w tyle...

— Ufajmy — wtraca sie Lord Elcho — Őe Francuzi przyjd w koncu z pomoc waszej ksiaŝcej moŝci.

Nadzieja suszna i rozsadna. Ale jego sowa uderzaj Karola Edwarda, jakby obuchem. List, jaki zatrzyma w kieszeni, ktorego treŝci obawia sie ujawnic... Gdyby wodzowie klanowi o nim wiedzieli, gdyby pojeli, jak dalece potwierdza ich wlasne zdanie — ani jeden z nich nie przekroczyby granic Anglii.

124

Ten sam emisariusz, ktory oznajmi, Őe nadejd zebrane z prywatnych ŝrode we Francji pienidze i oficerowie-ochotnicy, wreczy rownieŝ ksiciu list. Korespondent nie stwierdza jasno, Őe Szkocja jako niezaleŝne i niepodlege krolestwo bedzie zawsze uŝyteczna dla Francji w charakterze bazy, z ktorej moŝna atakowac Angli — ale tyle wolno sie domyŝlac. Ludwik XV mia oznajmic, Őe mu zupelnie obojetne, kto siedzi na tronie angielskim, Hanowerczyk czy Stuart. Natomiast jeŝli Szkoci chc miec swojego krola, to im dopomoŝe.

Szeŝ tygodni, przepedzone na ceremoniach i zabawach Őycia

dworskiego, miały być potrzebne, by doczekać przybycia oddziałów francuskich. Wydaje się wobec tego, że książę nie ufał szansom zwycięstwa bez tej pomocy. Dlaczego więc teraz, wiedząc już na pewno, że tej pomocy nie otrzyma, decyduje się na inwazję?

Dlatego, ponieważ przysięgał: „... zwyciężyć albo zginąć...”

Zginąć. Ale kto ma zginąć?

Rozdział X

„POWIESZĄ NAS WSZYSTKICH!”

Dnia 3 listopada Karol Edward rusza na południe na czele swoich klanów — około pięciu i pół tysiąca piechoty i pięciuset jazdy.

Ojciec George Kelly zostaje w Edynburgu. Jego-przekonywająca argumentacja będzie skuteczniejsza przy zbieraniu datków, niż jego ramię przy rozbijaniu głów. Ale z góralami maszeruje kilku wojowniczych księży, między innymi ojciec John Tyrie, który postanowiwszy ze swym kolegą ze Strat-haven ciągnąć losy o zaszczyt udziału w przelewaniu krwi., wyciągnął los szczęśliwy.

Ogólnie biorąc, górale zachowywali się w stolicy z przykładną powściągliwością. Jednakże taka nie zawsze zdyscyplinowana armia nie jest wygodnym sąsiadem dla spokojnych mieszkańców.

Niektóre z matek leją łzy, bo odtąd będzie im musiała wystarczyć rutyna objąć znużonych mężów. Niektóre z niedawnych panienek zanoszą modły o szczęśliwy powrót, kochanków, by ich dzieci miały ojców. Natomiast mężczyźni w

Edynburgu Śgnali wojowników w kiltach z entuzjazmem, którego brakowało podczas powitania przed prawie dwoma miesiącami.

W Londynie mnoŜą się niespokojne spekulacje co do tego, czy rebelianci pomaszerują najkrótszą drogą, wzdłuŜ wschodniego wybrzeŜa, czy teŜ skierują się na zachód Anglii, gdzie, zwłaszcza w katolickim hrabstwie Lancashire, mogliby spo-

126

dziewać się napływu świeŜych sił do swych wojsk. Ta ostatnia trasa wydaje się prawdopodobniejsza. Gdyby wmieszali się Francuzi, podpłynęliby raczej od strony zachodniej, niŜ od wschodu albo południowego wschodu, gdzie czuwają silne okręty angielskie i gdzie hrabstwa znane są z lojalności wobec dynastii hanowerskiej. Rząd angielski nie wie jeszcze o pogładzie Ludwika XV na sprawy tronu angielskiego. Co więcej, ksiąŜę Richmondu pisze:

„Nie obawiam się samych szkockich rebeliantów, ani teŜ tego, Őe zawładnęli obecnie Szkocją. Ale inwazja ze strony Francji wydaje mi się realnym niebezpieczeństwem, a jest chyba pewna, o ile nie zapobiegniemy jej wojskiem w kraju". •

Tymczasem to „wojsko w kraju" jest rozproszone i co najmniej niepewnej wartości bojowej.

Lord George Murray celowo ukrywa zamiary powstańców:

niech rząd w Londynie łamie sobie głowę nad tą zagadką! Zamierza maszerować przez Carlisle, na zachodnim wybrzeŜu, a

następnie przez hrabstwo Cumberland do Lancashire. Jednocześnie chce wprowadzić w błąd generała Wade'a w Newcastle, na północnym wschodzie i podstępem skłonić go do pozostania w tamtej okolicy.

Dlatego więc ksiąŜę z Lordem Georgem, Cameronami Lochiela, MacDonaldami, MacGregorami, MacKinnonami i jazdą Lorda Elcho wyrusza gościńcem do Kelso. Stwarzają pozór, Œ chcą się dostać do Londynu najkrótszą trasą. Tymczasem diuk Perth wie dzie właściwą armię, łącznie ze szczupłą ksiąŜęcą artylerią, taborem i wozami, drogą na Peebles oraz Carlisle. Generał Wade nie śmie ruszyć z miejsca. Ale ksiąŜę i Lord George, dotarłszy do Kelso, skręcają na południowy zachód w stronę Hawick, by na południowych wzgórzach, kolo góry Attrick Pen, połączyć się z diukiem Perth. Tym zręcznym manewrem wystrychnięto na dudka angielskiego generała, który teraz juŜ nie zdąŜy dotrzeć do Carlisle przed rebeliantami. A nawet gdyby próbował, ksiąŜę mógłby znowu skręcić na

12?

wschód i wyminąwszy go, spiesznym pochodem dotrzeć do Londynu. Siły Wade'a są zbyt szczupłe, by mógł sobie pozwolić na rozdzielenie ich.

Słynny powieściopisarz Henryk Fielding, nawołując do zachowania lojalności wobec panującej dynastii, pisze, Œ obie armie szkockie muszą torować sobie drogę „przez trudno dostępne szlaki

górskie, po fatalnych drogach, w najgorszej porze roku". Nie tylko dlatego klany niechętnie rozpoczynają ten pochód. Górale szkoccy Śywią zabobonny strach przed zapuszczeniem się w głąb ziem angielskich, stanowiących dla nich zupełnie nieznaną kraj, gdzie kaŜdego górala uwaŜa się za barbarzyńcę i tak właśnie traktuje.

Wszelkie wysiłki oficerów i sierŜantów nie mogą zapobiec licznym dezercjom. Wielu wykalkulowało sobie, Őe lepiej się narazić na przyszły ewentualny gniew wodza klanowego, który moŜe w ogóle nie wróci nigdy z powrotem w rodzinne góry, niŜ wystawiać się na obecne niebezpieczeństwo ze strony angielskich szkarłatnych mundurów, sędziów i katów.

Dwie armie powstańcze spotykają się i łączą. Podchodzą teraz do pogranicza, okolic bardzo ubogich. Większość chat, to lepianki z gliny, kryte trzcina. Kobiety noszą watowane i pikowane spódniczki do kolan i chodzą boso. Według relacji jednego z ówczesnych europejskich podróżników, są one „niechlujne, leniwe i odstręczające". Jedyne członki ich ciała, które bywają czyste, to nogi, gdy Ő udeptują bieliznę przy praniu stopami, zamiast schylić się i bić kijankami. Nawet te, które się uwaŜają za szlachcianki, nie zawsze posiadają parę pończoch. A najlepsza gościnną izbą w takiej chacie jest czarna od dymu, w którym się wędzą kawałki słoniny, zawieszane u pułapu nad kominem.

Lord Elcho, urodzony i wychowany w Edynburgu, które to miasto wcale nie jest wzorem oszczędności i higieny, z najgłębszą

pogardą odnosi się do swoich rodaków z pogranicza. Jadąc tuś

obok księcia, opowiada:

— Nie sposób tu wejść do jakiegokolwiek domu, ubośsze-

128

go czy nieco dostatniejszego, nie ochraniając swego nosa jakimiś silnie woniejącymi ziołami. A leniwe z nich kocmołuchy! Wiader z nieczystościami nigdy nie opróśniają, dopóki nie są tak pełne, Őe się juś przelewają. Wodę ze studni przynoszą sobie tylko co drugi dzień. Miedzianych garnków i patelni nie szorują nigdy z obawy, by ich nie zniszczyć. Tylko z rzadka kobieta przejedzie po nich brudną ścierką, maczaną w jeszcze brudniejszej wodzie.

— Dlaczego właśnie te okolice są tak szczególnie ubogo zagospodarowane? — pyta ksiąŜę.

— Od wielu pokoleń Anglicy najeśdśali pogranicze — wyjaśnia Elcho — i rabowali, grabili, palili. Prawda, nasi ludzie teś najeśdśali angielskie ziemie. Po obu stronach granicy mieszkańcy nie mogli spokojnie gospodarzyć, dbać o swoje osiedla, gromadzić dobytek.

To prawda, ale nie cała prawda. Lord Elcho woli nie dodawać, Őe arystokracja szkockiego niskiego pogórza, przewaśnie zamieszkująca w miastach, w Edynburgu, w Stirling, w Peebles lub Dumfries, posiada olbrzymie dobra na pograniczu i ona to od dwustu lat wyzyskiwała, uciskała i terroryzowała wieśniaków.

Całymi rodzinami chłopci z tych okolic emigrowali na

wybrzeża Bałtyku, do Niemiec i do Polski. Niektórzy dostali tam ziemię, inni pomogli tworzyć szkocko-bałtycki handel. Wgnani nędzą z ojcowizny, pracą swą wzbogacili Lubekę, Hamburg, Gdańsk.

Ogłoszono alarm w północno-zachodnich hrabstwach Anglii, w Cumberland, w Westmorland. Nadciągają dzikie hordy góralskie, a w obrębie stu mil ani jednej armii, która by mogła bronić mieszkańców! Władze lokalne mogą tylko zebrać milicję — oddziały żołnierzy zupełnie nie wyćwiczonych, surowy materiał, źle uzbrojony na dokładkę. I nie takie to łatwe.

Władza „zbrojenia, szykowania, prowadzenia i dowodzenia

129

nia" milicji należały do króla, działającego poprzez namiestników, stojących na czele hrabstw i ich zastępców. W wielu hrabstwach urząd namiestnika wakuje. Nie tyle z powodu zaniedbania, ile dlatego, że stanowisko to ma charakter polityczny, a poszczególne frakcje nie mogły się zgodzić na nominację. Kto w takich hrabstwach ma prawo powoływać pod broń milicję? Juryści dyskutują. Ogólny galimatias!

Jeszcze jedna biurokratyczna przeszkoda. Według litery prawa milicję wolno powoływać pod broń tylko na okres jednego miesiąca; na następny miesiąc można ich zatrzymać tylko po wypłaceniu im żołdu za pierwszy miesiąc. To zarządzenie uchwalono dlatego, że w dawnych czasach zdarzało się, iż milicję

mobilizowano i trzymano pod bronią długimi miesiącami, nie wypłacając im Śołdu. Oczywiście wzmagało to jeszcze niechęć mobilizowanych rekrutów do słuŜby w milicji. Ale teraz hrabstwa, którym udało się powołać pod broń i uszykować milicję w początku października, nie otrzymały z Londynu pieniędzy na Śold dla ludzi oderwanych od ich zajęć, zarobku i domów. A lokalne fundusze prawie nie istnieją. Tak więc właśnie w chwili, gdy Karol Edward nadciąga, niektóre hrabstwa, trzymając się litery prawa, a nie dbając o naglące potrzeby, rozpuszczają swoją milicję. Tyrania biurokracji stanowi nie mniejsze niebezpieczeństwo niż Młody Pretendent — może większe. A o wiele mniej romantyczne. Sytuacja w Carlisle, gdzie bezpośrednio zagraŜają nadchodzące klany, staje się krytyczna. Pułkownik Durrand, dowodzący milicją, jest w kropce. Pierwszy miesiąc „zbrojenia, szykowania i dowodzenia” dobiegł końca. Pułkownik zwołuje okoliczną szlachtę, „by obmyśleć wspólnie jakieś środki i sposoby dalszego utrzymywania milicji pod bronią”. Pułkownik ofiarowuje się wyłóŝyć z własnej kieszeni pięćdziesiąt gwinei. Skarbnik miejski, któremu polecono wypłacić Śold z funduszy miasta, zupełnie słusznie Ŝąda, by panowie zlecniodawcy podpisali ten rozkaz, „czyniąc się współodpowiedzialnymi za zwrot wypłaconych sum”. Angielski skarbnik w Carlisle w tym jest podobny

dzom, które ulegają panice w chwilach niebezpieczeństwa, a wracają do pedantycznego legalizmu, gdy niebezpieczeństwo przeminie.

Ludność, jak to powiedział William Pitt, gotowa jest „bronić swego suwerena i siebie samych”. Ale potrzeba im kierującej ręki.

Cóż mogą począć w obliczu oficjalnego bałaganu, nieufności, obłąkanej w zaślepieniu biurokracji? Po prostu zakopują, co mają najcenniejszego, wypędzają bydło do lasów, a kobiety i dzieci wysyłają do Whitehaven i innych bezpiecznych portów na wybrzeżu, skąd łatwo mogą pośgłować na południe albo do Irlandii.

Na ziemi szkockiej pierwszy, niewielki jeszcze, ale symboliczny sukces odnieśli koło Wielkiego Glenu zapóźnieni Macdonaldowie Keppocha. W Anglii pierwsze nieznaczne zwycięstwo jest po stronie milicji z Carlisle. Dnia 15 listopada pułkownik Durrand wysłał mały podjazd, złożony z wolnych kmieci i dzierżawców, by wywiedzieć się o poczynaniach księcia i jego armii. Ze szczytu wzgórza Bongerswork koło granicy dostrzegają poniżej oficera i około stu ludzi. Oficer wysforował się znacznie naprzód.

„Zeszedłem na dół — relacjonuje później jeden z wolnych kmieci — i dostrzegłem białą kokardę. Wtedy podeszliśmy wszyscy z nastawioną bronią i zapytaliśmy, kto by zacz był? A on na to, że należy do księcia Karola i położywszy rękę na pistolecie

zaklinał się, że będzie walczyć za swego księcia, dopóki mu tchu starczy".

Śmiałe słowa, szybko zapomniane. Setka górali cofa się pośpiesznie ku granicy, zostawiając oficera jego losowi. Nie widzą, co i kto może się kryć po drugiej stronie wzgórza Bongerswork. Dalsza relacja brzmi: „Otoczyliśmy go i zagroziliśmy, że go zastrzelimy, jeśli się nie podda. Więc się poddał i powiedział, że jest szlachcicem i ufa, że go będziemy jako takiego

131

traktować. Powiedział też, że wysłano go naprzód, aby znalazł odpowiednie miejsce na obozowisko. Miał na sobie kraciastą odzież i parę pistoletów. Nosił też buty i szablę, zabrane jednemu z naszych dragonów pod Prestonpans".

Pierwsze małe zwycięstwo — jedyne, jakie miało przypaść w udziale Anglii przez dłuższy czas.

Nazwisko oficera powstańców brzmi James Broad. Przypro-
wadzony przed pułkownika Durranda, powiada:

— Gdybym miał nabite pistolety, wasi ludzie nigdy by mnie nie wzięli!

I folguje sobie, koloryzując nieco. Zapytany, ilu ludzi wie z sobą księżę, odpowiada:

— Piętnaście lub szesnaście tysięcy. I będzie przed brama mi za kilka godzin.

Konsternacja wśród milicji, jedynej obrońców Carlisle. A

nigdy przecież nie przeznaczono ich do tak odpowiedzialnej roli.

Odparcie klanów Karola Edwarda miało być zadaniem regularnych wojsk pod wodzą Wade'a i Ligoniera. Milicja miała tłumić lokalne bunty, które mogły się trafiać tu i ówdzie na rzecz Stuartów. Pułkownik Durrand wie dobrze, że milicja nie przedstawia większych wartości wojskowych. Wyznaje na ten temat poglądy podobne do tych, które Lord Derby, Namiestnik hrabstwa Lancashire wyraził w liście do sekretarza stanu:

„Co warta nasza milicja, mógłbym powiedzieć na podstawie tego, co na własne oczy oglądałem, a mianowicie: organizacja pod każdym względem nie nadająca się do służby czynnej, bez jednego choćby oficera zdatnego do dowodzenia i bez jakich bądź wojennych potrzeb i wygod”.

Jak się okazuje, „parę godzin” Jamesa Broada nie jest o wiele dokładniejsze od jego „kilkunastu tysięcy”. Karol Edward ma własne kłopoty. Nadal nie ufając Lordowi George'owi Murrayowi, księcia powierza zaszczyt dowodzenia oblężeniem Carlisle diukowi Perth. Lord George, urażony w swej ambicji, podchodzi do księcia i odzywa się z lodowatą grzecznością:

132

— Mości księciu, chciałbym zrezygnować z moich obowiązków wodza naczelnego...

— Znowu? — pyta księciu z ledwie ukrywanym sarkazmem.

— Moja szabla pozostaje nadal do dyspozycji waszej księ-

Sęcej mości. Ale nie mogę bez protestu patrzeć, jak odpowiedziałność za klęskę lub zwycięstwo i za ludzkie Śycie oddaje się niedołęŚnemu...

Książę przerywa mu ostrym tonem. Młody królewicz ogromnie nie lubi wysłuchiwać krytyki własnego postępowania, choćby zawołowanej.

— Dosyć. Dymisja Lorda George'a jest przyjęta.

Wodzowie klanów są wstrząśnięci. Tylko stary Atholl i inni, którzy przybyli z Francji, a także John Murray z Broughton i oczywiście diuk Perth pochwalają zdjęcie Lorda George'a ze stanowiska głównodowodzącego.

— PrzecieŚ to najlepszy Śołnierz z nas wszystkich! — przypomina księciu stary Glenbucket.

— Traktuje mnie, jakbym był pod jego komendą, zamiast on pod moją — odpowiada książę, zirytowany, jak człowiek, który zdaje sobie sprawę, że w pośpiechu popełnił błąd. — Lord George nie cofnął moŚe swej lojalności wobec mnie jako władcy, ale pogardza mną jako człowiekiem i Śołnierzem.

Clanranald, Lochiel, nawet Keppoch i Jennie Cameron błagają księcia, by się pogodził z Lordem Georgem, by nie przyjmował jego dymisji. Wiedzą, że jedyna słaba szansa powodzenia tej wyprawy — i moŚe uratowania własnego Śycia — zawisła od taktycznego i strategicznego geniuszu Lorda George'a i to zarówno w pochodzie naprzód, jak i w odwrocie. Ale księcia więcej

obchodzi kwestia jego własnej urasionej dumy.

—

Przyjąłem jego rezygnację. Nie cofam moich decyzji.

Lord George, pomimo porywczego usposobienia, łatwiej da
je się ułagodzić.

— śaden z nas — powiadają wodzowie, i nie jest to
pochlebstwo, lecz szczerza prawda — nie byłby się zgodził opusz-

133

czać Edynburga, gdybyśmy nie byli przekonani, że pod
zwierzchnością jego księżęcej wysokości, ty będziesz wodzem
naczelnym!

Falszywa skromność nie należy do cech Lorda George'a, wie
doskonale, jak wiele zależy od niego. Upewniwszy się co do tego,
komu wodzowie klanów naprawdę ufają — nie Perthowi, nawet
nie księciu, lecz tylko jemu — Lord George wycofuje swoją
rezygnację. Karol Edward, przyjmując wycofanie za przeprosiny,
mianuje z powrotem swego najzdolniejszego żołnierza wodzem
naczelnym.

Działa, zdobyte pod Prestonpans, umieszczono na pozycjach,
skąd można było bombardować Carlisle. Lorda Elcho posłano do
burmistrza miasta z ultimatum:

— Poddać miasto w ciągu dwóch godzin... albo...

Burmistrz nie daje się zastraszyć:

— Nie poddam się rebeliantom...

Odważnie. Odważniej od milicji, na której burmistrz musi polegać, by mógł swego słowa dotrzymać. A milicja dyskutuje:

— Nie wypłacono nam żołdu...

— Ani te pieniądze nam nie dają, prócz tego, co sami kupimy lub wyprosimy...

— Bezprawnie nas pod bronią trzymają...

— Nie mają właściwie prawa nas powoływać, ani do bitwy uśywać...

— Rząd nie dba o nas...

— Nie damy rady szesnastu tysiącom dzikich górali...

— Wezmą nas do niewoli...

— Potraktują jak zdrajców...

— Wiemy coś niecoś, jacy są ci Stuartowie...

— Oni katolicy, a nas zwą heretykami...

— Wszystkich nas powywieszają...

— Niech sobie król Jerzy sam prowadzi swoje wojny, a książę Karol Edward swoje...

Wysyłają artylerię i broń palną z zamku na wybrzeże i rozchodzą się do domów. Mogli byli wcale się z domów nie ru-

134

szuć przez ostatnie sześć tygodni, bo doprawdy niczym się rządowi nie przysłużyli.

Nie są bohaterami? No cóż, w każdym razie nie chcą być ofiarami bohaterskiej głupoty.

Bitwa o miasto Carlisle? Tylko między rywalizującymi o godność wodza naczelnego rebeliantami. Bramy miasta stają otworem. Piękny Książę wkracza w triumfie. Powodzenie towarzyszy mu w Anglii, jak w Szkocji. Wojownicy... biały rumak... błyszcząca szabla...

Szkockich górali przyjmują mieszczanie w posępnym milczeniu. Pretendent wydaje surowe rozkazy, aby nikt nie ważył się rabować lub gwałcić. Takie same rozkazy wydają zwykle wodzowie najeżdżących wojsk. Wcale zresztą nie spodziewają się, aby się do nich stosowano. Ale rozkazy dobrze wyglądają później, w podręcznikach historii. Pomagają w tworzeniu legendy.

Księżciu spieszy się teraz. W Carlisle brak pokus zwlekania, jak w Holyrood. Mośniejsi z mieszczan wymknęli się już wcześniej.

Nie ma tu wspaniałych pałaców, tylko zamek wzniesiony pod koniec XI wieku przez Wilhelma Normandzkiego, zdobywcę Anglii i twórcę frankońskiego feudalizmu w tym kraju. Katedrę niedawno określono jako „prymitywny kościół wiejski, tyle, że duży”. Bądź co bądź pewnej zwłoki nie sposób uniknąć. Trzeba załatwić ważną sprawę pieniędzy. Metodą, określoną przez księcia jeszcze w Edynburgu.

Nieściągnięcie należnych podatków byłoby taktycznym błędem ze strony księcia. Pretenduje do tytułu regenta de iure i musi postępować tak, jak regent de facto. W obu królestwach od czasu unii w 1707 r., system opodatkowania jest taki sam. Kwatermistrz

O'Sullivan przezornie zabrał ze sobą ze Szkocji dobrze

wyszkolonych poborców podatkowych.

Tak więc lokalnym urzędnikom nakazuje się oddać „księgi, dokumenty i gotowiznę, naleŜącą do Państwa” — pieniądze pochodzące z opłat i akcyzy, podatków gruntowych, pieniądze naleŜące do poczty. Specjalnemu opodatkowaniu

135

podlegają fabrykanci, browarnicy, chmielarze, garbarze, mydlarze i świecarze, a takŜe robotnicy metalowcy.

Przywiezieni przez O'Sullivana poborcy wiedzą, gdzie znaleźć spisy podatków i od kogo naleŜy podatki ściągać. Zabierają się do roboty, a towarzyszą im oddziały zbrojnych górali. KaŜdy, kto płaci bez zastrzeŜeń, otrzymuje kwit. Nawet poborcom króla Jerzego trudno będzie wykręcić się od uznania takiego kwitu, wystawionego na właściwą sumę podatku według wszelkich prawideł, a zapłaconego pod przymusem — zbrojni górale! — księciu, pretendującemu do legalności. W ten sposób kosztami rebelii obciąŜa się rząd, wszystko jedno, czy będzie hanowerski czy Stuartowski. Jedynymi ofiarami, w razie, gdyby Jerzy II utrzymał się na tronie, byłiby poborcy podatkowi pretendenta, o ile dadzą się schwytać!

Sprytna metoda, której twórcą, nawet według legendy, nie był piękny Książę. Wykluła się w bankierskim umyśle Eneasza Macdonalda. Trzeba tu zauwaŜyć, Ŝe chociaŜ klany gromadzą

niewiele zbrojnego poparcia, to z drugiej strony nie natykają się na zbyt wielką opozycję. Jeżeli nie ma wojsk do obrony mieszkańców, jeżeli ściąga się nie więcej, jak należy zwykle podatki, jeżeli rebelianci śpieszą się, by opuścić zajęte terytorium, to po co, pytają mieszkańcy, narażać życie w oporze? Płacą więc poborcom Pięknego Księcia, starannie przechowując kwity.

Wielkich sum nie da się zebrać w Carlisle, Cumberlandu i Westmorlandii. Sporo urzędników z rządowymi pieniędzmi i zamożniejszych mieszkańców uciekło, gdy milicja się rozwiązała. Ludzie O'Sullivan, pomimo zbrojnej asysty górali, zdołali zebrać tylko czterysta funtów szterlingów. Ale w bogatszych okolicach, dalej na południe, w Lancashire, Cheshire, Derbyshire ściągną podatków na około dwa tysiące funtów. Była to bardzo użyteczna suma w owych czasach, gdy całoroczny budżet rządu angielskiego nie przekraczał dziesięciu milionów.

Kufierki skarbowe troszeczkę się napełniły. A Lord George przechrzył swoją zręczną taktyką generała Wade'a. Milicja

136

hrabstwa Cumberland rozeszła się do domów. Ale wbrew temu sytuacja powstańców jest co najmniej trudna. Armia generała Wade'a jest nienaruszona. Wojska Ligoniera także czekają w hrabstwach środkowych. Książę Cumberland powrócił z Niderlandów do kraju wraz z wyborowymi wojskami. Dezercje podczas pochodu zmniejszyły już siły rebeliantów do pięciu ty-

sięcy Solfierzy. Ani jeden zwolennik Stuartów nie przyłącza się do nich w Cumberland. Nie ma teŝ perspektyw Ŝadnej pomocy z Francji.

I znowu niektórzy z wodzów klanowych doradzają zaniechanie dalszego pochodu na południe i powrót do Szkocji, gdzie moŝna by przeprowadzić energiczniejszy werbunek. Karol Edward nie ulega Ŝadnym namowom. Mówi:

— W Lancashire nasze szeregi się podwoją. Zobaczycie!

No tak, zobaczą. Ale co zobaczą? Dowód dobrze poinformowanej kalkulacji czy awanturniczego ryzyka? Na pewno zobaczą. W to nikt nie wątpi. To proroctwo jest pewne. Nie romantyczne. Zwyczajny zdrowy rozsądek.

Rozdział XI

WZROK UTKWIONY W MIRAŚU

Karolowi Edwardowi zanadto się śpieszy, by zobaczyć. Bez chwili wytchnienia popędza klany na południe. Dwustu zostawiono w Carlisle, jako garnizon, pod dowództwem pułkownika Francisza Stricklanda, jedyne Anglika z owych siedmiu, którzy rozpoczynali wyprawę w Moidart. Dnia 23 listopada przeszedłszy granicę hrabstwa, ksiąŜę wkracza do Lancashire. Nie spotyka się z Ŝadnym oporem. Wojska angielskie, chociaŝ jest ich coraz więcej, albo zostały oszukane przez Lorda George'a Murraya, albo teŝ nie mogą nadąŜyć za niezwykle szybkim pochodem górali.

Nawet spora liczba kobiet, ciągnąca za wojskiem rebeliantów,

nie opóźnia ich marszu. Te, które zachorowały lub są w zaawansowanej ciąży, muszą odłączyć się i prosić o pomoc w najbliższej parafii, gdzie — trzeba to podkreślić — najczęściej tej pomocy im udzielano.

Niezwykła szybkość tego pochodu tym bardziej zadziwia, ponieważ stan dróg jest opłakany, a śnieg pada nieustannie. Jeden z ówczesnych podróżników opisuje gościńce tamtejsze jako „nieznośne, wąskie trakty, pocięte wybojami tak, iż wszystkie kości człowieka bolą po podróży” — a pomniejsze drogi jako „nadające się jedynie dla kóz”. Ironia losu sprawiła, że za ten opłakany stan dróg odpowiedzialne jest bydło ze szkockich gór. Co roku około czterdziestu tysięcy sztuk zakupują

138

agenci w Inverness, Edynburgu i innych ośrodkach, a później przepędzają na południe, by się utuczyły na zielonych, bujnych pastwiskach środkowych hrabstw. Prócz tego gęsi, nierogacizną i półtora tysiąca indyków rocznie wytłacza koleiny na gościńcach po drodze do londyńskich rzeźni.

Fatalny stan dróg opóźnia ruchy wojsk księcia Cumberlanda, generała Wade'a, Sir Johna Ligoniera jeszcze więcej, niż nawykłych do górskich przepraw Szkotów. Anglików obciąża dodatkowo artyleria i bagaż. Konie w jeździe potykają się i często łamią nogi na zlodowaciałych wybojach.

Karol Edward świeci przykładem entuzjazmu, wytrwałości,

dobrego humoru. Nie znać po nim zmęczenia. Nie zgadza się jechać konno, maszeruje na czele klanów, z nieodstępną Klementyną idącą tuż za nim, jak terrier za swym panem. On pierwszy wchodzi do wody przy przeprawie brodem przez rzekę, gdzie zanurza się aż po pas, a jego kilt unosi się na powierzchni wody, jak wielki kwiat. Nie zatrzymuje się dla południowego posiłku. Jego jedynym odstępstwem od zasady dzielenia wszelkich niewygód z Sołnierzami jest nocleg pod dachem. Nie zawsze można znaleźć kwatery na noclegi dla wszystkich. Jedni sypiają w stodołach, pod stogami siana, albo zwyczajnie pod Szwopłotem, otuleni w swoje kraciaste pledy. Sir Thomas Sheridan oznajmia, że jeśli książę będzie sypiał pod gołym niebem, to i on takse. Jest to prawie pewna śmierć z przeziębienia dla człowieka w jego latach. Tak więc, co noc zajmuje się kwatery w oberży lub jakimś domu dla księcia i kilku starszych mężczyzn — guwernera, Atholla, Perth, Glenbucketa — i dla dwóch dam, Jennie Cameron i pani Murray. Karol Edward udaje się na spoczynek o jedenastej, polecając Klementynie uderzać w drzwi o czwartej rano. Nadzieja zwycięstwa, powodzenia, utrzymuje go w stanie euforii. I chociaż wielu wodzów klanowych powątpiewa w nadzieje i potrzęsa głowami nad jego lekkomyślnością, to jed-

humorem i odwagą.

— Nasz ksiąŜę sypia na słomie — powiadają — obiad po
trafi zjeść w cztery minuty, a wygrać bitwę — w pięć!

Trochę w tym romantycznej przesady, ale dobrze świadczy o
umiejętności księcia w dowodzeniu ludźmi. Bardzo cenna zaleta.

Szkoda tylko, Őe nie prowadzi swoich ludzi z lepszym wyczuciem
rzeczywistości.

TuŜ za granicą hrabstwa Lancashire, Lord Elcho, jadący z
oddziałem jazdy na czele pochodu, trafia na wędrownego
przekupnia z obładowanym koniem. Po rozmowie Lord Elcho
decyduje, Őe warto by było zabrać go do księcia. Przekupień jest
wysoki i niesamowicie chudy, jak przystało człowiekowi, który
przewędrował pieszo wszystkie północne i środkowe hrabstwa
Anglii, przyjmując Manchester jako bazę. Ma śniadą cerę i
zmarszczki w kącikach oczu od ciągłego mruŜenia powiek w
słońcu i zimowych wiatrach. Wokół ust linie, świadczące o często
goszczącym na tej twarzy uśmiechu. Nosi dziwną odzieŜ,
zbieraninę róŜnych podniszczonych płaszczy i kurtek, a na nogach
owijacze.

— Skąd przychodzisz? Dokąd idziesz? I czym się zatrudniasz,
mój zacny człowieku? — pyta ksiąŜę. Wędrowny przekupień — to
nowość dla niego.

— Trudnię się wszystkim, co się komu moŜe przydać — brzmi
odpowiedź. — Noszę polecenia z jednej miejscowości do drugiej.

Piszę listy tym, którzy pisać nie umieją. Rolnikowi przynoszę wieści, gdzie można kupić i sprzedać bydło. Zapobiegliwej gospodyni przynoszę statki gospodarskie. Córce modę miejską, a synowi jedyne technienie wielkiego miasta, jakiego w swym życiu zazna.

— Widzę, przyjacielu, że słyszysz wszystkim i jesteś do wszystkiego. A jakie wieści masz dla swego suwerena i regenta?

— Jakie wieści dla takich, jak wasza księżca wysokość, mógłby dostarczyć taki, jak ja, który wędruje po wyschłych la-

140

tern korytach rzek, po osypanych śniegiem wzgórzach zimą, a umierając, może nagłą i niespodziewaną śmiercią ze zbójceckich rąk, nie pozostawi nic, prócz objedzonej przez ptaki garstki kości, które ktoś kopnie do kamieniołomu?

— Czy jesteś jakobitą?

— Jestem dla każdego tym, czym chce mnie mieć, wasza księżca wysokość!

— Więc może szpiegujesz na rzecz hanowerskiego uzurpatora?

— Szpieguję, gdzie jest coś do wyszpiegowania, wasza księżca wysokość. Bóg dał mi oczy. Handluję, gdy mogę, a gadam, gdy nic utargować się nie da. Bóg mi dał uszy i język. Nikt nie traci na tym, że przychodzę. Ale ci, którzy nie kupują, ani nie słuchają moich nowin tracą, gdy odchodzę.

— Masz z pewnością nowiny, które mi się przydadzą. Gzy dalej na południu są zwerbowane oddziały milicji? Gzy są tam oddziały regularnego wojska?

— Regularnego wojska widziałem niewiele, wasza ksiąŜęca wysokość, tylko parę patroli, chyba oddalonych od swoich jednostek, bo w strachu. Wypytywali mnie, jak i wy, lecz odpowiedzi na ich pytania nie znałem. Co do milicji, to zwerbowano ją, lecz później rozpuszczono znowu do domów. Nie mogłaby zresztą was zatrzymać, a jej oficerowie — tchórze, moim skromnym zdaniem — powiadali, Őe ich interwencja tylko by was zaopatrzyła w broń, wasza ksiąŜęca wysokość.

— Jakie są przygotowania do naszego przybycia?

— Parę mostów wysadzono, drogi zabarykadowano.

— Jeśli cię teraz puszcze wolno, czy nie zanieziesz moim nieprzyjaciołom wiadomości o naszym stanie liczebnym?

— Idę tam, skąd wy przybywacie, wasza ksiąŜęca wysokość.

JakieŜ mógłbym mieć wieści, które by nie były juŜ znane?

— Gotową masz na wszystko odpowiedź. A więc czy wy pijesz za zdrowie króla za morzem?

Książę dobywa z kieszeni oprawną w srebro flaszkę. Oczy domokráŜcy zabłyŝły.

141

— Wypiję kaŜde zdrowie, byle trunek był zacny —

odpowiada uczciwie. — Słowa nikomu nie zaszkodzą, a trunek mi

z pewnością dobrze zrobi.

Karol Edward uśmiecha się i podaje mu flaszkę. DomokrąŜca wznosi toast i zapytuje:

— A czy flaszkę mogę zatrzymać na pamiątkę, wasza ksiąŜca wysokość?

Tu wtrąca się Lord Elcho.

— Bezczelny jesteŝ! UwaŜaj, byŝ się ze smakiem chłosty nie zapoznał!

— To by teŜ nie było po raz pierwszy, moje plecy mogą o tym zaŝwiadczyć — odpowiada nieporuszony domokrąŜca.

KsiaŜca parska śmiechem.

— Nie bądzmy tak surowi dla niego, jest zabawny. Tak, moŜesz zatrzymać tę flaszkę. I powiedz swoim przyjaciołom i kompanom, ŝe to zadatek bogactw, które im się przymnoŜą, gdy mój ojciec powróci na swój tron. Z Bogiem, przyjacielu i dobrego handlu!

Gdy juŜ wszystkie szkockie wojska przemaszerowały, domokrąŜca wyprowadza swego konia z powrotem na wyboistą drogę.

Podnosi znowu do ust flaszkę. Najpierw:

— Zdrowie króla Jerzego, ŝeby się zabezpieczyć.

— I drugi raz:

— Oby piekło pochłoneło oba wasze domy.

Ten ostatni toast wydaje się odzwierciedlać nastroje wiêkszości ludzi w tym kraju, przez który teraz klany maszerują. W

niewielu domostwach ojcowie i synowie czyszczą zardzewiałe stare szable, wyjmują sportowe myśliwskie strzelby, schowane na zimę. Bardzo niewiele Son, sióstr lub narzeczonych namawia męszczyzn do wojaczki — po tej czy tamtej stronie. Wieśniacy gapią się na odzianych, w kraciaste kilty wojowników z północy, na ich prymitywne tarcze i szable z rękojeściami z wikliny.

Czasem odezwą się wiwaty na cześć śmiałego i urodziwego księcia, który wszystkich wesoło pozdrawia gestem ręki i uśmiecha się do każdej ładnej twarzyczki. W miastach

142

uznają za przezorniejsze bić w dzwony, nawet rozpalić ogniska wieczorem. Nikt nie myśli o oporze ani też o udzieleniu pomocy.

Oberżęcy i farmerzy liczą sobie wygórowane sumy za noclegi.

Pod rządami Jerzego II religia poddanych jest zabezpieczona.

Istnieje też swoboda przekonań politycznych w większym stopniu, niż ich przodkowie mieli kiedykolwiek pod panowaniem

któregokolwiek ze Stuartów. Klasy średnie prosperują. Na wsiach

jeszcze nie widać pauperyzacji, która by obniżyła standard życia

większych grup wieśniaków do poziomu najętych parobków. Nie

ma też dostatecznie rozwiniętego przemysłu, by stworzyć liczną,

uciskaną i niezadowoloną klasę robotniczą. Mogłoby być lepiej,

ale też mogłoby być gorzej. Nikt nie ryzykuje oporu wobec

księcia. Z jakimi siłami? Z drugiej strony nie oczekują po nim i po

jego ojcu niczego, co by im kazało walczyć u jego boku. „Niech

piekło pochłonie oba wasze domy!"

„Lancashire i cały zachód Anglii to wylęgarnia jakobitów”;

„Katolicy tylko czekają hasła, by poderśnąć gardła protestantom”.

Teraz się jawnie okazuje, jak bezzasadne są te stare banały.

Niejeden z tych, który we własnym domu, przy kominku i po paru

kielichach wyrażał sympatię dla króla Jamesa i deklamował o

powstaniu, mógł być nawet szczery w owej chwili, ale jednak nie

na tyle naiwny, żeby na serio zabrać się do działania. Pod

szorstkimi, okrągłymi czapkami więcej się kryje zdrowego

rozsądku, niż pod niejedną koronetą.

Przed czołem posuwającego się naprzód pochodu robi się

trochę ruchu antyjakobickiego. Przeprowadza się rewizje w

podejrzanych domostwach w poszukiwaniu nielegalnej broni.

Zakrystianie chowają srebra kościelne — lichterze, kielichy, tace.

Urzednicy wzywają katolików do składania przysięgi na wierność

panującemu monarsze i odsyłają ich przed sąd w razie odmowy

takiej przysięgi. W Manchesterze sąd ogłosił niejakiego Johna

Hiltona winnym „wypicia toastu za zdrowie Pretendenta” i skazał

go na „przywiązanie do słupa Złoczyń-

143

ców, obnaśnienie do pasa i wychłostanie”. Taka surowość tłumi w

zarodku ewentualny entuzjizm dla sprawy restauracji Stuartów.

Wodzowie klanów „zobaczyli” — jak im to przepowiadał

ksiąŜę — zobaczyli rzeczywistość: dezercje i brak nowych rekru-

tów oznaczają zmniejszanie się i tak znikomych szans powo-
dzenia. Tylko Karol Edward nie widzi nic. Ma wzrok utkwiony w
miraś: dachy i wieśe Londynu, symboliczny pałac św. Jamesa,
siedzibę królów. Jest dobrotliwy dla domokraców, co jest zaletą
księcia. Ale jako wodzowi, brak mu rozsądku i talentu.

Lord George Murray stara się ukryć rzeczywistość, którą sam
dostrzega aś nadto wyraźnie, rozsiewając wśród klanów pogłoski,
śe idą do Walii, gdzie szykuje się już powstanie, gdzie zbrojne
oddziały ochotników przyjdą im z pomocą, i ku wybrześom, gdzie
juś lądują francuskie wojska. Te same pogłoski rozpowszechnia
się we wsiach i miasteczkach, przez które rebelianci przechodzą.
Anglicy nie powaśają się tych wieści zignorować. Niszczą mosty i
drogi, prowadzące z Manchesteru do Walii.

Istnieje rzeczywiście grupa wodzów klanowych, którzy
mniemają, iż marsz do Walii byłby najlepszym strategicznie
wyjściem. Powiadają, śe Walijszczyki zawsze są gotowi do utarczki
z Anglikami. I ksiąś mógłby owoładnać wybrześem i portami
walijskimi. Mośna by tu załośyc umocnioną bazę wypadową, skąd
dałoby się zorganizować szybki i potężny najazd na Londyn. Ale
Karol Edward nie chce słyszeć o śadnym zbaczaniu w tym
rodzaju. Utkwił wzrok w miraś...

Dalsze postępy. Wysłany przodem podjazd zarekwirował w
Manchesterze kwatery dla dziewięciu tysięcy żołnierzy. A dnia 29
listopada klany wkraczają do miasta paru bramami, by podkreślić

wrażenie liczebności. Największy oddział prowadzi sam książę, otoczony tym razem przez niewiasty: amazonkę Jennie Cameron po prawej ręce, panią Murray z Broughton po lewej, a Klementynę, oczywiście, tuż za nim. Następ-

144

nie tuzin dygnitarzy. Kobziarze z zapalem wygrywają tradycyjną melodię:

„Król znowu osiadzie na swoim...”

Karol Edward wierzy, że ten zwrot oznacza, iż król zasiądzie na swoim dziedzicznym tronie. Coraz więcej jego stronników — przezorniejszych — dochodzi do przekonania, że słowa piosenki znaczą, iż król znowu osiadzie na swoim wygnaniu.

Nie zwlekać w Manchesterze, nie marudzić, nalega książę. To starożytnie miasto sięga początkami, według zapisków kronikarskich X wieku, a w wieku XIV było już ośrodkiem tekstylnym, gdzie warczały przędzalnie, szumiały młyny i huczały warsztaty. W XVII wieku tkano tu również płótna, przędzono bawełnę. Przemysł się rozwijał, ale i tak Manchester musiał czekać jeszcze 80 lat, nim zezwolono mu wysłać własnego przedstawiciela do parlamentu. Miasta przemysłowe jeszcze nie zyskały znaczenia na scenie politycznej Anglii. Własność ziemska, rolnictwo, to się liczy i tym interesom podporządkowane są wszystkie prawie wysiłki polityczne.

Bez zwlekania, powiada książę. Dalej, dalej. Prędzej, prędzej!

Ale proszę zatrzymać się na chwilę, mości ksiąŜe! Trzeba!

Rekruci. Tak, dwustu mieszkańców miasta, nazwawszy się górnolotnie „Regimentem Manchesterskim”, pod pułkownikiem Townleyem, przyłącza się do klanów. Gdyby ich było dziesięć razy więcej, nie mógłby ich ksiąŜe witać z większym entuzjazmem. ZwaŜywszy, jak niewiele ma sposobności witania nowych rekrutów, moŜna mu wybaczyć lekką przesadę w ocenianiu ich wartości. Dwustu!

Wojsko szkockich górali nie zwiększa liczebności, nie osiąga niczego konkretnego, prócz zniszczenia butów szybkimi pochodami. Ale rzeczywiście poraŜają strachem serca zamoŜniejszych mieszkańców zachodniej Anglii. Liverpool, o 50 km na zachód od Manchesteru, najwaŜniejszy port morski dla rozwijającego się od niedawna handlu niewolnikami, prowadzonego między Afryką a Nowym Światem, popada w panikę. Pewien urzędnik donosi do Londynu:

145

„Nasza sytuacja jest krytyczna, poniewaŜ jesteśmy tu zbyt zamoŜni, by uniknąć kontrybucji albo grabieŜy, albo i jednego i drugiego. Kobiet w mieście juŜ się prawie nie widzi, powyjeŜdzały... wartościowy dobytek przeniesiono na statki, stojące pod osłoną dwóch okrętów wojennych... Ceny za wynajmowane pomieszczenia we wszystkich wioskach na drugim brzegu rzeki Mersey skoczyły w górę niewiarygodnie... (MoŜna polegać na

tym, że naród sklepikarzy wykorzysta taką sposobność zarobku, jak ludzki strach). śadne słowa nie mogą odmalować paniki, jaka ogarnęła ludzi: przez całą noc bez przerwy ładowano dobytek na wozy i wywożono... towarów już nie ma w śadnym prawie sklepie... Postęp rebeliantów napełnia przerażeniem wszystkie serca".

I nic innego prócz dwóch okrętów wojennych do obrony wystraszonej ludności. Generał Wade nadal jest na północy. Sir John Ligonier nadal w hrabstwach środkowych. Tam przyłączył się do niego i objął naczelne dowództwo Cumberland z dziesięciu tysiącami żołnierzy. Razem mają pięć razy więcej, niż książę. Ale chytry Lord George nie pozwoli im przybliżyć się tak, by mogli wydać bitwę.

Teraz jednak i on i książę mają nie łada orzech do zgryzienia. Pochód na południowy wschód z Manchesteru musi się natknąć na przeważające siły Cumberlanda. Postanowiono jak najdłużej utrzymywać Anglików w mniemaniu, że książę zmierza do Walii, by tam oczekiwać posiłków. Lord George zadaje sobie niemało trudu, by te błędne mniemania rozpowszechnić.

Zabiera się z wielkim rozmachem i hałasem do wznoszenia drewnianych mostów pontonowych w miejsce tych, które Anglicy wysadzili w powietrze, by przeszkodzić rebeliantom w połączeniu się z domniemanymi walijskimi poplecznikami i francuską odsieczą. Padają drzewa, sprowadzane są deski, belki, liny,

łańcuchy, gwoździe, narzędzia. Najmuje się robotników, cieśli.

Zaśądano, by miasto Manchester dostarczyło na własny koszt pochodni do oświetlania całonocnej pracy i piwa dla robotników.

146

Gdy tylko skończono pierwszy most, jazda Lorda Elcho i oddział piechoty przeprowia się i rusza do Altrincham, małego miasteczka o jakieś dwanaście kilometrów na południowy zachód od Manchesteru. Dotarłszy tam, głośno opowiadają o wielkiej liczbie górali, która przeprowia się nowym mostem do Walii. Gdy tylko wiadomość ta dociera do księcia Cumberland, ten wysyła większą część swych wojsk na zachód.

Lord George uśmiecha się pod wąsem i kieruje główne siły powstańców z księciem na czele na południowy wschód gościńcem przez Macclesfield i Derby do Londynu. Z Macclesfield znowu wysyła dla zmylenia oczu dywersyjną kolumnę na zachód. Ten oddział natyka się na konny podjazd angielski, odpędza go i znika. Wykonał swoje zadanie: — „potwierdził”, że klany idą na Walię. Tymczasem główne siły idą forsownym marszem naprzód, na południowy wschód. Książę Cumberland znowu musi zgadywać — lecz nie zgadnie.

Wszystko bardzo piękne, ale niestety, mija się z celem. Lord George sam wie dobrze, że popełnił fatalny błąd. Wiedzą też o tym klany. Nie wie tylko książę. Bo przecież nawet gdyby górale dotarli do Londynu — jest ich o wiele za mało, by zdobyć stolicę.

Na polach Finchley Common, o dwanaście kilometrów na północ od katedry św. Pawła, rozłożyło się obozem trzydzieści tysięcy ochotników, czekając na jakobitów, którzy powinni byli co prędzej zawracać z powrotem do Manchesteru, zamiast kręcić się wokół księcia Cumberlanda o niezbyt lotnym umyśle. Te wszystkie zgrabne manewry, to budowanie mostów, marsze i kontrmarsze są właśnie tylko zgrabnymi manewrami, które niczego osiągnąć nie mogą. Płód genialnego umysłu, ale zrodzony martwy. Klanów za mało!

Lord George rozumie to — ale w Londynie jeszcze tego nie pojęli. Różne sposoby, przedsięwzięte, by wyrzucić większej liczebności wojsk powstańczych, w rzeczywistości zmniejszonych wskutek dezercji do czterech tysięcy, nie pozostały bez wpływu na nerwy Londyńczyków. Zamożniejsi mieszczaństwo, jak w Liverpoolu, zbierają kosztowności i uciekają na

147

wybrzeża. Ceny akcji rządowych spadają gwałtownie. Sklepikarze sprzedają towary po zawrotnych sumach mieszkańcom, oczekującym oblężenia, okupacji. Gazety zamieszczają artykuły z

napaściami na pretendenta i papieża. W teatrach wystawiają antypapistowskie sztuki, z których jedną napisał najpopularniejszy autor owej chwili, Henryk Fielding.

Jest jednak jedna osoba w Londynie, która — trzeba to przyznać — nie poddaje się żadnej panice. Gdy ktokolwiek wspomni o inwazji rebeliantów albo o pretencji w obecności króla Jerzego, ten wydyma wzgardliwie swoje nalane, obwisłe policzki, gestykuluje niecierpliwie i woła:

— Pfuj! Nie wspominajcie mi nawet o tych głupstwach!

Być może jego pogardę pogłębia świadomość, że rząd na wszelki wypadek trzyma dalekomorski jacht w pogotowiu dla niego na Tamizie, tuż przy stopniach Tower of London od strony rzeki.

Gdyby strwożeni mieszkańcy Londynu mogli w tej chwili zobaczyć wojsko szkockich górali, obszarpane, kulejące, tak wy-męczone, że prawie nikt na nogach się nie mógł utrzymać, które właśnie wkracza do Derby, byłiby równie wzgardliwi, jak król Jerzy.

Derby jest miastem jeszcze starszym od Manchesteru. Jego kroniki sięgają drugiej połowy X wieku. Tu są wytwórnie jedwabi i bielizny, garbarnie, białoskórnictwo i prosperują tartaki. Według pogłosek, ludność tutejsza miała ponoć sympatie pro-jakobickie. Ale mieszkańcy ani jednym wiwatem nie darzą znanych górali. Książę zamierzał tutaj w obecności urzędników miejskich i

ławników, proklamować króla Jamesa Trzeciego angielskiego i Ósmego szkockiego — panem i władcą z boŜej łaski. Nie moŜna tego przeprowadzić. Urzędnicy, dygnitarze miejscy, wszyscy przezornie wynieśli się z miasta, aby nie być zmuszonym do postępów, za które później mogliby cięŜko odpokutować. Górale mszczą się. Wyczerpanie i świadomość nieuniknionej klęski złamała dyscyplinę klanów. Őołnierze bezczelnie wchodzą do sklepów, zniewaŜają mieszczan,

148

zabierają, co im potrzeba bez płacenia, szukają kłótni, włóczą się grupami, piją na umór i kładą się na ziemi, chociaŜ grudniowa pogoda chłodna jest i dŏdŏsta. GroŜą szablą i pistoletem własnym oficerom i sierŜantom, którzy próbują sytuację opanować. Wszelki entuzjizm znikł. Słychać tylko narzekania. Nawet kwatermistrz O'Sullivan i adiutant James Johnstone narzekają na księcia. Rozrzutnie wydaje pieniądze, których nie posiada i wbrew kontrybucjom, wbrew Őciąganiu podatków skarb wciąŜ Őwieci pustkami.

— Płacił piętnaŐcie gwinei dziennie — skarŜy się O'Sullivan — za wynajęcie tego domu w Carlisle, gdzie nawet nie zadbano o węgiel na opał i Őwiece i uparł się, Őeby dodać jeszcze pięć gwinei ŐłuŐbie!

Klementyna Őpieszy z obroną:

— Jego wysokoŐć powinien wszędzie zyskiwać sobie przy-

chylność...

— A dziesięć gwinei za dom tej kobiety w Wigan — wtrąca Johnstone. — Za jedną noc! Kobieta była młoda i urodziwa, przyznaję. Nie wiem, co za przychylność ksiąŜę sobie tam zyskał...

Klementyna jest obraŜona, moŜe zazdrosna.

— Ta kobieta nie spała owej nocy w swoim domu. Mogę przysiąc na to, ja pilnowałam jego drzwi...

Klementyna ostrzega księcia o tym, co słyszała:

— I wodzowie i górale z klanów powiadają, Őe dalej nie pójdą, wasza ksiąŜęca wysokość... Nalegają, Őe trzeba zawrócić...

KsiąŜę tylko się śmieje.

— Zmęczeni są. Wypoczną przez noc, podjedzą sobie rano i znowu będą, jak dawniej. Zawrócić? Gdy przed nami droga do Londynu stoi otworem?...

Ale co z drogą — za nimi? Czy długo będzie stała otworem?

MoŜe lepiej przejść jeszcze raz, dopóki czas.

Wśród klanów panuje nastrój zniechęcenia. Wodzowie

149

widzą, jak patrzy im w twarze klęska, prześladowania, hańba, szubienice. Ale romantyzm i sentyment jeszcze niezupełnie wygasły.

W Derby mieszka pewna stara dama, pani Skyring. Pochodzi z rodziny, która była rojalistyczna jeszcze w czasach wojny domowej, wyklinała Olivera Cromwella, pozostała wierną

stronniczką Stuartów. Od 1688 r., gdy dziad Karola Edwarda, James II został zdetronizowany i wygnany z Anglii, ojciec pani Skyring corocznie przekazywał bezimiennie połowę swego dochodu na rzecz wygnanej rodziny królewskiej. Po śmierci ojca, jego córka i dziedziczka, pani Skyring skrupulatnie przestrzegała tej samej wspaniałomyślnej praktyki.

Teraz pani Skyring przybywa do kwatery księcia. Ujawnia anonimowość corocznego daru swego ojca. Prosi, by syn królewski zechciał ją przyjąć. Chciałaby ofiarować mu mały dar. Karol Edward przyjmuje ją natychmiast, z całym swoim wrodzonym wdziękiem, uśmiechnięty, serdeczny. Jego gość to staruszka, drobna, zasuszona, prawie bezzębna. Ale w jej postawie, w sposobie jakim unosi siwą głowę, jest wrodzona godność.

Pani Skyring klęka. Natychmiast ksiąŜę chwytą ją za ręce, prosi, by powstała, pomaga jej się podnieść. Staruszka wręcza mu duŜy, skórzany portfel, mocno wypchany.

— Moja biŜuteria, klejnoty, srebra stołowe, wszystkie wartościowe przedmioty, jakie posiadałam — powiada — sprzedane... w tym portfelu to, co za nie dostałam... do dyspozycji jego ksiąŜęcej wysokości...

Prawnuk Jana Sobieskiego jest głęboko wzruszony, do tego stopnia, Őe jąka się w swoich podziękowaniach. Pani Skyring cytuje słowa psalmu:

— „Teraz puść słuŕę twego w pokoju...”

Uczyniła co mogła, oddała wszystko. Wychodzi z pokoju,
cofając się tylem.

Rozdział XII

„TAK MAŁO PRZYJACIÓŁ!”

Czarny Piątek.

Pan pozwolił odejść swemu słudze — pani Skyring — w pokoju.

Karol Edward, opuściwszy Derby, pomaszerował tak szybko, jak tylko klany iść potrafią, ale nie do Londynu, lecz na północ, do Szkocji. Dowiedziawszy się o tym, pani Skyring pada martwa.

Zmiana planu nie powstała z woli księcia. Poprzedniego dnia rano, we czwartek 5 listopada, ksiąŜę wezwał radę wojenną, by rozstrzygnąć ten strategiczny problem, a mianowicie:

— Czy mam wkroczyć do Londynu pieszo czy konno,
w stroju szkockim czy angielskim?

Jak mało ten błędny rycerz rozumiał grozę własnego położenia! Trzydzieści tysięcy uzbrojonych ludzi pod Londynem oczekuje nadejścia czterech tysięcy. I nie mniejsze liczebnie wojska nadciągają, by zagrozić od północy i od zachodu. Małą armię w szybkim pochodzie trudno otoczyć. Ale z chwilą, gdy się zatrzyma, będzie zgubiona. Lord George Murray bez ogródek określa sytuację:

— Wybór nie polega na tym, czy „zwycięŝyć lub zginąć,
ale czy „zawracać lub zginąć”.

KsiąŜę zrywa się na równe nogi, w wybuchu niepoahamowanej

pasji obsypuje Lorda George'a wymysłami ze swego wcale barwnego słownika.

151

— ...zdrajca... jestem zdradzony... oby cię piekło pochłonęło...

idę na Londyn, nikt mi w tym nie przeszkodzi...

— I ja z waszą wysokością — dodaje Jennie Cameron.

— I ja — mówi Diuk Perth.

Ale tylko tych dwoje. Pozostali wodzowie klanów stawili czoła ksiąŜcemu wybuchowi gniewu. Podtrzymuje ich Lord George. I nawet Atholl:

— Taktyka lorda George'a, chociaŜ świetna, nie moŜe za stąpić braku Őołnierzy. Naszym szyjom grozi pęta. Z kaŜdym dalszym krokiem pęta się zaciska mocniej...

Nawet płomienny Keppoch oŐwiadcza:

— Ratunek dla sprawy waszej ksiąŜcejszej moŐci leŜy w Szkocji i tylko w Szkocji. Anglia to Őmiertelna pułapka...

A Lochiel „Łagodny”:

— Wasza ksiąŜca moŐć moŜe nas lŐsyc wszelkimi wyzwiskami — to szaleństwo trwało juŜ doŐć dŐugo...

Uparte szaleństwo!

Tym razem nie dadzą się uwieŐć ksiąŜcejszej Őmiałoci, historycznym wezwaniom. Nie sprzeciwiali się tworzeniu historii, jeŐli historię stworzyç mogli. Ale nie mają ochoty tworzyç legendy, ginąc dla przegranej sprawy, grzebiąc nadzieję, zamiast ją budziç.

Książę opanowuje się z trudem i usiłuje argumentować:

— Niebezpieczeństwo odwrotu jest większe od niebezpieczeństwa dalszego pochodu naprzód.

Lord George odpowiada spokojnie:

— Ja biorę odpowiedzialność za bezpieczeństwo naszego odwrotu. Podejmuję się dowodzić tylną strażą i chciałbym, aby każdy pułk kolejno szedł ze mną w tylnej straży.

Karol Edward pojmuje, że już nie czas na argumentowanie.

Wychodzi z pokoju bez słowa.

To nie regularne wojska angielskie, ani ta milicja skrupowana biurokracją, ani niezdecydowany, chwiejny rząd nakazał zawracać rebeliantom. To angielskie tradycyjnie jakobickie rody i katolicy.

To oni, nie przychodząc z pomocą powstaniu,

152

jasno dowiedli wodzom klanów i pojętniejszym spośród górali tak, że w Anglii nie osiągną trwałego sukcesu. Samuel Johnson,

„Wielki Chan” angielskiej literatury, autor pierwszego angielskiego słownika, podówczas trzydziestosześcioletni i jawnie zdeklarowany jakobita — na zasadzie dziedziczności, nie z poczucia realizmu — tak się niebawem wypowie:

— Gdybym tylko przez podniesienie dłoni mógł zapewnić powodzenie Karolowi Edwardowi, nie podniósłbym jej.

On i inni angielscy jakobici rozumieją, że rycerski, uparty i zuchwały książę nie wygra sprawy Stuartów. Sukces, zdobyty z

ich pomocą, byłby tylko chwilowy. Stuartowie nie są już dla Anglii. To zabytki minionej epoki. Anachronizm. Anglia wkracza w nową erę społeczną i polityczną. Chociaż ziemia wciąż jeszcze stanowi decydujący czynnik ekonomiczny i polityczny, to jednak rośnie wpływ finansistów, kupców i fabrykantów, a do ich szeregów zalicza się również sporo arystokracji i bogatszych ziemian. Król nie rządzi już parlamentem. Parlament rządzi królem — lekcja, której nie zdołali się nauczyć Karol Edward ani jego ojciec, pomimo egzekucji Karola I i wygnania Jamesa II.

Chwilowe zajęcie tronu przez Stuartów musiałyby się skończyć konfliktem z parlamentem i ponownym wygnaniem. Nawet owych czterdzieści tysięcy katolików w Anglii dobrze wie, że nie mogą własnej religii nałożyć swoim uparcie protestanckim rodakom, jak jarzma na szyję. Taka próba musiałaby doprowadzić do wojny domowej, a tego Anglia zaznała aż za wiele w ubiegłym stuleciu.

Nawet teraz Karol Edward niewiele z tego pojmuje. Nie wybaczy nigdy Lordowi George'owi Murrayowi. Antagonizm, zaledwie ukrywany między romantycznym awanturnikiem a realistycznie myślącym wodzem przysporzy klanom niemało trosk.

Powiew romantyzmu...

Tego ostatniego wieczoru w Derby, gdy chmurny jak noc

książkę szedł do swojej kwatery, przed drzwiami spotkał przy-

gnębioną Klementynę Walkinshaw.

— Czy ty mnie teŜ opuścisz? — zapytał.

— Wasza ksiąŜęca wysokość, nawet gdyby ci się nie udało tym razem odzyskać tronu, ja wszędzie za waszą ksiąŜęcą wysokością pójdę, gdzie go opatrzność zawiedzie!

— Dzięki Bogu, Œe choć ktoś jeszcze wierzy we mnie. Chodź, mój przyboczny gwardzista musi wypić na tę cześć!

Wprowadza ją do swojej sypialni, wydobywa flaszkę. Pije do niej, ona pije do niego. Odkorkowuje znowu nową flaszkę.

— Czy juŜ nie dość wypiliśmy? — pyta Klementyna.

— Muszę się pocieszyć... zapomnieć na chwilę...

Nad kielichami z trunkiem oczy ich się spotykają.

Czarny Piątek, dzień, w którym rozpoczął się odwrót. Karol Edward wspomina jeszcze jedną fortecę, która ostatniej nocy padła i oddała mu się jako zwycięzcy — bez oporu.

Pocieszyć się...

Pomimo obecności Klementyny i jej prób pocieszenia, ksiąŜę przedstawia obraz najgłębszej rozpacz. Nie maszeruje juŜ z klanami. Jedzie konno. Wstaje późno, długo po tym, gdy juŜ wszyscy opuścili nocne obozowisko. Często południe nadchodzi, zanim dogoni maszerujących. Niepokoi to Lorda George'a: ksiąŜę naraŜa się na powaŜne niebezpieczeństwo, odłączając się w ten sposób od wojsk. Ale ksiąŜę zwraca się do Lorda George'a tylko wtedy, gdy to jest absolutnie konieczne. Nie wydaje rozkazów.

Dobry wódz wie, że armia w odwrocie potrzebuje jeszcze więcej starania, troski, zachęty, od tej, która idzie naprzód na skrzydłach nadziei i ufności. Tak zmieniając swoje postępowanie wraz ze zmianą fortuny, Karol Edward ujawnia, że nie nadaje się zupełnie na wodza wielkiego przedsięwzięcia. Jego złe humory przypominają niedojrzałego chłopca, zawiedzionego w próbie odpędzenia innych chłopców od ulubionego pagórka.

154

Klany rychło dostrzegają zmianę w nastrojach księcia. Narzekają w marszu.

— Ze szkockich gór do środka Anglii — na darmo...

— A teraz z powrotem, taka droga!

— Co tam się dzieje z moją rodziną?

— Go z moim bydłem?

— Ostatni raz dałem się wciągnąć w taką kabałę...

Ci, którzy ich okłamywali, teraz muszą ponosić konsekwencje zdemaskowania: utratę zaufania.

— Tyleśmy słyszeli o powstaniu w Walii — gdzie ono?

— A posiłki francuskie?

— W Derby podsłuchałem w jednej tawernie, że ponoć

pewien angielski admirał pochwycił kilka statków z bronią,

pieniędzmi, ludźmi, które szły dla nas...

Dawna dyscyplina znikła, panuje rozprzężenie, górale grabią,

kradną konie, podpalają wsie, gdzie ich niegościnnie przyjęto. Do

tej pory spotykali się po drodze z obojętnością; teraz ich własne postępowanie wywołuje nienawiść. Nawet burdele pozamykano i zabarykadowano przed nimi. W niektórych wsiach i miasteczkach strzelają do przechodzących z wieś kościołów, z poddaszy wysokich kamienic.

Co prawda, do zabójstw zachęca mieszkańców ksiąŜę Cumberland. W raporcie do rządu donosi:

„Kilkunastu maruderów pochwyciliśmy i wtrącili do więzienia. Rebelianci mają tylu naszych w swoim ręku, Őe nie zdecydowałem się kazać ich rozstrzelać, natomiast zachęcam ludność, zwłaszcza po wsiach, by zabijali ich, jeśli się nadarzy okazja...”

Więc właściwie szkoccy górale tylko biorą odwet, gdy napadłszy na angielskiego Őołnierza, zabijają go bez litości, chociaŜ on właśnie jest dezertorem.

155

Chaos w kołach rządowych ułatwił poprzednio klanom marsz na południe, teraz zaś umoŐliwia im odwrót. Tak nagła była decyzja, podjęta w Derby i tak szybkie jej wykonanie, Őe dwa dni miną, zanim ksiąŜę Cumberland zorientuje się, Őe Őcigana przezeń zwierzyna zawróciła po własnych śladach. Razem z Ligonierem puszcza się w mocno spóźniony pościg. I znowu koła rządowe ogarnia panika, poniewaŜ doniesiono o rzekomej koncentracji wojsk francuskich w Dunkierce. Ligonier otrzymuje rozkaz zaniechania pościgu i udania się spiesznym marszem pod Londyn.

Jeżeli żołnierze jego będą zmęczeni, niechaj „zaopatry się w podwozy i ładuje na nie piechotę, byle posuwać się jak najszybciej”. Ligonier odpowiada, że chociaż rzeczywiście jego ludzie są bardzo zmęczeni marszami i kontrmarszami, przyprowadzi ich do Londynu pieszo, bo „wiem z doświadczenia, że koni ani podwóz tu nie dostanie”.

Te kłopoty z transportem są jeszcze jednym rezultatem obawy Anglików przed nadużywaniem wojska zawodowego.

Spodziewano się, że ewentualnych najeźdźców powstrzyma marynarka wojenna, nie pozwalając na lądowanie obcym żołnierzom. Z tego wynika, argumentowano, że własne wojska zawodowe wewnątrz kraju nie mają co robić, chyba żeby ich użyto przeciw współrodakom. Aby temu zapobiec, parlament celowo i świadomie nie uchwalił swobodnego transportu wewnątrz kraju dla wojsk, co więcej, wydał dekret, mocą którego rząd nie miał prawa dla swobodnych celów i swobodnymi środkami wymuszać użytkowania „wozów drabiniastych, platform konnych, podwóz, powozów, wehikułów wszelakich... ani też brać siłą koni, wołów, furmanek ani bryk... bez dobrowolnej, nie przymuszonej zgody i ochoty ich właściciela...”

Bardzo uŜyteczne zarządzenia dla hamowania monarchów którzy zechcieliby narzucać swe rządy siłą i terrorem wojskowym. Ale w okolicznościach wyjątkowych, takich jak stworzone przez powstanie Karola Edwarda, ten hamulec działał na niekorzyść wojsk rządowych. Jedyнным sposobem, jakim ksiąŜę

156

Cumberland, generał Wade i Sir John Ligonier mogli zdobyć środki przewozu dla swoich wojsk, było wynajmowanie, jeŜeli właściciele się zgodzą. Őadnego przymusu. Nie mają więc moŜliwoŐci poruszać się prędzej, niŜ klany szkockich górali. Farmerzy uparcie trzymają się swego prawa — odmawiają wynajęcia środków przewozu. Stawki, jakie wojsko ma prawo płać, ustalone z góry, sã bardzo niskie; co wiêcej, właściciele koni i podwóó wiedzą z minionych doŐwiadczeń, jak trudno wydoŐać naleŜnoŐć od władz. Niewiele w tym wszystkim poczucia obywatelskiego i patriotyzmu, ale zbiurokratyzowani urzędnicy takŜe zawinili.

Lord George Murray dotrzymuje danego słowa. Nie tylko dowodzi stale tylnã straŜã w odwrocie, ale równieŜ osobiŐcie prowadzi podjazdy, by zasięgnã wiadomoŐci o poŐcigu. Odwrót górali opóznia tylko ogólne rozpręŜenie, brak dyscypliny. Ludzie Cumberlãnda z wolna ich doganiają. Gdy Lord George rozbił obóz w pobliŜu Penrith, dostrzega oddział jazdy angielskiej na wzgórzach za sobã. Nieprzyjaciel, zresztã w niewielkiej liczbie, atakuje

zwiadowców szkockich, którymi są Macdonal-dowie. Klan dotrzymuje pola. Lord George pośpiesznie ściąga regiment Macphersonów i atakuje Anglików od skrzydła. Wycofują się i główne siły księcia idą bez przeszkody do Carlisle. Potyczka dodała otuchy góralom. Klany wspominają Prestonpans. I zaczynają już czuć поближе ojczystych wrzosowisk. Im bliżej Szkocji, tym więcej nabierają ducha.

— Moglibyśmy pobić każde angielskie wojsko...

— Niechby stawili nam czoła w uczciwej, otwartej walce, a zobaczyliby...

W istocie rzeczy ksiąŜę Cumberland nie jest jeszcze gotów stawić im czoła w uczciwej walce. Woli najpierw wyprowadzić ich poza granice Anglii. Argumentuje, Ŝe zadanie im powaŜnej klęski w Szkocji zdławi od razu w całym ich kraju ducha rebelii.

157

Wykorzystując bardziej bojowego ducha górali, kobziarze przygrywają im przy wkraczaniu do Carlisle, gdzie nieliczny, pozostawiony poprzednio garnizon wita ich z poczuciem ulgi. Oczekiwano tam z dnia na dzień ataku wojsk generała Wa-de'a, który skarŜy się tak samo jak Ligonier na brak transportu do szybkiego przerzucenia wojsk na północ. Gdy kobziarze docierają do centrum miasta, jakiś człowiek podchodzi do księcia.

— Czy mogę prosić waszą wysokość o chwilę rozmowy?

KaŜdy może podejść do Karola Edwarda, kaŜdy z nim może

rozmawiać. Należy to do jego polityki — bez wątpienia słusznej

— przystępnej łaskawości wobec kaŜdego.

— O co chodzi, mój dobry człowieku?

— Wasza wysokość! Nazywam się Dacre. Mieszkamy przy sąsiedniej ulicy. Moja Ŝona rodzi właśnie... Hałas kobziarzy dokucza jej bardzo...

— Doprawdy, biedna kobieta dosyć ma utrapienia. Nie będziemy jej przeszkadzać.

Zwraca się do kawalera Johnstone'a i poleca mu wydać kobziarzom rozkaz, by zaprzestali grać. I nie poprzestaje na tym. Dojechawszy do swojej kwatery, ksiąŜę zabiera ze sobą Klementynę i udaje się z wizytą do domu, w którym mieszkają Dacrowie. Czeka tam, rozmawiając ze stroskanym małŜonkiem, aŜ do szczęśliwego rozwiązania. Prosi, by mu pokazano niemowlę. A wówczas zdejmuje białą kokardę z własnego beretu i poleca Klementynie przypiąć ją do pieluszek niemowlęcia.

— Bo ja mógłbym jeszcze niezręcznie urazić małego jakobitę, iŜby zapłakał.

Nowy szczegóół dopisany w legendzie, której tworzenie wydaje się coraz potrzebniejsze.

158

Przed opuszczeniem Carlisle, dnia 20 grudnia, ksiąŜę wydaje osobiście rozkaz, aby pozostawiono w mieście garnizon czterystu ludzi, łącznie z regimentem manchesterskim, pod dowództwem

pułkownika Townleya. Za mała to ilość, by obronić miasto przed powaŜnym szturmem, natomiast dość znaczne zmniejszenie wojsk księcia, juŜ i tak topniejących z powodu codziennych dezercji.

śaden argument nie moŜe przekonać księcia, ani nakłonić go do zmiany decyzji. Pomimo swej wizyty w domu połoŜnicy, ksiąŜę jest nadal w złym humorze. Jego autorytet poderwano w kwestii zasadniczej: naprzód czy wstecz? Teraz postanowił utwierdzić swoją władzę w sprawach mniejszej dla niego wagi, takich jak pozostawienie czterystu dzielnych ludzi na łaskę nieprzyjaciela, który im tej łaski nie okaŜe.

Carlisle pada w kilka dni po odejściu głównych sił księcia.

Artylerię generała Wade'a przyciągnęły konie, naleŜące do biskupstwa Newcastle. W ciągu podwójnego marszu przez Anglię powstańcy stracili — w zabitych lub chorych — tylko czterdziestu ludzi, nie licząc oczywiście dezercji. Ale teraz procesy trwają po dwa tygodnie. Wszystko według litery prawa i oskarŜeni nie mają podstaw do obrony. Muszą ponieść karę, przewidzianą za bunt i zdradę stanu. Dwunastu oficerów, między innymi pułkownik Townley z Manchesteru zostaje skazanych na ćwiartowanie i powieszenie. Ponad stu na doŜywotnie cięŜkie więzienia, reszta na wieloletnie więzienie... „Niektórzy z wiernych górali będą stać u boku waszej ksiąŜęcej wysokości, ale ilu padnie u waszego boku?" Król Jerzy i jego ministrowie podpisują fatalne wyroki. Ale wyrok wydał — po prostu ze złości i z przekory — sam ksiąŜę Karol

Edward.

Ci spośród skazanych, którzy byli Szkotami, ponieśli śmierć
juŜ o kilka kroków od własnego kraju. A poświęcenie tych, którzy
obrali drogę „doliną”, poprzez grób, dało początek uroczej
„Balladzie znad jeziora Lomond”, która weszła do skarbca
zarówno pieśni angielskich, jak i szkockich:

159

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,

A ja doliną

I będę w Szkocji przed tobą,

Ale mojej miłości nie spotkamy juŜ...”

Gdy Karol Edward podchodził do Glasgow, humor mu się
cokolwiek poprawił.

— To miasto dostarczyło dziewięciuset ludzi do wojsk ha-
nowerczyka — powiada do pułkownika O'Sullivana. — A ani
jednego dla mnie! Niechaj płacą za to. NałóŜ na nich ciężkie
kontrybucje.

Tak się stało, a za swoje pieniądze mieszkańcy Glasgow by-
wają wpuszczani do wielkiej sali, gdzie dwa razy dziennie Piękny
Książę Charlie zasiada ceremonialnie do posiłków ze swymi
oficerami. Za jego wysokim krzesłem stoi z obnaŜoną szablą w
dłoni jego wierny gwardzista przyboczny. Włosy odrosły
Klementynie i opadają teraz prawie do ramion, oczy lśnią
niezwykłym blaskiem, szczęście maluje się w kaŜdym rysie

pięknej twarzy. Jej stosunek z Karolem Edwardem jest oczywiście publiczną tajemnicą. Niejeden z tych, co się przyglądają, szturcha sąsiada łokciem, wskazując w jej stronę. Klementyna nie zna, co wstyd. Jest dumna, nie tylko dlatego, że została kochanką uwielbianego księcia, ale i dlatego, ponieważ kocha i jest kochana. Piękne panie z Glasgow, może zazdroszcząc Klementynie, może w nadziei, że zajmą jej miejsce, podejmują się kolejno obsługiwania osobiście urodziwego młodego pretendenta. Ale podobnie jak w Edynburgu, głównie płeć słaba ulega jakobickim tendencjom, czy może powabom kiltów? Mężczyźni w Glasgow są zatwardziali. Pierwotne pobożne hasło ich miasta, które brzmiało: „Niechaj Glasgow rozkwita Słowem Bożym!” — skrócono realistycznie na: „Niechaj Glasgow rozkwita!” I od czasu anglo-szkockiej unii parlamentarnej, miasto rzeczywiście rozkwitło. Unia zapewniła szkockim portom takie same przywileje, jak angielskim i dzięki temu Glasgow

160

wszedł do handlu atlantyckiego. Obecnie rywalizuje już z Bristolem w handlu tytoniem, zwożąc ładunki z Wirginii, Marylandu i Karoliny własnymi statkami. Przejął, praktycznie biorąc, monopol na sprzedaż melasy, cukru i rafinady, ma koncesje na pędzenie spirytusu bez podatków. Wysyła skóry do angielskich garbarni, eksportuje poważne ilości wędzonych śledzi i łososi. Armatorzy, eksporterzy, importerzy, destylatorzy, cukrownicy

nie widzą śadnych możliwości korzyści dla siebie w restauracji Stuartów wraz z możliwością rozwiązania unii, która stanowi fundament ich bogactwa. W Karolu Edwardzie budzą wstręt. Po kilkudniowym pobycie ksiąŜę mówi:

— Nigdzie, gdziekolwiek bym nie był, nie zdarzyło się, bym zaskarbił sobie tak mało przyjaciół, jak w Glasgow.

Sir John Ligonier pisze do Londynu:

„Rebeliantów czeka nieuchronna zguba. Doradz wszystkim twoim przyjaciołom, by kupowali papiery rządowe. Wkrótce zyskają na wartości”.

Książę nie wierzy, nie chce wierzyć w nieuchronność klęski.

Ale nieprzyjazna atmosfera Glasgow, połączona z upadkiem Carlisle, dowiodła mu, Ő powrót do Anglii w najbliższej przyszłości jest niemożliwy. Poważne siły strzegą teraz wszystkich dróg, wiodących ze Szkocji. Książę musi poprzestać — w dobrze zrozumianym interesie swego ojca — na tym, co powinien był zrobić od początku: umocnić swą władzę w Szkocji. A wówczas, gdy interesy Francji znajdą się w konflikcie z Anglią, co się zdarza często, Francuzi z pewnością pomogą Stuartom w odzyskaniu również tronu angielskiego. Długo trwało, nim Karol Edward to pojął; a rozumieli to od początku Lochiel, Lord George i inni wodzowie klanów. Klęska wyprawy, rozczarowanie, a nade wszystko obojętność i bezwład angielskich jakobitów i katolików przekonały wreszcie księcia. Ale czy nie za późno?

Przejmuje teraz zawiadywanie wszelkimi sprawami z rąk

Lorde George'a. Sprawuje rządy osobiste i to tak dalece, że nie

161

zwołuje nawet swojej rady. Nie pyta o zdanie nikogo, prócz swego

starego guwenera, i wcale nie wojskowego, Sir Thomasa

Sheridana. Nakazuje marsz do Bannockburn, gdzie czekają go

posiłki: ponad trzy tysiące niedawno zwerbowanych górali.

Wodzowie czują się urażeni jego zachowaniem. Książę nie może

im wybaczyć ich buntu w Derby, chociaż ten bunt z pewnością

uratował ich wszystkich, włącznie z księciem, od hańby, a być

może i od śmierci. Jennie Cameron i pani Murray Broughton,

znużone ciągłymi niesnaskami, znalazły powody, aby powrócić do

swych domów.

Rankiem tego dnia, gdy opuszczał Glasgow, Karol Edward nie

zjawia się o wyznaczonej godzinie. Pił długo poprzedniego

wieczoru, położył się spać późną nocą. Klementyna nie chce go

budzić. Klany ruszają w pochód, książę ma ich dogonić później. A

Lord Elcho mówi z pogardą do Clanranalda:

— Gdyby on tylko zechciał zasnąć, jak zaczarowany książę z

bajki, aby Lord George mógł dowodzić, to byśmy jeszcze mieli

szansę posadzenia go na tronie.

Książę stracił więcej niż Londyn, więcej niż koronę. Stracił

zaufanie wodzów klanowych.

Rozdział XIII

Z POWROTEM W ŚLEPY ZAULEK

Karol Edward wkracza do Stirling i wzywa załogę zamku do poddania. W Bannockburn przyłączył się do niego Lord John Drummond, brat diuka Perth z trzema tysiącami ludzi. Są to Szkoci z nizin, nie górale klanowi i wielu z nich znalazło się w szeregach z obawy przed swym panem raczej, niż z entuzjazmu dla sprawy. Lord Lewis Gordon przyprowadził dalszych pięciuset górali z hrabstwa Glenbucket, przyłączyło się też sporo pomniejszych grup, łącznie z oddziałem pod wodzą hrabiego Cromarty. Te świeżo napływające posiłki bardzo dodają otuchy księciu, zwiększając jego armię do około ośmiu tysięcy. Dowódcą zamku Stirling jest wytrawny stary żołnierz, surowy i nieugięty, generał William Blakeney. Pogardliwie odrzuca warunki poddania. Gdy oblężenie się zaczyna, nadchodzi wiadomość, że generał Hawley, dowódca jazdy, który zajął Edynburg po odejściu klanów, idzie w kierunku Stirling. Książe przekazuje oblężenie diukowi Perth, dodając mu Francuza, Michela de Gordon, jako inżyniera i doradcę, a sam wyprawia się przeciw tej nowej groźbie. Tym razem bez swego przybocznego gwardzisty: Klementyna zachorowała na febrę. Hawley chwycił się, że z dwoma regimentami dragonów przeгнаłby całą armię rebeliantów z jednego końca królestwa na drugi. Ma teraz szansę. Ale gdy dnia 17 stycznia 1746 r. górale podchodzą do Falkirk, o 15 km na południowy wschód od

Stirling, angielskie oddziały, które rozłożyły się obozem na wschód od miasta, na próżno rozglądają się za swym generałem, na próżno nasłuchują jego rozkazującego głosu.

Angielskie patrole donoszą o przybliżeniu się klanów.

Osiemnastoletni adiutant, James Wolfe, który w trzynastu lat później miał zapisać chlubną kartę w dziejach wojen, zdobywając Quebec od Francuzów, posyła po generała Hawleya, błagając go, by pośpieszył. Ale generałowi się nie śpieszy na spotkanie z księciem. Przebywa w Callender House, pięknej siedzibie, w słodkim sam na sam z uroczą Lady Kilmarnock. Mąż młodej kobiety, którego namiętnie kocha, walczy w armii powstańczej. Cóż więc robi piękna Lady Kilmarnock, dlaczego kokietuje wroga księcia?

Jeden za drugim nadbiegają ordynansi, informując Hawleya o nadchodzeniu rebeliantów. Generał nawet nie wydaje regimentom rozkazu gotowości bojowej. Zabierają się więc do posiłku, który przerywa gwałtowna burza, wichura, deszcz, a wśród tego rozlegają się przeraźliwe dźwięki pibrochu, bojowe okrzyki klanów i napaść tysięcy wyjących wojowników.

Lord George Murray na prawym skrzydle rebeliantów prowadzi Macdonaldów Keppocha. Dragoni na lewym skrzydle brytyjskim atakują.

— Nie strzelać, dopóki nieprzyjaciel nie podejdzie na dwa-
naście kroków — woła Lord George.

Salwa ognia na tak bliską odległość powstrzymuje dragonów.

Szeregi ich załamują się, mieszają i rzucają do ucieczki.

Na drugim skrzydle początkowo sytuacja odwrotna. Podobny
atak dragonu wywołał zamieszanie w szeregach Szkotów. Karol
Edward przyprowadza rezerwowe oddziały i po krótkim zmaganiu
odpiera atak dragonów.

Hałas ognia muszkietowego...

Uwodzicielska Lady Kilmarnock, w głęboko wydekoltowanej
sukni, rzucając powłóczyście spojrzenia spod rzęs, wydawała się
zachęcać do grzesznych pieszczot i rozpałiła kochliwego generała
do białej gorączki. JuŜ ją chwycił w objęcia, juŜ rzucił

164

na kanapę, kiedy rozległ się grzechot ognia muszkietowego. Ocala
ją — albo moŜe siebie? Otrzeźwiony, jakby zmysły odzyskał — te
inne zmysły — Hawley wypada z komnaty, z domu, jednym
skokiem dosiada konia... A Lady Kilmarnock odkłada sztylet,
który przed chwilą wydobyła z ukrycia za paskiem.

Generał przyjeŜdŜa na pole bitwy pod Falkirk właśnie na czas,
by zobaczyć błoto, rozpryskujące się spod kopyt jego uciekającej
dragonu. Jego namiętność kompletnie teraz wystygła, więc
zawraca i zajmuje miejsce generała — na czele swoich wojsk!

Lord George ŝle gońca do księcia.

„Błagam waszą księżęcą mość, by zechciał wydać rozkaz

pościgu. Możemy rozgromić do reszty nieprzyjaciela”.

Ale księżę nie przyjmuje rad od Lorda George'a. Pościg wycofano.

Bitwa pod Falkirk nie trwała dłużej od bitwy pod Preston-pans.

Klany straciły około półtorasta ludzi w zabitych i rannych. Na poboju legło dwustu osiemdziesięciu Anglików. Rebelianci, którzy już wymykają się wszelkiej dyscyplinie, rozpaleni walką, przebiegają po poboju, dobijając rannych, kalecząc zwłoki, rabując i szukając kosztowności.

Dwukrotnie pod wodzą księcia rebelianci potykali się ze znacznymi siłami regularnych wojsk angielskich i zawsze wyszli zwycięsko, i to z łatwością, która ich napawa pogardą wobec nieprzyjaciela. Mniemają, że są niezwyciężeni. Księżę uważa się za równego swemu wielkiemu pradziadowi polskiemu. A przecież właściwym sprawcą zwycięstwa pod Prestonpans był Jock Anderson z Whitburga. A pod Falkirk?

Lord Kilmarnock galopuje do swej pięknej siedziby, Callender House i obejmując Sionę gorącym uściskiem, powiada:

— Moja najdroższa, jesteś równie odważna jak i piękna!

Zatrzymując tu generała, wygrałaś dla nas bitwę pod Falkirk!

Tymczasem rozgrywa się dziwne wydarzenie. Jeden z Macdonaldów z klanu Clanranalda czyści swój muszkiet. Przypad-

kiem strzela, kula trafia w samo serca Angus Oga, syna wodza klanu Glengary. Słynny wojownik Coli z Barisdale, zastępca wodza klanu, liczącego sześciuset Glengarrich, udaje się do Karola Edwarda.

— Wasza wysokość, moi ludzie Œądają w zamian Œycia jednego z Macdonaldów!

— Dajcie spokój, tak nie moŒna. To nie waŒn plemienna, to wojna! — mówi ksiąŜę.

— JeŜeli wasza ksiąŜęca wysokość nie uszanuje tradycji, nie mogę odpowiadać za moich podwładnych. Nie jedno Œycie wezmą, a więcej, i pójdą do domów!

Książę musi ustąpić. Clanranald, wiernie przestrzegający klanowego obyczaju, nie protestuje. Macdonaldowie ciągną losy.

Nieszczęśnik, który wyciągnął fatalny los, zostaje zastrzelony z zimną krwią. Oko za oko, ząb za ząb... Ale i tak w obu klanach nadal trwa wrzenie. Stu Glengarrich opuszcza obóz. I od Clanranalda takŜe dezercerują.

Książę nakazuje powrót do Stirling. Wodzowie narzekają.

— Zamek Stirling nie ma Œadnego znaczenia...

— Po co tu marnować ludzi...

— Zaniechawszy pościgu za Anglikami, z pewnością nie warto teraz zabawiać się tym zamkiem...

Karol Edward nie kłopotczy się ani jedną, ani drugą operacją wojkową. Co innego zaprzęta jego umysł. Pozostawiwszy

zwycięskie wojsko pod dowództwem Lorda George'a, odjeżdża z pół tuzinem oficerów. Spieszno mu dowiedzieć się o zdrowie przybocznego gwardzisty.

Zamek Stirling jest zbyt silną fortecą i zbyt dobrze bronioną, by rebelianci mogli go zdobyć.

Tymczasem księżę Cumberland, w dwudziestym piątym roku życia już nieco otyły, rozlokowuje się w Pałacu Holy-rood, opróżnionym

przed

trzema

miesiącami

przez

Młodego

Pretendenta. Wydaje uczyty, przyjęcia i bale, otaczają go i schle-

166

biają mu te same arystokratyczne i możne sfery, które uznały za właściwe składać hołdy i schlebiać jego poprzednikowi. „Banda łotrów w narodzie...”

Nie tylko księżę dostał posiłki. I to ze Szkocji właśnie. Hrabia Sutherland zwerbował w jednym z najbardziej na północ wysuniętych hrabstw szkockich tysiąc dwieście górali do wojny po stronie Jerzego II. „Laird” Macleod przysłał dwa tysiące wojowników z wyspy Skye. Nadciągnęły też oddziały klanów Monroe i Grant — a niektórzy z tych klanów walczą już ramię w

ramię z rebeliantami — by bronić Hanowerczyków. Wielu z nich to ci sami ludzie, o których Lochiel mówił przed pięciu miesiącami, że przyłączyliby się do Młodego Pretendenta, gdyby ten ścigał Sir Johna Cope'a do Inverness i tam go zwyciężył, u wrót krainy północnych klanów.

Wbrew wysiłkom Michela de Gordon pod Stirling rozbito baterię dział oblężniczych księcia. Ten zamek kosztował powstańców więcej ofiar od bitew pod Prestonpans i Falkirk, więcej od całej wyprawy w głąb Anglii. Nie ma wyboru: trzeba odstąpić. Skaza na militarnej reputacji Młodego Pretendenta. Później nie będzie lepiej.

Lochiel, Glenbucket, Clanranald, diuk Perth, Lord John Drummond — doradzają wycofanie się na północ.

— Anglicy nadto zyskali na siłach — nalegają. — A nas coraz bardziej osłabiają dezercje, dużo też mamy chorych, nie zdolnych do walki. Lepiej iść na północ, oczekiwać nieprzyjaciela w górach, gdzie nasza znajomość okolic i doświadczenie w prowadzeniu wojny w górskich terenach będą dla nas dodatkowym poparciem.

Karol Edward, który poprzednio nie chciał ścigać generała Hawleya do Edynburga, jest innego zdania. Wpada w gniew, dramatycznym gestem tłucze głową o ścianę, krzyczy:

— Wielki Boże! Czyż też musiałem tego doświadczyć? Odwrót z Anglii! Teraz odwrót w głąb Szkocji! Po zwycięstwie pod

Falkirk. Wkrótce nie będzie już dokąd się cofać — chyba do morza!

167

Proroctwo?

Ale tym razem odmiennego, niż wodzowie zdania, jest także

Lord George Murray. Może po prostu przez przekorę, by się różnić od pogardzanego diuka Perth?

— Odwrót byłby strategicznym błędem — dowodzi. —

Zniechęci naszych zwolenników. I czym bliżej będą klany swych stron rodzinnych, tym więcej górali będzie dezercerowało. Proszę mi dać dwa tysiące ludzi, a będę straszył w hrabstwie Atholl i pošlę księcia Cumberland z powrotem do Anglii, jak obitego psa z podwiniętym ogonem.

Brzmi to jak lekkomyślne zuchwałstwo, ale Lord George uparcie obstaje przy swoim. To nie tylko przekora. Cokolwiek Lord George powie, nie może mieć słuszności w oczach księcia.

Prócz tego, Piękny Charlie nie chce, by legenda owiała swym tchnieniem czyjekolwiek imię, lecz tylko jego własne. Pomimo obolałej od bicia w ścianę głowy, książę zmienia zdanie. Zgadza się na propozycje wodzów klanowych.

Siły powstańcze podzielono. Książę prowadzi górali prosto na Inverness. Wysła Lorda George'a z ludźmi Perth i innymi z niższego pogórza wzdłuż wschodniego wybrzeża, przez Dundee, Montrose i Aberdeen. Tym sposobem można będzie ściągnąć

kontrybucje z większej ilości hrabstw.

Lord George Śąda wolnej ręki, by mógł działać, jak mu się wyda stosowne, gdy będzie oddalony od księcia. Odpowiedź jest zwięzła, bardzo królewska i na piśmie:

„Nie zamierzamy ustąpić ani na jotę z naszego autorytetu i naszej odpowiedzialności. Lord George Murray zechce się zastosować ściśle do wydanych mu instrukcji w sprawie pochodu.

Dziwimy się, Őe jego lordowska mość usiłuje ograniczyć nasze prerogatywy”.

Pochód księcia okazuje się hazardowy i trudny. Klementyna wyzdrowiała, znowu pełni słuŜbę jako... gwardzista przyboczny.

Ostre mrozy przemieniły drogi w szkliste kaniony. Wozy taboru nie mogą przejechać. Konie wysilają się, ślizgają, padają pod nieubłaganymi razami bicia. Pochód przekształca się

168

w beładny chaos. Zaczyna padać śnieg, wiele wozów trzeba porzucić. John Daniel, kapitan regimentu manchesterskiego, któremu udało się uniknąć pozostawienia w Garlisle, pisze w swym diariuszu:

„...Ludzi pokrywają sople lodowe, zwisające im z brwi, wąsów i bród... członki ich sztywnieją od mrozu... Łatwo stracić towarzyszy, bo drogi fatalne i śnieŜyce nieustanne...”

Lord Loudon znajduje się nadal w Inverness z dwoma tysiącami górali, których tam zwerbował. Troszczy się głównie o

zaopatrzenie Fortu Augusta i Fortu Williama w Wielkim Glenie. Do Fortu Augusta, na pół drogi wzdłuż Wielkiego Glenu, można się dostać tylko łądem. Karol Edward, przeszedłszy hrabstwo Perth, odcina tę linię komunikacyjną. Ale z Fortu Williama, położonego na południowo-zachodnim krańcu Wielkiego Glenu, jest dostęp do morza. Książę Cumberland decyduje, że tego fortu należy za wszelką cenę bronić. Śle ludzi, prowiant i amunicję statkami z Liverpoolu i chociaż książę wysyła wojska, by oblegały Fort Williama, ten skutecznie będzie się bronił do końca. Nawet w wojnie, toczącej się wewnątrz Zjednoczonego Królestwa, ta strona, która panuje nad morzem, ma większe szanse wygranej. Szkoci są podzieleni. Prawie tyle samo walczy po stronie Jerzego II, co i po stronie Młodego Pretendenta. Nie ma granic terytorialnych, dzielących rebeliantów od sił rządowych. Lord Loudon werbował na rzecz rządu w górach, rzekomo siedlisku stronników Stuartów, a Lord John Drummond werbował na rzecz księcia w hrabstwie Perth, na niższym pogórzu, które miało być ponoć ściśle związane z Anglią. Cały kraj wrze. Bracia, ojcowie, synowie mogą się znaleźć na polu bitwy po przeciwnych stronach. Wielu nie orientuje się, z kim sympatyzują najbliżsi sąsiedzi. Wielu obawia się zdradzić z własnymi sympatiami. Wielu zachowuje się nieszczepnie, zasypuje obie strony donosami, prawdziwymi i fałszywymi, byle dostać nagrodę.

Tak więc pewnego dnia Lord Loudon płaci za informację, że klany rozłożyły się obozem na południe od Moy, o piętnaście kilometrów od Inverness, a księżę gości u wodza klanu Macintosh we dworze Moy, położonym opodal głównego obozowiska rebeliantów. Wydaje się, że Loudon ma szansę, być może jedyną, ocalenia Inverness. Wysyła tysiąc ludzi. W oberżu Craggie, o jakieś sześć kilometrów od Moy, oficerowie zatrzymują się, by coś zjeść i wypić. Kilka kieliszków rozwiązuje im języki.

Czternastoletnia córka oberżysty wymyka się z domostwa, biegnie na bosaka całą drogę do Moy. We dworze Macintoshów, bez tchu, opowiada, co słyszała.

— ...mają otoczyć dwór... zaskoczyć naszego księcia...

pojąć go, zanim się jego ludzie obudzą...

Macintosh budzi swego śpiącego gościa.

— W góry, mości księżu! Nie ma czasu do stracenia! Mogą tu nadejść każdej chwili!

W nocnej bielunie i pantoflach Karol Edward z Klementyną i kilku uzbrojonymi sługami wypada z domu w ciemną noc, by przepędzić długie godziny w górskiej kotlinie, drżąc z zimna.

Córce oberżysty jeszcze tego mało. Biegnie do wsi Moy, budzi zwolenników księcia, szerzy alarm.

Gdy ludzie Loudona podchodzą w ciemnościach do dworu Moy, słyszą nagle szorstkie głosy:

— Oto łotry, łajdaki, którzy chcieli porwać naszego księcia!

Nie szczędzić ich! Bez pardonu! Ognia, chłopcy!

Ludzie Loudona nie mogą dostrzec swych przeciwników.

— To klany! — wołają w przerażeniu.

— Zawracać! Uciekać! Potną nas na kawałki!

Na wąskiej drodze chaos. W ciemnościach otworzono ostry ogień. Konie płoszą się, stają dęba, ranni krzyczą i jęczą. Kule dosięgły niewielu, natomiast od końskich kopyt niejeden ucierpiał w zamieszaniu. Jednakże główne siły oddziału wydostają się z zatoru na drodze, uchodzą spiesźnie do Inverness.

Na gościniec, z którego uciekli w popłochu ludzie Loudona,

170

wychodzi kowal, kilku młodych wieśniaków i czternastoletnia dziewczyna. Stoją, i śmieją się. To ich właśnie niedoszli porywacze księcia przyjęli w ciemnościach za całą armię rebeliantów.

Trzynastu mężczyzn zmusiło do ucieczki cały tyśiąc.

— Wspaniała z ciebie dziewczyna — powiada kowal. —

Zasłużyłaś na medal i na pięknego męża na dokładkę! Ale nie powinnaś tu była zostawać. Jeszcze by cię ranili...

— Ej, warto było! — śmieje się dziewczyna. — Teraz muszę pędzić do domu. Rodzice będą się niepokoić.

Bose stopy bezszelestnie biegną po drodze.

Książę, zaznawszy, co to znaczy być uciekinierem, następnego dnia maszeruje do Inverness. Loudon się wycofał. Czekać na przeważające siły powstańców byłoby szaleństwem. Poprowadził

swoich ludzi na północ, do hrabstwa Cromarty.

Inverness cechuje prymitywny urok i nieprawdopodobny brud.

Cztery ulice i trzy tysiące mieszkańców. Krzyż na rynku, a tu

obok wielki szarobłękitny głaz, zwany clach-na-cuddain, na

którym kobiety opierają kosze z bielizną, wspiąwszy się z nimi

stromizną od brzegu rzeki Ney, i gdzie mężczyźni się zbierają,

targują, kłócą. Domy z szarego piaskowca, o zewnętrznych

schodach i balkonach tak niskich, że przejeżdżający pod nimi

jeździec musi się schylać nad końską grzywą. Wykute w kamieniu

inicjały właścicieli domów i ich synów. Na murach wymalowane

wersety z Biblii, najbardziej złowieszcze przepowiednie, ponie

psalmy. Mieszkańcy Inverness, jak się zdaje, mają ciężkie życie *tu*

na ziemi i nie spodziewają się niczego lepszego na tamtym

świecie. Na parterach nie ma okien, co miało być rodzajem

ochrony przed dzikimi klanami w okresach feudalnych waśni.

Stolica górnej Szkocji. Przybywają tu regularnie statki z

Rotterdamu; chyba że, jak obecnie, nie dopuszczają ich angielskie

okręty wojenne. Z Niderlandów nadchodzi tu wino, stal na szable,

koronki, srebro, aksamit, jedwabie, proch i kule, korzenie — a

także szpiegzy. W zamian zabierają sól i chmiel, wołowinę i

wełnę z górskich stad — i szpiegów.

171

Zanotowane w kronikach dzieje miasta — przeważnie krwawe

— sięgają początkami VI wieku. Na zamku James I szkocki

zwołał parlament w XV wieku i kazał ściąć trzech wodzów z północy, którzy mieli czelność zaŝądać udzielną władzy. A na zamku, który stał na tym samym miejscu poprzednio, Macbeth ponoć zamordował Duncana.

Najwięcej zwraca uwagę księcia nie historia tego miasta, ani jego urok, lecz odór. Pomyje, ścieki, brudy, opróŝniane na ulicę nocne naczynia zatruwają wąskie uliczki i zaułki. Gdy ksiąŜę sugeruje, ŝe naleŜałoby zająć się utrzymywaniem czystości w mieście, jeden z rajców miejskich odpowiada beztrosko.

— Proszę się nie kłopotać, wasza ksiąŜęca wysokość — za nosi się na deszcz!

Dnia 18 lutego Karol Edward przenosi się do wygodnego, czystszeo i zdrowszeo dworu Gulloden, opuszczonej siedziby Duncana Forbesa. Tam czeka na przybycie Lorda George'a Murraya, który istotnie nadciąga, a ksiąŜę Cumberland tuŜ za nim, depcąc mu po piętach.

Lord George dowiedział się, ŝe hrabstwo Atholl i północne. skąpo zaludnione okolice hrabstwa Perth są w ręku wojsk rządowych. Zamek Blair, siedziba wodzów Atholl, została zajęta i umocniona przez Sir Andrzeja Agnew. Lord George, wbrew wyraźnym instrukcjom, nie moŜe się oprzeć pokusie: ma sposobność splątania przykrego figla Anglikom. Wysyła swoje główne siły przez hrabstwo Aberdeen, przykazując im ściągać kontrybucje, a sam z siedmiuset ŝołnierzami skręca na zachód.

Dnia 10 marca w dolinie zwanej Garry rozdziela swoich ludzi na kilka pomniejszych oddziałów.

— KaŜdy z was — poleca dowódcom — musi przed świtem zająć jeden z nieprzyjacielskich posterunków. A o świcie spotykamy się wszyscy na moście przy strumieniu Brurra.

Na kaŜdym z angielskich posterunków padają zabici. Tylko w oberŜy Blair ostrzeŜono Anglików, którzy w porę schronili się na zamek. Usłyszawszy od nich, co się święci, Sir Andrew

172

Agnew wysła silny podjazd — tysiąc Őołnierzy — by zbadać siły powstańców w okolicy.

Lord George maszeruje z dwudziestu czterema ludźmi na miejsce umówionego spotkania. Niespodziewanie — cały podjazd angielski przed nimi. Krytyczna sytuacja pozwala ocenić jego pomysłowość. Pośpiesznie rozmieszcza swoich ludzi za niskim wałem w duŜych odstępach. Chorągwie rozmieszcza na jeszcze bardziej rozrzuconej przestrzeni. Wstrzymuje ogień aŜ do chwili, gdy Anglicy są juŜ blisko. Wówczas wydaje rozkaz strzelania, a dwom kobziarzom, którzy są przy nim, nakazuje:

— Macie dąć w kobzy ze wszystkich sił, niechaj pibroch brzmi jak najgłoŹniej!

Strzelcy otwierają ogień, wyrzaskują bojowe zawołanie klanu. Od ostrych dźwięków pibrochu aŜ echo idzie. Dowódca podjazdu angielskiego dochodzi do przekonania, Őe natknął się na

znaczne siły nieprzyjaciela. Wycofuje się natychmiast w obawie zasadzki. Znowu powstańcy ocaleli. Takimi drobnymi podnietami muszą się teraz pocieszać wiedząc, że stopniowo Anglicy zapędzają się w sytuację bez wyjścia, że czeka ich śmierć.

Księcia gniewa niesubordynacja Lorda George'a. Wysła surowy rozkaz natychmiastowego marszu do Inverness.

Sir Thomas Sheridan i kwatermistrz O'Sullivan jeszcze sączą truciznę w uszy Karola Edwarda:

— Lord George zawinił nie tylko brakiem posłuszeństwa, ale i brakiem zaufania. Jego lekkomyślność naraziła na niebezpieczeństwo siedmiuset ludzi. A może nawet zamierzał połączyć się z nieprzyjacielem w Zamku Blair...

Księżę staje się coraz bardziej nieufny i podejrzliwy. Wydaje rozkaz swym irlandzkim oficerom — Szkoci zbuntowaliby się przeciw rozkazowi śledzenia głównego dowódcy:

— Gdyby podczas bitwy chciał nas zdradzić i przejść na stronę nieprzyjaciela — zastrzelić go!

Złe perspektywy dla wojska, którego wódz nie ufa swemu najlepszemu generałowi.

173

Do Inverness docierają wieści, że angielskie okręty przy wybrzeżach Szkocji pochwytiły francuski statek, wiozący dwanaście tysięcy gwinei dla księcia. Pieniądzy brak. Ludzie wymykają się z szeregów i uciekają do domów w górach.

Książę Cumberland, który nie jest geniuszem, ale wodzem doświadczonym, dokładnym i odpowiedzialnym, nie śpieszy się wcale. Przyparł nieprzyjaciela do muru. Jeśliby Młody Pretendent zechciał teraz maszerować na południe, natknąłby się na angielskie wojska na każdym zakręcie każdego gościńca. Jeśli wycofa się w wysokie góry, jego siły rozpląną się, a Anglicy, coraz szerzej rozciągający swe sieci na cały kraj, nie dopuszczą do zwerbowania nowych sił z nadejściem lata. Nic teraz już nie może ocalić losów powstania, prócz wygranej walnej bitwy, prócz wielkiego zwycięstwa, odniesionego nad jedyną doświadczoną i dobrze wyekwipowaną armią, jaką przeciw nim wysłano. Aby nie ponieść ryzyka takiej bitwy. Cumberland czyni przygotowania z drobiazgową cierpliwością. W Aberdeen stoi przez sześć tygodni, zbierając tabory, ściągając posiłki, czekając na poprawę fatalnej pogody. Przyłącza się do niego diuk Gordon, hrabiowie Aberdeen i Findlater. Więcej teraz szkockich magnatów wystąpiło przeciw księciu, niż po jego stronie. Oczywiście, Młody Pretendent nie ma jeszcze ani stanowisk ani pensji do rozdzielania. I wbrew bitwom pod Prestonpans i Falkirk — chyba nigdy nie będzie mieć. Jest ściganą zwierzyną, a książę Cumberland myśliwym.

Tymczasem Lord George Murray za pośrednictwem wodzów, których książę jeszcze gotów jest wysłuchać, nalega na wysłanie podjazdów i przeciw ludziom Loudona na północy, i przeciw Zamkowi Blair. Chodzi mu o podtrzymywanie ducha wojsk

powstańców, o zapobieganie dezercjom. Ale ksiąŜę wie, od kogo te propozycje pochodzą, więc je odrzuca. Podtrzymuje własnego ducha, wydając bale i uczyty we dworze Culloden. Do tej pory rebelianci odnosili zawsze sukcesy, gdy zetknęli się z Anglikami w kaŜdej mniejszej czy większej potyczce. Ale

174

wojna miała charakter raczej podjazdowy, bez walnych bitew. Ani walory bojowe klanów, ani zdolności militarne księcia nie zostały wypróbowane w pełni przeciw Œołnierzom, zahartowanym w wojnach niderlandzkich, dowodzonym przez dobrego generała, który potrafi rozrôŒnić, kiedy jest czas na miłość, a kiedy na wojowanie.

Ale ta godzina juŜ nadciąga. Gzy spoczynku księcia nie zakłócają echa znanego powiedzenia: „Anglicy przegrywają kaŜdą bitwę, prócz ostatniej?”

Rozdział XIV

„NIKT, PRÓCZ SZALONEGO GŁUPCA...”

Godzina się zbliŜa...

Romantyczne przygody nie pomogą teraz. A głupi upór moŜe się okazać fatalnym.

Godzina się zbliŜa...

Odwaga... determinacja... tego nie brak. Zimna krew? Zdrowy rozsądek?

Godzina się zbliŜa...

Godzina, kiedy trzeba talentów wojskowych na skalę taką, jak sławnego księcia pradiada, Jana III Sobieskiego...

Godzina nieunikniona...

W czyich rękach losy? Lepiej powiedzieć — opatrności. Jego własna reputacja nie ucierpi...

śolnierze Cumberlanda ruszają naprzód do Inverness.

Dwadzieścia tysięcy mocnych nóg wybija takt ciężko, miarowo.

Każdy idzie naprzód jak ślepiec, nie znając w ogóle okolicy.

Muszą zaufać milicji Campbellów pod wodzą diuka Argylla, iść w

ślad za ich rozpięchłą na horyzoncie linią. W trwodze, Śe za

każdym zakrętem gościńca, który ledwie zasługuje na to miano, za

każdą górą, za każdym zagajnikiem kryje się groźny nieprzyjaciel,

horda

dzikich,

wrzeszczących,

wymachujących

mieczami

klanów... Niewyraźne pomruki w szeregach,

176

niezadowolenie z powodu niegościnnosci kraju, ostrego wichru,

dokuczliwego deszczu, ciężaru muszkietu i plecaka, surowości

sierżantów, wymagań oficerów.

John Jones, wzrostu średniego, włosy nieokreślonej barwy,

dobrze zbudowany lecz nie siłacz, urodzony i wychowany w ła-

godnym klimacie południowej Anglii. Czternaście lat słuŹby wojskowej, z tego wiêkszość na kontynencie. Hrabstwa Aberdeen, Banff, Moray, Nairn — dotąd w pojęciu Johna Jonesa były równie odległe, co biegun północny. A teraz nawet w kwietniu wydają mu się lodowate.

— I czy muszą mnie tak poobwieszać, jak choinkę na święta?

Czarny trójganiasty kapelusz. Na szyi skórzany sztywny kołnierz, rodzaj obroŹy, który nie pozwala mu patrzeć nigdzie indziej, jak tylko prosto przed siebie. Szkarłatna kurtka, zapinana na mnóstwo guzików, z szerokimi mankietami i naszywkami o barwach regimentu. Rękawy się zbiegły od częstego moknięcia na deszczu. Długa kamizela. Szkarłatne bryczesy. Owijacze białe lub szare. Przez lewe ramię szeroki rzemień z torbą na naboje, a jedno i drugie codziennie czyszczone i pobielane blejwasem, pod surowym okiem podoficera. Za pasem, równieŹ bielonym, podwójny futerał na szablę i bagnet. Szary płócienny plecak z grubego płótna, a w nim dwie koszule, dwa skórzane kołnierzyki, dwie pary skarpet, para bryczesów, para butów zapinanych na sprzączki, szczotka, pasta do obuwia, blejwas, suchary na dwa dni. Muszkiet metrowej długości, a wagi blisko sześciu kilogramów. Na odległość ponad trzystu kroków broń zupełnie nie-skuteczna. Nie wiêcej, jak kilkunastu towarzyszy Johna Jonesa z sześciu tysięcy w piechocie, trafi człowieka nawet na sto kroków. Ich zalety jako muszkieterów polegają na zaporze z ognia, jaką

tworzą, gdy cały ich szereg strzela równocześnie.

John Jones — bohaterski obrońca ojczyzny? Chyba tylko w tandetnej i sentymentalnej balladzie, napisanej w pocie czoła przez gryziórka o wąskiej piersi i krzywych nogach.

177

A w rzeczywistości? Brudny, zdemoralizowany, pogardzany. Zarazem strażnik prawa i ofiara prawa. Skazywany na śmierć przez oficerów, jeśli odmówi strzelania do zbuntowanych współrodaków; cel strzałów buntowników, jeśli rozkazu posłucha. Nędzny Sōld, parę szylingów tygodniowo. Z tego dwa pensy dziennie potrącane za mundur; sześć pensów za obuwie, bieliznę, kamasze, lekarstwa. Podstawowe wyżywienie — suchary wojskowe i ser. Mięso, tłuszcz, piwo — musi sobie kupować sam, jeśli mu jeszcze parę pensów zostało. Młodszy oficer wydaje na kapelusz, perukę, albo parę pończoch więcej, niż wynosi Sōld Johna Jonesa w ciągu dwóch lat.

Dyscyplina narzucana karą chłosty. Zwykła, codzienna rzecz, chłosta i sól, wcierana w otwarte rany: od dwudziestu pięciu razów do trzech tysięcy razów, co się kończy prymitywnym pogrzebem szczątków.

John Jones nie ma ambicji, ślepy na wszystko, co nie jest codzienną rutyną, maszerowaniem, formowaniem szeregów, zmechanizowanymi ruchami nabijania i strzelania na rozkaz. W ciągu tych czternastu lat dostał w sumie już ponad dziesięć tysięcy

razów za błahe wykroczenia w rezultacie złego humoru sierżantów lub oficerów po przehulanej nocy. Jedyna przyjemność, jaką zna, może mu przyczynić — w danych okolicznościach — wstrętnej i bolesnej choroby. Czy może się dziwić, że jeśli wypuszczą go na zdobyte miasto z paru tysiącami towarzyszy, podobnie zezwierzęconych, jak i on sam — rabuje, pije, znęca się nad starcami, zdiera bieliznę i gwałci niewinne ciała dziewcząt i kobiet szlachetnego urodzenia?

Dlaczego John Jones wstąpił do wojska? Ponieważ głodował, albo uciekał przed wyrokiem sądu, albo od ojca dziewczyny w ciąży. Tym sposobem mógł się równieś wydostać z więzienia. A gdy go zdemobilizują, będzie już stary, niedołężny i wtedy najprawdopodobniej zajmie w społeczeństwie miejsce żebraka. Stracił na wojnie rękę lub nogę? Twarz ma przeoraną okropną blizną? To tym lepiej. Jeśli nie jest inwalidą, będzie go udawać, inaczej niewielkie będzie miał

178

szanse wzbudzenia litości i wycyganienia grosza od wykształconych elegantów, za których walczył i cierpiał.

Czekać. Ale co ich czeka? Markiz d'Eguilles, ambasador wysłany przez króla Francji do Karola Edwarda, przewiduje, co będzie.

Klęska Stuartów. Upokorzenie. Jakiego kija Francja będzie szukać, by nim grozić Anglii, jeśli wygnani Stuartowie w drugiej

próbie odzyskania tronu naraŹą siê na poŹmiewisko? Po dwóch wiktoriach, nie poniósłszy poraŹki, Karol Edward mógłby wycofać siê ze Szkocji z honorem, moŹna by go przetrzymać na lodzie, aby mógł powrócić jako bohater .w stosownej chwili, według uznania mocodawcy pana ambasadora. Ale pokonany? Upokorzony?

Wieczorem dnia 14 kwietnia 1746 r. ambasador d'Eguilles prosi o audiencjê u regenta Anglii, Szkocji, Irlandii.

— Wasza ksiąŹca wysokoŹć, zaklinam! Proszê siê wycofać na pólnoc i na zachód, dopóki jeszcze jest moŹliwoŹć...

— Odwrót? Proszê nie wymieniać tego słowa. Bardzo mnie juŹ znuŹyło.

— MoŹci ksiąŹe! Proszê mnie wysłuchać. Nie wolno waszej ksiąŹcej wysokoŹci ryzykować tej bitwy. Wasi ludzie nie mają do niej serca. A klęska bêdzie oznaczała koniec waszej sprawy...

— Uf! Proszê nie mówić o klęsce. Źołnierze myŹlą tylko o zwycięstwie.

— Zaklinam, dla własnego dobra waszej ksiąŹcej moŹci, dla dobra waszego królewskiego ojca, dla dobra sprawy! Czy nic nie wzruszy waszej ksiąŹcej moŹci? Trzeba rozwaŹyć raz jeszcze...

....

Karol Edward odtrącił na bok francuskiego., ambasadora i jego obawy. Ale pomimo hali i uczt, tygodnie czekania na walnà rozprawê z księciem Cumberlandem nie pozostały bez wpłwu na

jego stan ducha. Dzień po dniu Młody Pretendent

patrzył, jak topnieją szeregi jego stronników. Znowu ich liczba spadła do ledwie sześciu tysięcy. Skarbiec jest pusty. Jego ludzie nie bardzo mają *co* jeść. Blokada angielskich okrętów nie dopuszcza prowiantu, zapasów, pieniędzy. Wodzowie irytują się i kłócą. Szkoci niechętnie odnoszą się do Irlandczyków. A ksiąŜę nie ufa swemu głównemu wodzowi. Karol Edward próbował dodać sobie otuchy nadzieją rychłej bitwy — i zwycięstwa... Teraz d'Eguilles wymówił owo niewymawialne słowo...

W parę godzin później Karol Edward niespokojnymi krokami przemierza swój pokój. JuŜ się przebrał do snu. Jest pozbawiony ksiąŜęcych ozdób. Człowiek, twarzą w twarz z własnym przeznaczeniem. Mówi, chociaŜ mogłoby się wydawać, Őe raczej głośno myśli. Od strony łóŜka przerywa mu głos, młody lecz śmiały:

— Dwakroć juŜ pokonałeś Anglików na polu bitwy. Tym razem pobijesz ich na głowę...

Klementyna jest lojalna, i kochająca, i ambitna — za niego. Jej ambicje nie obejmują jej samej. Wie dobrze, Őe królowe są ulepione z innej gliny, nie takiej jak ona.

Karol Edward przystaje na środku pokoju. Nie patrzy w stronę, skąd dochodzi głos. Palcami niecierpliwie przesuwa po włosach, po chłopięcemu roztarganych. Dolną wargę przygryza i wysuwa na przemian.

— Na pokładzie „Doutelle” Boisdale powiedział: „Ilu padnie za ciebie...?”

Klementyna podciągnęła do góry kolana pod prześcieradłem i objęła je ramionami. Odpowiada cicho:

— Nie czas myśleć o tym. W klanach nie waży się życia człowieka, tylko życie klanu. Dopóki żyje klan, żyje każdy jego członek, choćby w swoich dzieciach. A dzięki twemu zwycięstwu klany będą żyły. Inaczej Anglicy położą kres naszemu rodowemu ustrojowi, zgniota klany, które już dwakroć powstały przeciw nim. Nasi rodacy wiedzieli, że się dla ciebie na to ryzyko narażają. Teraz ty musisz zaryzykować wszystko dla nich...

180

Księżę odwraca się, by spojrzeć na nią, wspartą na poduszkach, przytrzymującą prześcieradła wysoko nad drobnymi pierściami. Mówiła słusznie, w imieniu swoich. Ale on się wyprawił na zdobycie korony, trzech koron... Odzyskać tron dla dynastii, dla swego ojca, a później dla siebie. Głośno powtarza słowa ambasadora d'Eguilles:

— Klęska będzie oznaczała koniec sprawy.

Karol Edward ma nieskomplikowany charakter. Przemówienie do niego, poruszenie go nie wymaga głębokiej znajomości psychologii. On, który groził oskarżeniem o tchórzostwo, z pewnością sam boi się tego oskarżenia. Podnosząc wzrok ku sufitowi, jakby tam miała zobaczyć napisane słowa, które z trudem sobie przypomina, dziewczyna w łóŜku przytacza wyrazy, niegdyś cytowane przez księcia:

— Nie chcemy... ginąć w towarzystwie człeka... co nie chce w śmierci... naszym być kolegą...

Klementyna spogląda prosto w oczy kochanka. Wypuszcza z rąk prześcieradło... wyciąga nagie ramiona...

O świcie następnego ranka wojska zbierają się na wzgórzach, zwanych Drummosie Moor, nieco na południe od dworu Gulloden. Książę Cumberland dotarł do Nairn, o parę mil na wschód. Kwatermistrz O'Sullivan i Sir Thomas Sheridan obrali te wzgórza jako odpowiednie miejsce na pole bitwy ze „szkarłatnymi mundurami”.

O'Sullivan zachowuje się ostatnio gwałtownie, porywczo, nerwowo. Często wzywa cyrulika, kaŜe sobie puszczać krew i kładzie się na parę dni do łóŜka. Puszczano mu krew tego ranka. Kto by zechciał powąchać flaszkę, stojącą przy jego łóŜku, bez trudu potrafiłby nazwać lekarstwo, jakie stosuje.

Nie zapytano Lorda George'a Murraya o zdanie przy wyborze

miejsca na pole bitwy. Niezbyt wydaje mu się odpowiednie.

Drumossie Moor ciągnie się na przestrzeni jakichś osiemnastu kilometrów od południowego zachodu do północnego

181

wschodu. Wichury zamiatają stale te jałowe wzgórza, porośnięte tylko skąpą trawą, ledwie wystarczającą dla niewielu chudych owiec. Od strony Nairn widać kilka kamiennych domostw, z których największe, zwane Culwhiniac, stoi na kwaterze, sześćset na tysiąc metrów, otoczonej murem. Poza tymi jedynymi zabudowaniami są rozsiane tu i ówdzie szałas górali, lepione z gliny. Wzgórza pozbawione drzew, posępne i nagie, ogranicza z jednej strony morze, z drugiej grzbiety gór.

Idealny teren dla jazdy, której Anglicy mają pod dostatkiem, a księciu brak. Najgorszy moŜliwy dla klanów, nieprzywykłych do zdyscyplinowanych szeregów, do wymiany salw ognia, do odpierania szarŜ kawaleryjskich. Klany najchętniej same rzucają się z dzikim wrzaskiem do ataku na wroga i jednym zamachem usiłują go pokonać.

Kiedy Karol Edward siada do śniadania, Lord George wysyła paru oficerów na czele niewielkich podjazdów na rozpoznanie okolicy po drugiej stronie rzeki Nairn, opływającej ogrodzenie wokół Culwhiniac. Donoszą, Őe tam grunt jest nierówny, bagnisty, torfowiska i mchy, praktycznie biorąc nie do przebycia dla koni.

Ale ksiąŜ nie dba o te doniesienia. Nie będzie słucał rad Lorda

George'a, który obraŹony odchodzi, wywierajac swój gniew nie na księciu, lecz na kwatermistrzu:

— Idiota z tego O'Sullivan. Prowadzi bitwę w nocnym czepku!

Ani śladu Anglików. Cumberland się nie śpieszy. żołnierz nigdy nie walczy lepiej po długim czekaniu na polu bitwy — przeciwnie. Niechaj więc klany czekają. I czekają, ustawione w mniej więcej porządnym szyku bojowym, aż do godziny jedenastej. Wówczas Karol Edward, dowodzący i każdy rozkaz wydający osobiście, powiada żołnierzom, że mogą się pokrzepić „odpoczynkiem lub czym innym”. Te słowa zawierają odcień makabrycznego humoru. Pokrzepienie, jakiego ludzie potrzebują, to solidny posiłek. A żywności nie ma. Prowiant, który żołnierze otrzymują w miejsce żołdu, zostawiono w Inverness, ponieważ nikt, a już najmniej „idiota, który prowadzi

182

bitwy w nocnym czepku” nie pomyślał o zorganizowaniu podwód do przywiezienia prowiantu na wzgórze Drum Mossie.

Po południu widoczne się staje, że książę Cumberland nie jest sportowcem. Nie nadciągnie dzisiaj. Prawdę mówiąc, jest to właśnie dzień jego urodzin. Własnym sumptem postarał się o mięsiwo, aby żołnierze mogli uczcić ten dzień, i polecił wydać porcję rumu na głowę, by mogli wypić za zdrowie swego wodza, którego przezwano „Billy Boy”. A tymczasem klany kładą się

spać o pustych Sołądkach.

Karol Edward usiłuje wykombinować plan, w którym element zaskoczenia mógłby zastąpić większe doświadczenie bojowe Anglików.

— Pomaszerujemy nocą do Nairn — decyduje — i zaatakujemy obozowisko szkarłatnych mundurów przed świtem. Po tym uctowaniu nie będą się bardzo bronili. Szable... sztyly... przecinać liny namiotów, atakować każdą żywą postać.

O zmierzchu opuszczamy Drummossie Moor.

O zmierzchu blisko połowa głodujących rebeliantów wymknęła się do Inverness. Posłano po nich jeźdźców, którym odpowiadają:

— Moście nawet strzelać do nas! Nie wrócimy, póki nie dostaniemy jeść!

Zwłoka. Późno już bardzo, nim wyruszono w kierunku Nairn.

Dwadzieścia pięć kilometrów marszu po bezdrożach, w ciemności.

Lord George jest w posępnym nastroju. Natomiast książę wesół, pewny siebie, oczyma wyobraźni już widzi zwycięstwo, radosne uctowanie w Pałacu Holyrood, niechętnie klany tłumnie do niego powracające, ponowna wyprawa do Anglii z dwudziestoma tysiącami żołnierza! W tym nastroju próbuje nawet gestu serdeczności w stosunku do Lorda George'a:

— Ta bitwa uwieńczy wszystkie nasze osiągnięcia. Restauracja króla, honor, sława...

Wciąż marzenia o białym koniu, błyszczącej szabli...

Mocnym, szybkim krokiem Lord George, lojalny wbrew

183

wszystkiemu, prowadzi straż przednią: Cameronów, Stewartów i ludzi z Atholl. Dalej księżę na czele głównych sił. Wszyscy już pomęczeni, opóźniają się, grzęzną w trzęsawiskach, błota uginają się pod ich stopami. Osłabieni głodem ludzie padają na wrzosowiska, przeklinają swych dowódców i nie chcą się ruszać.

John Daniel z regimentu manchesterskiego pisze zwięźle:

„Co za szaleństwo! Cóś tu mówić, co myśleć?” O godzinie pierwszej po północy donoszą Lordowi George'owi, że główne siły pozostały daleko w tyle. Nakazuje postój koło Dworu Kilravock. Księżę przybywa nareszcie, narzekając:

— Nie możesz tak pędzić. Ludzie nie nadążają.

Gdy pierwsze blaski świtu przedzierają się przez ranne mgły, Nairn jest jeszcze o dobrych parę kilometrów odległości. A poprzez wrzosowiska dolatują dźwięki pobudki, wygrywanej w obozie angielskim. Lord George znowu nakazuje postój.

Klementyna śpieszy do niego:

— Jego księżęca wysokość życzy sobie, byś pan wydał rozkaz ataku najszybciej, jak to możliwe!

Wódz odpowiada:

— Nie będzie ataku. Jest już za późno.

Rozkazuje ludziom zawracać, maszerować z powrotem do

Culloden. Karol Edward nadbiega osobiście, napotyka wracających Cameronów.

— Zdradzono mnie! — krzyczy, z dramatycznymi gestami bohatera tragedii. — Co z tego, Œe wydaję rozkazy, gdy mnie nie słucają?

Co z tego, Œe ksiąŜę wydaję rozkazy, jeśli nie uwzględniają one sytuacji militarnej?

KsiąŜę wścieka się, rzuca, wylewa swoją złość i rozczarowanie na głowę Lorda George'a. Ale nadchodzą naczelnicy klanów, przerywają

nieprzystojną

sprzeczkę,

podwaŜającą

ład

i

dyscyplinę. Wszyscy nalegają, Œe Lord George ma słuszność.

184

Nocny atak miał szanse powodzenia; ale atak w biały dzień byłby samobójstwem.

Pierwszy sukces dla „Billy Boy”, nawet bez jednego strzału.

Dwadzieścia kilometrów marszu powrotnego, o jednym sucharze w ciągu dwudziestu czterech godzin, i tyle wody, ile kaŜdy moŜe sobie znaleźć.

Karol Edward odzyskuje równowagę, zachęca:

— Nie szkodzi. Spotkamy się z nimi później i stawimy im czoła, jak ludzie rzetelnej odwagi.

Nikt nie kwestionuje ich odwagi. Ani odwagi księcia. Ale talent militarny? Trzeba się znać na strategii i taktyce, zaopatrzeniu, trosce o żołnierza. Nie ma miejsca na „szaleństwo”.

Z powrotem pod Dworem Culloden wyczerpani ludzie rzucają się na przesiąkniętą wilgocią ziemię. Są zbyt zmęczeni, by sobie szukać jakiegoś pożywienia. Karol Edward znowu wchodzi do domu Duncana Forbesa.

— Pieczeń z jagnięciny i dwie gotowane kury będą zaraz gotowe, wasza księżęca wysokość — oznajmia sługa.

Księżę odsuwa go.

— Nie będę jadł, gdy moi ludzie głodują!

Prócz tego zaczyna teraz powątpiewać o słuszności rad swego przybocznego gwardzisty — „Teraz ty musisz zaryzykować walkę za nich...” Wręcz odwrotna rada francuskiego ambasadora również mu dźwięczy w uszach: „Nie wolno ryzykować tej bitwy...”

Czemu posłuchał jej, a nie jego? (prześcieradło osuwa się z drobnych piersi, nagie ramiona wyciągnięte ku niemu...) Teraz za późno, by się wycofać.

Razem ze swoimi oficerami księżę stara się dodać sobie otuchy i utwierdzić się w rezolucji za pomocą ostatniej z sześćdziesięciu beczulek wina, znalezionych w piwnicy dworu Duncana Forbesa.

Godzina siódma. Kobzy uderzają w przenikliwe tony za-

wołań klanowych. Bębny warczą. „Szkarłatne mundury" nadchodzą! Oszołomieni pierwszym cięŜkim snem górale budzą się powoli. Podoficerowie zaganiają ich na Drum Mossie Moor, na te same pozycje, które zajmowali przed 24 godzinami. Książę jedzie razem z nimi na siwym koniu. I on jest blady ze zmęczenia i bezsenności. Ale pokazuje ludziom wesołą twarz:

— Naprzód, moi dzielni chłopcy! Dzień będzie nasz!

Potrzeba im zachęty. Ale słowa nie mogą zapełnić pustych Ŝołądków.

Podoficerowie wywołują obecnych. Znowu ponad tysiąc ludzi brakuje. Nieobecni śpią snem krańcowego znuŜenia tam, gdzie się połoŜyli, przystanąwszy podczas powrotnego marszu — w rowach, pod ogrodzeniem, na polu. Za późno, by książę mógł ich obudzić. JuŜ tylko Cumberland ich obudzi, wyprawiając ich ze snu prosto w objęcia wieczności. Jakies pięć tysięcy górali ustawia się szeregami do bitwy, o której kaŜdy wie, Ŝe zadecyduje o losach całego przedsięwzięcia.

Szkarłatne mundury wspinają się od gościńca z Inverness do Nairn na wzgórze Drum Mossie Moor. W pewnym momencie jakiś obszarpany góral podjął się przeprowadzić ich artylerię przejściami wśród bagien. Wprowadził armaty prosto w trzęsawisko — i umknął, korzystając z wywołanego zamieszania. Piechota zawiesiła na ramię muszkiety i zabrała się do wydo-

bywania dział z bagien. Bicze strzelały nad końskimi grzbietami, przekleństwa rozlegały się z głębi serca, soczyste i dosadne. A m&Sawka zaczęła przenikać wilgocią przez odzie&S... Ale &Solnierze w „szkarłatnych mundurach” są wyspani i zjedli dobre śniadanie.

Szeregowiec Edward Linn napisze później do swojej &Sony:

„Brodziliśmy po kolana w błocie Drummosie, z całą chęcią dognania ich nareszcie, co i nic dziwnego, zwa&Sywszy, ile&Smy fatygi zaznali tej zimy, maszerując za nimi dniem i nocą...”

„Billy Boy” zdecydował, &Se czas ju&S po&Syc kres tym faty-

186

gom. A jego &Solnierze zgadzają się z nim całym sercem. Hanowerczyk czy Stuart — to im wszystko jedno. Ale tylko jeśli odniosą zwycięstwo, mogą mieć nadzieję pr&Sdkiego powrotu do Anglii.

Angielscy kanonierzy układają faszyny, wi&Sżki wrzosu i ga&Sżzi przed ustawionymi w bojowej pozycji działami, otwierają jaszczce z prochem, układają kule. Przez drobny, m&Sący deszcz spoglądają na szeregi rebeliant&S, odleg&S o nieca&S kilometr: zamglone zarysy ludzkich postaci w pledach, niewyra&Sżne przeb&Sżski stali.

W wojsku angielskim znajdują się regularne regimenty g&Srali.

Cumberland ma do nich kompletne zaufanie. Dowiod&Sły ju&S swoich &Sżwietnych bojowych warto&Sći w ci&Sżskich walkach na kontynencie.

Jest tu te&S kilkaset ochotnik&S, przys&Sżanych przez diuka Argylla. O tych nikt nie ma zbyt wysokiego

mniemania; nie ufa się teŹ zanadto w ich lojalnoŹ. Umieszczono ich na tyłach, na straŹy wozów taborowych. Ale cztery kompanie Campbellów nie posłuchały tego rozkazu. Przepychają się bliŹej pola bitwy. Mają stare długi do spłacenia wobec klanów, które najeŹdŹały ich terytoria.

Armia Sir Johna Cope, armia generała Hawleya — uciekały na dźwięk

przenikliwych

tonów

kobz,

wrzasków

zawołań

klanowych, połysku stali w rękach na wpół dzikich górali. Książę

Cumberland wie o tym dobrze. Jedzie między swoich Źołnierzy,

stara się dobrać słowa, by ich zachęcić do boju, dodać odwagi:

— Moi dzielni chłopcy, wasze trudy niebawem się skończą.

Nie ustępujcie przed szablą i tarczą. Uderzajcie w nieprzyjaciela,

jak was pouczono.

Nie będzie tu pojedynku salw muszkietowych. Rebelianci nie

walczą w ten sposób. Pod Prestonpans, pod Falkirk górale

podchwytywali cięcia bagnetów na swoje tarcze ze skóry wołowej

i dosięgali przeciwnika mieczami. Aby się temu przeciwstawić,

Cumberland kazał kaŹdemu Źołnierzowi zadawać bagnetem cios w

odsłoniętą pachę pod uniesionym w górę ramie-

niem tego górala, który zamierza się nie na niego, lecz na jego towarzysza, stojącego po p r a w e j ręce. W ten sposób kaŜdy winien nie tyle odpierać atak na siebie samego, ile na swego towarzysza, i tak omijać osłonę tarczy. Tego rodzaju taktykę moŜna było narzucić tylko bardzo zdyscyplinowanemu wojsku.

„Billy Boy” ciągnie dalej:

— Jeśli który z was nie chce się wdawać w tę bitwę, niechaj wystąpi i powie otwarcie, a z chęcią go zwolnię, gdyŜ wolę być na czele tysiąca ludzi odwaŜnych i rezolutnych, aniŜeli dziesięciu tysięcy, włącznie z takimi, którzy przez tchórzostwo lub niedołęstwo wprowadzą nieład w szeregi...

Cumberland jest trochę przycięŜki jako mówca, ale i on czytywał Szekspira, nie tylko Młody Pretendent.

Rozlega się wystrzał, ostry i czysty, ponad warczeniem bębnow. I drugi... Cumberland jedzie spiesznie w tym kierunku.

Wśród „szkarłatnych mundurów” leŜy góral w kilcie i pledzie, w kałuŜy własnej krwi. Pierwsza ofiara na Drummosie Moor, szalona i zbędna. Któryś z oficerów wyjaśnia:

— Przyszedł tu od tych nikczemnych buntowników, wasza wysokość. Oddał szable i pistolety, bierzcie mnie, powiada, do niewoli. Odprowadziliśmy go na tyły, kiedy nadjechał milord Bury. Ten człowiek chwycił muszkiet z rąk jednego z naszych Őołnierzy i wycelował w plecy milorda. Chybił, a Newman go

zastrzelił na miejscu, i całkiem słusznie!

— Pewno powinienem się uważać za szczęściarza — zauwaŜa ksiąŜę Cumberland.

— Tak jest, wasza wysokość, ten łotr z pewnością wziął milorda Bury za waszą ksiąŜęcą mość!

Wytworny i bogaty strój dwudziestojednoletniego Lorda Bury, bogactwo uprząŜy i siodła, istotnie rywalizują wyglądem z królewskim synem. To naśladowanie ksiąŜęcego przepychu omal go Ŝycia nie kosztowało. Zresztą, bynajmniej go to nie zatrwoŜyło. Nawet cugli wierzchowcowi nie Ŝciągnął, gdy mu kula gwizdnęła nad uchem. Jest chłodno odwaŜny, wyniosły i obojętny.

188

Cumberland zajmuje stanowisko do bitwy — między pierwszą a drugą linią swoich Ŝołnierzy — otoczony oficerami sztabu, w szkarłatnych i błękitnych mundurach, w koronkach, złocie i szamerowaniu.

KaŜda ze stron wojujących dąŜy do oparcia się skrzydłem o północny mur, ogradzający posiadłość Cułwhiniac, nie dopuszczając zarazem przeciwnika. Udaje się to Lordowi George'owi Murrayowi na czele ludzi Atholla z hrabstwa Perth.

Klany wciąż jeszcze nie ustaliły pozycji. Macdonaldowie się irytują. Jak pod Prestonpans, rozkazano im walczyć na lewym skrzydle, wbrew odwiecznej tradycji, zgodnie z którą winni walczyć na prawym skrzydle. Tym razem ksiąŜę nie ustąpi.

Bardzo niezadowoleni, Macdonaldowie odchodzą na wyznaczone im miejsca.

Naczelnicy klanów potrząsają głowami. Według nich szaleństwem jest stawać do bitwy z wygłodniałymi ludźmi, niewyszkolonymi nawet w najlepszych warunkach, przeciw przeważającej liczbie świeżych, dobrze odżywionych, zahartowanych w bojach regularnych żołnierzy. Lord George stoi zrezygnowany.

Clanranald, śmiejąc teraz, śmie niegdyś, nad brzegami Loch nan Uamh, uległ namowom tego porywczego gaduły Keppocha, wścieka się na siebie — i na księcia.

— Tylko szalony głupiec może walczyć w tych warunkach — powiada do Boisdale'a.

Uparta głupota — dziedzictwo Stuartów.

Tylko książe tak się zachowuje — cokolwiek by myślał w duchu — jakby niczego nie śmiał. Co prawda, nie ma wyboru.

Teraz, z dwoma tysiącami nieprzyjacielskiej jazdy o pół kilometra, nie może wydać rozkazu odwrotu, choćby i chciał. Masakra byłaby straszniejsza, niż przy najkrwawszej bitwie. Jedzie wśród swoich ludzi:

— Odwagi, chłopcy! Dzień będzie nasz!

Dzień? A ilu z nich nie zobaczy nocy?

Bierze od jednego z żołnierzy szablę, próbuje ostrza, ze świstem przecina powietrze:

— Załóż się, Źe ta broń niejedno ramię i niejedną głowę

dzisiaj odetnie!

Lord George z ludźmi Atholla na prawym skrzydle, wsparci o mur dworu Culwhiniac, wystawiają twarz na ukośne uderzenia deszczu, który uderza tylko o plecy „szkarłatnych mundurów”. Na lewo od nich — Cameronowie Lochiela. Już się rozlega pibroch ich klanu:

„Wy psi synowie, psiej rasy potomkowie,

Chodźcie tu, chodźcie, Źywić się padliną!”

Dalej Stewartowie znad brzegów Loch Linnhe, na południowo-zachodnim krańcu Wielkiego Glenu. To klan królewski: ich księżę nosił niegdyś to nazwisko, dopiero Maria Stuart zmieniła pisownię. Klan Stewartów nosi na beretach gałązkę z liśćmi dębu i Źółto-błękitny sztandar, przyłączył się do rebelii nie tyle z przywiązania do Starego Pretendenta, ile z zacieklej nienawiści do Campbellów, z którymi nigdy nie będą się bić po tej samej stronie.

Na czele środka pierwszej linii rebeliantów stoi Lord John Drummond. Z nim około trzystu Fraserów. Również klan Chattan (zwany Klanem Kocim), który jest właściwie połączeniem kilku plemion:

Mackintoshów,

Macgillivrayów,

Mac-beanów.

Naczelnik Mackintoshów przed kilku miesiącami zaciągnął się do królewskiej milicji, gdzie dowodzi kompanią. Ledwie odszedł, gdy jego Sona, Lady Anna, na złość mężowi, cały klan zaprowadziła do Młodego Pretendenta.

Pewna liczba armat, rozmaitego kalibru, z kiepskimi kanonierami, oddziela Chattanów od Farquarsonów. Dalej regiment edynburski, a na krańcu lewego skrzydła pod dowództwem

diuka

Perth,

niezadowoleni

i

narzekający

Macdonaldowie.

Pułkownik O'Sullivan, odpowiedzialny za szyk bitewny, czy to z powodu puszczania krwi, czy też tego drugiego „leku”, tak pokiełbasił sprawę, że pierwsza linia rebeliantów nie biegnie wcale równoległe do „szkarłatnych mundurów”, lecz ukośnie:

Lord George Murray jest oddalony ledwie o 500 metrów od wojsk

Cumberlanda, a diuk Perth o 800 m. W tej sytuacji atak

190

rebeliantów nie zwiąże w walce równocześnie całej linii przeciwnika.

Na prawo, na lewo i pośrodku pierwszej linii wojsk księcia

znajduje się kilka armat cztero- i sześćofuntowych. Ale kanonierzy po większej części zdezerterowali. Ich miejsce zajęli górale, nie rozumiejący się właściwie na swoim zadaniu, pod dowództwem Johna Finlaysona, producenta instrumentów astronomicznych z Edynburga.

O sto metrów w tyle stoi druga linia wojsk, złożona z różnorodnych oddziałów, włącznie z dwoma kompaniami Irlandczyków i Gordonami starego Glenbucketa. Wśród nich ojciec John Tyrie ostrzy swą szablę i zaklina się, że po trupach heretyków wyrąbie sobie dzisiaj drogę do nieba. Za nimi nieliczny regiment Konnych Grenadierów pod Lordem Kilmanrock — tym samym, którego syna tak dzielnie przyczyniła się do zwycięstwa pod Falkirk, a którego syn jest pułkownikiem w wojsku Cumberlanda. Jedynym koniem, jakim rozporządzają, jest ten z nazwy regimentu. Ci Konni Grenadierzy walczą pieszo. Jazdy jest przy Młodym Pretendencie tylko garść: jego najbliższe otoczenie, synowie zamożnych rodów i jeden szwadron pod wodzą Lorda Fitzjamesa. Oczywiście jest, że przeciw dwom tysiącom jazdy Cumberlanda konie w tak małej liczbie mogą być użyte tylko w jednym celu. Sam książę jest dzisiaj konno. Nie z własnej woli. On wolałby prowadzić osobiście pieszo środek pierwszej linii swoich wojsk. Ale wodzowie klanowi uparli się oświadczając, że w ogóle nie będą walczyć, jeśli książę nie dosiędzie wierzchowca i nie pozostanie w tyle. Cztery nogi biegną szybciej od dwóch.

Przy księciu znajdują się: guwerner Sir Thomas Sheridan,
bankier Eneas Macdonald i stary diuk Atholl.

Książę wydał rozkaz dzienny:

„... każdy w wojsku, oficer i żołnierz po równi, mają trzymać
się wyznaczonego stanowiska, a jeśli którykolwiek zawróciłby i
zaczął uciekać, niechaj mu towarzysz strzeli w plecy...”

191

Wydaje się, że książę nieco wątpi w zapal bitewny klanów,
choć każdy wojownik nosi przypiętą do beretu białą kokardę z
napisem, nie szczędzącym słów:

„Z Karolem, naszym bohaterskim i wspaniałomyślnym
księciem regentem polegniemy chlubnie albo ocalimy nasz kraj”.

Lord Bury — ten, którego niedawno o mały włos nie za-
strzelono — wyjeżdża ze spokojną zimną krwią przed front
„szkarłatnych mundurów” i z wysokości swego wierzchowca
przepatruje uważnie szeregi rebeliantów. John Finlayson, pro-
ducent instrumentów, nastawia działo, celuje, mierzy, podpala
lont... kłęby białego dymu... huk niezbyt głośnego zresztą
wybuchu... Lord Bury unosi kapelusz w lekkim ukłonie i pomału
odjeżdża z powrotem do swoich linii.

Godzina nadeszła. Bitwa rozpoczęta.

Nie jest to bitwa, wydana Anglii przez Szkocję — chociaż pod
wielu względami zadecyduje o przyszłości Szkocji. Szkoci w
znacznej liczbie, a nawet górale, są po obu walczących stronach.

Nie jest to bitwa katolików przeciw protestantom, chociaż ksiąŜę Syczy sobie zmienić religię Anglików. Obie strony stanowią mieszaninę katolików, anglikanów, prezbiterianów, wyznawców róŜnych sekt.

Zwycięstwo, klęska, pomsta, śmierć, kalectwo, brutalne prześladowanie — wszystko za cenę marzenia jednego człowieka o legendzie... o białym koniu... o lśniącej szabli...

Bitwa pod Culloden jest jedną z wielkich tragedii dziejowych.

Rozdział XV

„KTO NIE CHCE W ŚMIERCI NASZYM BYC KOLEGĄ”

— PrzejeŜdŜalem właśnie na prawe skrzydło, gdy mój koń zaczął wierzgać, co mnie bardzo zdziwiło, gdyŜ był to zazwyczaj łagodny i spokojny wierzchowiec, więc przyjrzałem mu się baczniej i spostrzegłem, Ŝe krew mu tryska z rany w boku. „Och, jeśli tak źle jest z tobą — powiedziałem do konia — to nic dziwnego, Ŝeś taki niespokojny!” I musiałem przesiąść się na innego.

Jest to jedyna chwila osobistego niebezpieczeństwa, którego zaznał Karol Edward w ciągu bitwy pod Culloden. Zdarzyła się na samym początku.

Przed pół godziną angielskie działa przemówiły potężnym rykiem, śląc wstęgę ognia. Kanonierzy skoczyli przeczyć lufy.

NałóŜyli proch, potem kule:

— Ognia!

Klany zupełnie nie widziały linii angielskich, tak je spowijały

kłęby dymu. Ale ku nim z tego dymu wylatywały Śelazne kule. A wokół nich padali, jak w kręgielni ich towarzysze. Oficerowie nawoływali do ścieśniania szeregów.

Wymęczeni głodem, marszem i brakiem snu, rebelianci nie mogą długo wytrzymać tego ognia. Wydaje się im bezsensowne stać tak beczynnie i patrzeć na rzeź towarzyszy. O'Sullivan — „idiota, który walczy w nocnym czepku” — ustawił ich nie

193

w trzy rzędy, jak zwykle, lecz w sześć; w rezultacie każda kula armatnia porywa za sobą czterech lub pięciu ludzi. Klany krzyczą, Śądając zmiany rozkazu. Grupy górali wybiegają przed wojska królewskie i stają przed nimi, uderzając szablami w tarcze, wyzywając ich do walki, jak przystało mężczyznom, w pojedynkę. Padają gęstym trupem — tylko taka jest odpowiedź na wyzwanie. John Finlayson, producent instrumentów, próbuje odpowiadać na tę dziesiątkującą ich szeregi kanonadę. Ale jego górale są nie wyćwiczeni. Tylko on sam może wycelować każdą działą. Kilka kul pada bezużytecznie poza linie angielskie, a w dziesięć minut później działą Młodego Pretendenta milkną ostatecznie.

Kanonierzy Cumberlanda celują dalej, kule padają na drugą i trzecią linię klanów, wywołują zamieszanie, pod księciem ranią wierzchowca.

Książę nie traci chłodnego spokoju. Klany nie mogą wytrwać w tej kanonadzie bez riposty. Wołają wciąż i wciąż, wielkim

krzykiem Śądając tradycyjnego rozkazu, który by ich posłał do ataku:

— Claymore! Claymore!

Odwagi im wcale nie brak. Ale to nie jest ich sposób wojowania.

Lochiel z pistoletem w jednej dłoni, a szablą w drugiej, stoi gniewny, z rozpaczą i wściekłością w sercu, na czele swoich ludzi, dziesiątkowanych kanonadą. Śle do Lorda George'a:

— Nie mogę dłuŜej powstrzymywać mego klanu. Gniewa ich kanonada nieprzyjaciela i tak niecierpliwi, Śe będą się wyrywać z szeregów.

Lord George, wcale nie mniej poirytowany, przesyła posłanie do księcia, który dzisiaj sprawuje osobiście naczelne dowództwo.

On jest odpowiedzialny za zwłokę, za rosnącą liczbę zabitych i konających, on jest odpowiedzialny za to, Śe pozwolił umknąć jedynej sposobności zwycięstwa — ataku na angielskie działa, wycięcia w pień kaŜdego angielskiego kanonie-

194

ra, który by nie uciekł. Gordonowie, Ogilvie, Irlandczycy, ślą posłania:

— Pozwólcie nam iść do ataku! DłuŜej tak stać nie moŜemy...

Klan Chattana, w samym środku linii księcia, nie posyła Śadnych wezwań. Nie czekają dłuŜej. ZałoŜywszy wysoko kilty na udach, berety ściągawszy na czoło, z twarzami wykrzywionymi

wściekłością i rozpaczą, wyrrywają się naprzód, łamiąc szeregi:

Mackintoshowie, MacBeanowie, MacGillivrayowie. Wrzeszczą ochrypniętymi głosami. Kobzy piszczą — aŜ do momentu, gdy kobziarz, dopadłszy szeregow wroga, dobywa szablę, a kobzę oddaje biegnącemu obok chłopcu.

Ludzie Atholla, Cameronowie — „najdziksi z dzikich” —

Stewartowie, Fraserowie, nie pozwolą się ubiec Chattanom. Nadal

bez rozkazu księcia, rzucają się z wrzaskiem do ataku. Wściekli

męŜczyźni w łachmanach, z rozwartymi ustami do krzyku,

odrzućwszy muszkiety i pistolety zimne, nieuŜywane, z

podniesionymi wysoko mieczami i toporami. Mordercza salwa

angielskich dział. Pierwsze szeregi klanu padają. Pęd sztur-

mujących zatrzymany — tylko na moment. Tylne szeregi rwą się

naprzód, przeskakują przez zabitych, potykają się o nich, ojciec o

syna, brat o brata. Nadal nic nie widzą, prócz kłębów dymu,

wzbijanych przez strzelające bez ustanku działa. AŜ wicher

odsłania na chwilę te kłęby, a oberŜysta z klanu Mackintoshów,

John Grant, dostrzega przed sobą, jak opowie później:

„Długi, długi rząd nóg, w białych getrach aŜ do uda, z czar-

nyymi guzikami wzdłuŜ łydek”.

Tak wygląda obraz bitwy z punktu widzenia jednostki.

Piechota królewska podnosi muszkiety do ramienia.

— Ognia!

Huk przeciągły, nierówny, przerywany... John Jones po-

śpiesznie przetyka lufę, gwałtownie odgryza nowy nabój i wrzuca proch, aś niebawem jego język, wargi i policzki stają się czarne... następny przeciągły, przerywany huk salwy muszkietowej...

195

A na lewym skrzydle rebeliantów? Ognięści Macdonaldo-wie, prowadzeni przez diuka Perth, Clanranalda, Keppocha? Kosi ich nieubłagana kanonada. Oni nie chcą ruszyć z miejsca — podobnie jak ich towarzysze ze środka i z prawego skrzydła nie chcieli stać na miejscu. Wciąż jeszcze są obraśeni, ponieważ umieszczono ich na lewym skrzydle. Istotnie, ich położenie jest gorsze. Muszą pędzić pod ostrzałem artylerii i piechoty, o paręset jardów dalej aniśeli Chattanowie i ludzie Atholla. Zbocze strome, pod górę po nierównym wrzosowisku, gdzie czają się pułapki na nieuważne stopy. Diuk Perth wybiega na czoło, wymachując szablą i krzyząc:

— Claymore! Glaymoref

Maodonaldowie stoją posepni, razem z Clanranaldem, Bois-dalem, Kinlochmoidartem. Wszyscy prócz jednego: Keppoch wybiega sam, z szablą i pistoletem w dłoni. Samotna postać, o sto metrów przed swymi ludźmi. Ogląda się przez ramię i wykrzykuje po gaelicku:

— Mo Dhia, an do threig Clann no Chinnidhini — mój

Bośe, czyśby ludzie z mego klanu mnie opuścili?

Nagle gwałtownie skręcił głowę, potknął się, mięśnie napięte

— ale idzie dalej naprzód. Po udzie spływa krew.

Osiemnastu oficerów klanu Chattanów pada wraz z kilkudziesięciu żołnierzami, zanim się znajdą na odległość dwudziestu metrów od nieprzyjaciela. Ci, co przeżyli, nie wahają się ani przez sekundę. Dopadają pierwszej linii Cumberlanda, przełamują ją — by paść, prawie co do jednego, pod ciosami bagnetów drugiej linii.

„Szkarłatne mundury” stoją twardo w miejscu, zadają cios, wyrywają bagnet, zadają cios, wyrywają — dokładnie jak na musztrze. Masakra.

Czyny bohaterskie, odwaga nadludzka, wytrzymałość trudna do uwierzenia. Gillies MacBean, major klanu Chattanów, przebity kilkakrotnie bagnetem, o twarzy przeciętej od czoła

196

do brody szablą, z prawym udem rozerwanym granatem, odłamkami żelaza... nadal wlecze się naprzód, dopóki nie wbiją go w ziemię tylce dziesiątków muszkietów, dopóki nie wdepczą go w błotnistą ziemię setki stóp. John MacGillivray zabija dwunastu, zanim i on padnie w błoto. Jego ojciec, pułkownik klanu Chattarów, pierwszy dopada „szkarłatnych mundurów” i rozrywa ich szeregi, a poniósłszy tuzin ran, wlecze się dalej na tyły szalejącej bitwy, by znaleźć strumień — i umiera z twarzą w wodzie...

Młodego chorążego, który niósł sztandar klanu, zabito wcześniej z początkiem ataku. Góral imieniem Donald chwyta

sztandar, oddziera płótno, owija je sobie wokół ciała. Gdy w wiele tygodni później dotrze do ojczystego domu, będzie miał nadal sztandar przy sobie i zyska zaszczytny przydomek: Donald na Braiteach, Donald-Barwy-Sztandaru. Jego synowie, którzy się dopiero urodzą, będą się zwali Angus i Charles na Braiteach. Zawstydzeni odwagą Keppocha, Macdonaldowie na lewym skrzydle ruszają wreszcie do ataku. Ale to nie jest szaleńczy szturm. Posuwają się naprzód, przystają, znowu idą, a za każdym razem zostawiają na szerokim wrzosowisku rozrzuconą linię tartanów, świadków skuteczności angielskiego ognia. Prawie już dochodzą linii „szkarłatnych mundurów”, i nagle cofają się o kilka kroków, strzelając z pistoletów, wymachując szablami, szczerząc zęby jak psy. Mają nadzieję w ten sposób skusić nieprzyjaciela, by wyszedł ku nim ze swych regularnych szeregów. Ale „szkarłatne mundury” nie dają się skusić. Stoją twardo i ślą w Macdonaldów salwę za salwą, a wszystkie mordercze.

197

Na prawo Lord George, dosiadając ognistego wierzchowca, który rzuca się i staje dęba, prowadzi swoich z nagą szablą w ręku. Ludzie z Atholl stają twarzą w twarz z morderczym ogniem muszkietowym. A cztery nieposłuszne rozkazom Cumberlanda kompanie Campbellów zajęły pozycje za murem, otaczającym posiadłość Culwhiniac, skąd celnymi strzałami rażą swoich postępujących do ataku rodaków. Trzydziestu dwóch oficerów

niebawem leŚy na wrzosowiskach, lub zlewa krwią niosących ich
Ŝołnierzy.

Ognisty wierzchowiec Lorda George'a pada od kuli. Jeździec
stracił kapelusz i perukę. Wyłamano mu szablę z ręki. Jego długi
kaftan jest cały poszarpany od ciosów bagnetów i odłamków
granatów. Lord George pojmuje, Őe bez pomocy jego ludzie nie
dadzą rady rozerwać szeregów „szkarłatnych mundurów”. Ogląda
się rozpaczliwie wokół, przypuszczając, Őe ksiąŜę wydał juŜ
rozkaz drugiej linii, by ruszyła z pomocą. KsiąŜę nie wydał takiego
rozkazu. Nie wydaje w ogóle Őadnych rozkazów. Lord George
biegnie z powrotem, wrzeszcząc, by rezerwa ruszyła do walki.
O pięćdziesiąt jardów od linii angielskich dział leŚy Lo-chiel
„Łagodny” z pogruchotanymi nogami. Patrzy, jak jego
Cameronowie rwą naprzód, jak przedzierają się po stosach trupów
własnych towarzyszy. Wielu górali porzuciło swoje tarcze na
drodze powrotnej z Nairn. Teraz nie mają Őadnej osłony przed
bagnetami regularnych wojsk Őołnierzy, którzy z mechaniczną
nieomal regularnością zadają ciosy, jak ich pouczono, nie
przeciwnikowi
przed
sobą,
lecz
sąsiedniemu...
JednakŜe

Cameronom udaje się w końcu przerwać przez piechotę Cum-berlanda — tylko po to, by natknąć się na regiment irlandzki, stojący w odwodzie. Obserwator spośród szkarłatnych mundurów tak opisuje tę scenę:

„Strasznie było patrzeć na miecze rebeliantów, unoszące się wysoko w górę do ciosu, a naszych oficerów tnących szablami, sierżantów wbijających halabardy w gardło wroga, gdy żołnierze bronili się nawzajem, wbijając w serca przeciwników

198

bagnety aż po lufę. Każdey nasz bagnet był pocięty i zakrwawiony. Ale jeszcze straszniej było słuchać jęków konających ludzi z tego i tamtego wojska”.

I wciąż nieustraszeni, wściekli Cameronowie, ludzie z At-holl, Stewartowie z królewskiego klanu — walczą jeszcze.

„Odrzuciliśmy ich, padali bez tchu na ziemię, którzy żywi, którzy martwi... Podrywali się i znowu rzucali się do ataku jak lwy, z mieczami w dłoni, ale ich starożytny „claymory” nie mogły w boju nic wskórać przeciwko bagnetom, podniesionym do wysokości piersi. Przecięty bagnetem rezolutny żołnierz może zabić przeciwnika na odległość dziesięciu jardów...”

Lord George, ze świeżo szablą w ręku, prowadzi Gordonów z drugiej rezerwowej linii, a obok niego stary Glenbucket, zgięty we dwoje nad grzbietem swego konia i ojciec John Tyrie, głośno modlący się i wymachujący mieczem nad głową. Ale posiłki

nadbiegają za późno. Natykają się na zawracających Cameronów i Stewartów, którzy niosą i wloką swoich rannych. Wybucho zamieszanie, kompletny chaos. Ludzie Lochiela porywają go i unoszą na tyły. Ale droga powrotna jest równieŜ drogą śmierci. Campbellowie, osłonięci murem, ślą z ukrycia salwę za salwą w skłębioną kupę górali, z których jedni prą naprzód, inni przepychają się do tyłu. Masakra. Masakra.

Posiłki zmieciono. Najsilniejsze skrzydło księcia, prawe, jest rozbite, zwycięŜone. Powinien był podesłać im wcześniej posiłki. Kwatermistrz O'Sullivan, który ma w Ŝyłach za mało krwi, a za duŜo whisky, dosadnie podsumowuje sytuację. Podnosi ramiona ku niebu i krzyczy:

— Wszystko diabli wzięli!

Książę patrzy na Irlandczyka szeroko otwartymi oczyma.

Dowodząc osobiŝcie, nie wydał ani jednego rozkazu, ani razu nie interweniował. Siedział na koniu jak wór. Teraz mówi martwym głosem do tych, co są najbliŜej: O'Sullivana, Sir Thomasa Sheridana, Eneasza Macdonalda:

199

— Nie powinniŝmy byli wydawać tej bitwy. Trzeba było posłuchać George'a Murraya.

Klementyna przygryza wargi. „Teraz ty winieneŝ zaryzykować wszystko za nich...” Ale nie wyobraŜała sobie, Ŝe książę będzie się chował w trzeciej linii, chociaŜby nawet zgodnie z Ŝyczeniem

wodzów klanowych, podczas gdy Cumberland jeździ na swoim wierzchowcu tuŜ za pierwszà linià „szkarłatnych mundurów”, kierując walkà, doglądając wszystkiego. CzyŜby ksiàŜe zapomniał o heroicznej tradycji, którà chciał wskrzесиć? Podobna myśl przelatuje przez głowê Lorda Kilmarnocka, który pieszo podbiega do księcia:

— Jeszcze moŜna wszystko uratować, mości ksiàŜe — woła, przekrzykując wrzawê bitewną. — Jedź naprzód! Wezwij pozostałych przy Syciu Chattanów, Athollów, Cameronów, Stewartów, Macdonaldów do jeszcze jednego ostatniego olbrzymiego wysiłku! Tobie odpowiedzà, ciebie usłuchają — tylko ciebie!

Sir Thomas Sheridan wykrzykuje:

— Milcz, głupcze!

Kilmarnock milknie, ale... Podnosi rękę i zadaje wierzchowcowi księcia potężny cios w kłëby. Obraza majestatu! Wierzchowiec staje dęba, ale ledwie jego przednie kopyta znowu dotykają ziemi, gdy z obu stron rzucają się na niego i ściągają mu cugle Eneas Macdonald i O'Sullivan.

— Czy ty chcesz księcia po pewną śmierć posłać? — krzyczy wściekle Eneas.

— Po sławę! — odpowiada Kilmarnock.

Ale teraz za późno na sławę. Za późno nawet, by ukarać za obrazę majestatu. Tylko honor moŜna by jeszcze ocalić. Ale i to

się nie udaje.

Cumberland rozkazał generałowi Hawleyowi poprowadzić sześć szwadronów dragonu wewnątrz ogrodzenia Gulwhiniac.

Tym razem nie ma Lady Kilmarnock, by go swym czarem odwiodła od wypełnienia obowiązku. Generał galopuje, by odciąć klanom drogę odwrotu. Drugi oddział jazdy nadjeżdża

200

od tyłów wojska angielskiego i atakuje wciąż wahające się lewe skrzydło księcia. Macdonaldowie, którzy w ogóle nie zetknęli się z nieprzyjacielem, zawracają i uciekają.

Dzielny i porywczy Keppoch leży ranny śmiertelnie. Młody mężczyzna unosi go, przerzuca sobie przez ramię, biegnie ku tyłom. Przez skrwawione ciało przebiega cięski, ostatni dreszcz.

Potem zwisa martwym bezwładem. Keppoch otrzymał jeszcze jedną kulę. Młody mężczyzna składa trupa i ucieka pędem.

Biegnie tak przez całą drogę, aż do krainy Keppocha, niosąc wieść o śmierci wodza jego klanowi i o wdowieństwie młodej kobiecie, która leży w połogu.

Cała pierwsza linia rebeliantów ucieka, potykając się o trupy, dźwigając rannych. Angielska jazda dopada ich, tną ludzi, jak się zabija chmary much. Irlandczycy z wojsk księcia próbują oprzeć się pościgowi, by dać uciekającym jakąś szansę. **Ale** nic już teraz nie ocali klanów, zdziesiątkowanych kulami angielskich dział, wycinanych w pień w ucieczce angielskimi szablami. Masakra.

Masakra. Masakra.

Lord George, pod którym znowu padł koń, bez kapelusza i

peruki, znowu ze złamaną szablą w dłoni, przystaje i patrzy:

„Trupy w tartanach czerwonych i czarnych, i Sóltych leŚały jak stosy piramid, wśród których jeszcze jakieś ramię lub noga drgała w agonii...”

Szeregowiec Edward Linn z królewskich fizylierów, weteran

wielu bitew na kontynencie, jest wstrząśnięty:

„Nigdy w Śyciu nie widziałem pobojuwiska tak gęsto zaległego trupami”.

I trzeci jeszcze spogląda na pole trupów — ksiąŜę Karol

Edward Stuart, zwący się regentem Anglii, Szkocji i Irlandii.

Jego nadzieje i marzenia leŚą pogrzebane pod tymi piramidami

ciał, zatopione potokami krwi jego stronników. Krzyki i jęki

konających potępiają jego awanturniczy romantyzm,

201

z którym tak lekkomyślnie podjął przedsięwzięcie, od początku

bez szansy wygranej, niezdolne do wydobycia z płuc melodii

Śycia, by zagłuszyła pieśń Śalobną.

Lord Elcho galopuje do księcia i pyta bez tchu:

— Jakie dalsze rozkazy, wasza ksiąŜęca wysokość?

Karol Edward rozgląda się raz jeszcze zrozpaczonymi oczyma.

Skrwawione szczątki jego wojsk, ukrzyŚowane pościgiem

„szkarłatnych mundurów”, nadciągają bliŚej. Klęska uderzyła w

księcia jak grom, sparaliżowała go. Do Lorda Elcho i innych

oficerów wokół niego powiada tylko:

— Myślcie o własnym ocaleniu...

O'Sullivan przechyla się, bierze cugle księcia wierzchowca w ręce i zawraca konia.

— A ja, mości księ? — pyta wierna Klementyna. Jej serce krwawi tak obficie, jak ciała górali.

On waha się przez chwilę, później mówi przez ramię:

— Będziesz bezpieczniejsza z dala ode mnie.

Słowa padają ciężko, martwo, bez czucia. Karol Edward zatracił na chwilę zdolność odczuwania czegokolwiek.

Klęska. Potrójna klęska.

Karol Edward zawiódł: nie przejawiał chociażby śladu wielkiego talentu wojskowego swego pradziada, Sobieskiego.

I zawiódł siebie samego w próbie zrealizowania własnej koncepcji.

„Zwycięść lub zginąć”. Tę obietnicę, tę przechwałkę można

było spełnić, gdy rozbito klany na wrzosowisku Drummoisie

Moor, tylko tak, jak chciał Kilmarnock... Bohaterski księ,

wzywający swych wojowników do nowego natarcia, otoczony

tłumem „szkarłatnych mundurów”, zabijający, dopóki jego nie

zabiją... Ten, który zabiera się do tworzenia legendy, powinien do

końca się zachowywać według nakazów legendy.

Inaczej z Karolem Edwardem. Zostawiając heroiczne, lecz

pokonane klany własnemu losowi, odjeżdża z pola bitwy z kilku towarzyszami. Beret i peruka zleciały mu z głowy w szalonym galopie, lecą przez chwilę z wiatrem i padają na wrzosowisku — z nimi jego honor, jak sądzi Lord Elcho, który krzyczy za księciem:

— Uciekaj, ty tchórze, uciekaj!

Jego lordowska mość nie jest sprawiedliwy. Karolowi Edwardowi nie brak tej zwykłej, konwencjonalnej odwagi, która jest potrzebna, by walczyć o Sycie, nawet przeciw silniejszemu. Brak mu tej rzadszej odmiany odwagi, która, Śywotna do końca, każe z podniesionym

czołem

walczyć

o

śmierć.

Nie

potrafi

zademonstrować człowieczego triumfu nad śmiercią — jak święty Bartłomiej, Joanna d'Are, jak pradziad Karola Edwarda — który każe sercu wznieść się w górę, dodaje ducha przyjacielowi i wrogowi, przekształca ludzi w bogów.

Tak kończy się bitwa pod Culloden. I nie tylko bitwa. Tak się kończą nadzieje Stuartów na odzyskanie tronu. Taki jest ten kres Śycia tysięcy dzielnych ludzi. Ale tragiczna kalwaria klanów nie

kończy się, a dopiero zaczyna. Będą rozproszeni, wygubieni. Ich kobiety zgwałcone, dzieci nadziewane na ostrza bagnatów. Ich domostwa zrównane z ziemią, cały ich świat zniszczony. Rzadko kiedy w dziejach uparta głupota jednego młodego człowieka, niczego nie osiągając, przyniosła tyle nieszczęścia tak wielu ludziom, spowodowała takie potoki wylanej krwi.

Część druga

ZBIEG

Rozdział XVI

UCIECZKA

PRZED KRWAWĄ ZEMSTĄ

Karol Edward nie ściągnie cugli, dopóki nie dotrze do Inver-garry w Wielkim Glenie, o jakieś dwadzieścia kilometrów na południe od Fortu Augusta. Jest z nim Sir Thomas Sheridan, kwatermistrz O'Sullivan, drugi jeszcze Irlandczyk, kapitan Felix O'Neal, góralski przewodnik nazwiskiem Ned Burkę i kilku innych. W Invergarry znajdują dwór Macdonaldów z Glen-garry — pusty. Nocny marsz do Nairn i z powrotem, dzień okropnej bitwy, szalona jazda po trudnym terenie i w strachu, Œe kaŒdej chwili pogoń ich doŒcignie, wyczerpały siły księcia. Zbyt zmęczony, by cokolwiek zjeŒć, rzuca się tak jak stal na podłogę i zasypia kamiennym snem.

Tymczasem ksiąŜę Cumberland przed odjazdem z pobojo-wiska wydaje rozkaz, by rannym rebeliantom „skrócić cierpienia”. Jego rozkaz wykonano aŒ nazbyt gorliwie. Setki górali zabijano z zimną krwią. Niektórych unoszono i strzelano do nich. Szałas, w którym leŒało trzydziestu kilku rannych męŒczyzn, spalono razem z rannymi. Nie tylko rannym „skrócono cierpienia”. Mordowano tych, którzy usiłowali jeszcze uciekać z wrzosowiska, albo ukrywali się w rowach. Nawet starców, kobiety i dzieci, którzy opodal przyszli popatrzeć na bitwę, albo nieŒli pomoc rannym i pomagali grzebać zabitych — wszystkich pomordowano razem z innymi.

Cumberland i jego ludzie stosują lekarstwo, które on sam zapisał na parę tygodni przed bitwą pod Culloden:

— Stłumić tę rebelię można tylko mieczem, a tak karząc buntowników, by nigdy więcej nie powstałi.

Zemsta Cumberlanda na szkockich góralach jest tak okrutna, brutalna i niemiłosierna, że niebawem zyska dzięki niej nowe przydomki: „Rzeźnik”.

I nie tylko księżę Cumberland. Generał Hawley chwytając sposobność rewanżu za upokorzenie przegranej bitwy pod Falkirk. Jedzie przez wrzosowiska, poganiając swych dragonów do bezlitosnego zadania. Znajduje pułkownika Karola Frasera, ciężko rannego, leżącego na stosie trupów jego klanu.

— Zastrzel tego buntownika, Wolfe! — woła Hawley do swego adiutanta, któremu było przeznaczone zostać zdobywcą Quebec, tego samego, który nadaremnie próbował odwołać swego generała od boku uroczej Lady Kilmarnock.

Jeden przynajmniej Anglik ma choć odrobinę rycerskości.

James Wolfe odpowiada z pogardą:

— Raczej bym zrezygnował z mojej służby, panie generale, niż wykonał ten rozkaz!

Hawley wybucha potokiem przekleństw — i nie poskąpi oczywistego dowodu, że on sam nie dba o takie skrupuły.

Zwycięska armia wkracza do Inverness w ślad za swoim

otyłym, spoconym, ubłoconym wodzem. Dzwonnicy chwytają za sznury równie ochoczo, jak przed paru tygodniami, gdy witano Młodego Pretendenta. Zanim jeszcze przebrzmiały radosne dźwięki dzwonów, rozbiegają się na wsze strony oddziały grenadierów, wysłanych przez Cumberlanda i jego oficerów, by aresztować szlachciców z sąsiedztwa, o których doniesiono, że ponoć zaprzyjaźnili się z Pretendentem, teraz uciekinierem. I nim ciemność zapadnie, na rynku już wznoszą szubienice.

Krajem zawładnęły mord, grabież, nieludzkie gwałty i okrucieństwa...

Wczesnym rankiem następnego dnia po bitwie, we dworze Culloden znaleziono dziewiętnastu ciężko rannych oficerów

208

z wojsk rebelianckich. Wyprowadzono ich i postawiono przed plutonem egzekucyjnym. Kilku na moment przed salwą padło na kolana. Uniknęli kul — tylko po to, by ich zatłuczono na śmierć kolbami muszkietów.

Inną grupę znaleziono w domu niejakiego Williama Rose.

Angielski kapitan zwraca się grzecznie do pani Rose prosząc, by zechciała kazać wyjść rannym, którymi zajmie się chirurg.

„Szkarłatne mundury” wyprowadzają rannych jeńców z głowami poobowiązywanymi krwawymi szmatami, z ramionami na zaimprovizowanych temblakach, czasem z nogami w bandażach, porobionych z koszul. W parę minut później pani Rose słyszy

salwę muszkietową. Zebrawszy w rękę fałdy spódnicy, wypada biegiem w stronę, skąd usłyszała huk. Dwanaście trupów — i oddział „szkarłatnych mundurów” maszerujący ze śpiewem na ustach.

Ten, którego dotąd zwano „Billy Boy”, pił do późna poprzedniej nocy i wstał nierychło. Siada do śniadania. Odgłosy salw plutonów egzekucyjnych dolatują jego uszu. Ale tak jak snu nie zmąciły mu jego własne barbarzyńskie rozkazy, tak i jego niewiarygodnego apetytu nie psują mordy, plamiące jego ręce.

Rzeźnik...

W Invergarry do księcia przychodzi Klementyna Walkinshaw.

— Przysięgam — przypomina mu — Œe nigdy ciebie nie odstąpię, dokądkolwiek opatrność zechce ciebie zaprowadzić...

Książę więcej jej teraz serca okazuje.

— Wzrusza mnie twoja miłość i lojalność. Ale ludzie

Cumberlanda szukają mnie wszędzie. Nie jesteś bezpieczna w moim towarzystwie.

— Wolę twoje towarzystwo od mego bezpieczeństwa —

odpowiada dziewczyna. — Cokolwiek będziesz cierpiał, ja z dumą podzielę twój los!

209

Książę obejmuje ją, całuje namiętnie, a potem odsuwa na długość ramienia.

— MoŜesz mi oddać jedną waŜną usługę. Zaopiekuj się moim

starym gubernierem. Trudy, jakie nas teraz czekają — jeśli tylko trudy — nie są dla człowieka jego lat. Zabierz go ze sobą do Perth. A ty czekaj na mnie w domu twego stryja. Ja tam przyjadę, albo przyślę po ciebie.

Klementyna protestuje. Płacze — nie z powodu nałożonego na nią obowiązku, ale dlatego, że ukochany książę odsyła ją od siebie.

Ale śadne błagania nie poruszają księcia. Nie ośmieli się zmienić decyzji. Gdy niepokieszona Klementyna odjeżdża, towarzyszy jej Sir Thomas Sheridan. Inni, którzy uciekli razem z księciem z wrzosowisk Drummosie Moor, też jadą z nimi. Koniecznie trzeba ograniczyć

do

minimum

liczbę

osób,

towarzyszących

królewskiemu zbiegowi. Nieliczna grupa mniej zwraca na siebie uwagę. Toteż ci, którzy na życzenie księcia opuszczają go teraz, rozdzielają się niezwłocznie i po dwóch, trzech, szukają dalszego schronienia, lub też jak Klementyna i Sir Thomas odjeżdżają do swoich domów.

Na zachód księżę jedzie tylko w towarzystwie Irlandczyków O'Sullivan i O'Neala, z przewodnikiem Nedem Burką. Wyruszają pieszo, po skalistej, wysokogórskiej okolicy, dążąc do wybrzeża.

Może szczęśliwym trafem jakiś francuski statek wyminie czujną
baczność angielskiej floty i dotrze do skrytej przystani — na
ratunek.

Mord, grabież, nieludzkie okrucieństwo...

W ciągu operacji, kontynuowanych przez wiele tygodni po
bitwie pod Culloden, Cumberland i jego ludzie osiągnęli stopień
zezwierżenia rzadko notowany w dziejach barbarzyństwa. Gdy

Lord

Prezydent

Duncan

Forbes

wypomina

księciu

Cumberlandowi, że jego oddziały gwałcą prawa, słyszy:

— Jakie prawa? Ką brygadzie nadawać prawa!

Oddział, powracający późnym wieczorem do Inverness po

210

polowaniu na rebeliantów, dostrzega światło w samotnym domu

nad rzeką. Wchodzą. Znajdują mężczyznę leżącego na łożu, z

głową owiniętą skrwawionym bandażem. Jego młodzieńcza córka z

przerazieniem w oczach czuwa przy ojcu. żołnierze zdzierają

bandaż, odkrywają głęboką ranę, potem siekają szablami bezsilne

ciało górala. A dziewczynkę znajdą sąsiedzi nazajutrz nagą i

martwą obok śmiertelnego łoża jej ojca...

Gdy do Londynu nadeszła wieść o klęsce Karola Edwarda, odbywają się rozpasane demonstracje dzikiej radości. Wielka ulga znajduje najpierw wyraz w niespotykanej dotąd admiracji dla Hanowerczyka na tronie i jego Słońskiego syna — „młody bohater brytyjski”. Parlament gratuluje Jerzemu II i przyznaje mu dodatkowe apanaże w wysokości 25 000 £ rocznie — dokładnie za co, nie wiadomo. Może za to, że powiedział: „Ech! Nie mówcie mi o tych głupstwach!”

Po radości i uldze nadchodzi chęć pomsty na tych wszystkich, którzy takiego strachu napędzili Londyńczykom groźnym pochodem aż do Derby. Nie ma klanów w Londynie, ale są Szkoci i współwyznawcy Karola Edwarda.

Na ulicach obrzuca się kamieniami i wyzwiskami każdego Szkota, niezależnie od jego politycznych i dynastycznych afiliacji.

Tłumy czeladników, dokerów i marynarzy wrzeszczą:

— Śmierć papistom!

Spokojni i lojalni katolicycy obywatele w trwodze o życie, sprzedają swój dobytek i opuszczają Londyn. Ich kaplice splądrowane, rozbite, podpalone.

W Edynburgu też niewiele więcej wstrzeźliwości. Kupcy cieszą się z powrotu pokoju. Ogłasza się dzień uroczystego dziękczynienia. Na ulicach, gdzie przed paru miesiącami kobiety trącały się łokciami z rozpustną oceną męskości górali, teraz sprzedawane są ilustracje, przedstawiające: „Wiktorię zwycięsko

depczą Rebelię, a Sprawiedliwość karcącą ją nagim mieczem".

Sprawiedliwość! Rzeźnik i sprawiedliwość! Tłumy

14«

211

w stolicy Szkocji wyszukują kaŜdego, kto ujawnił się w paŕdzierniku jako papista i jakobita. Gdy arystokracja baluje i ucztuje — i chrzci swych, synów imionami „Cumberland William” — tłumy wieszają na placach kukły, przedstawiające papieŜa i pretendenta.

Cumberland! Cumberland! Tylko w górach nie jest on „młodym brytyjskim bohaterem”. A przecieŜ to nie on sam i nie jego armia zwycięŜyły rebelię. Jeszcze zanim doszło do bitwy pod Culloden, czujna flota angielska zatopiła u wybrzeŜy Szkocji wszelkie szanse sukcesu, jakie mógł mieć Karol Edward. Ani jeden francuski czy włoski statek nie przemknął się, by dostarczyć pieniędzy, dostaw, ochotników. Wiwatujące tłumy zapomniały o rohu, jaką odegrała ta „milcząca słuŜba”. Ale Jerzy II wiele zawdzięcza ludziom morza, którzy przyczynili się do ocalenia jego dynastii.

Sto kilometrów marszu doprowadza prawnuka Sobieskiego pewnego późnego wieczoru prawie dokładnie do miejsca, na którym przed ośmiu miesiącami po raz pierwszy postawił stopę na szkockiej ziemi. Ze swymi trzema towarzyszami dochodzi do Glenbeasdale, tuŜ przy Borrodale, na północnym brzegu Loch nan

Uamh. Nie ośmielili się ryzykować odkrycia, szukając Śywności i noclegów po drodze. PoŚywiali się tylko tym, co zabrali ze sobą z Invergarry. W ciągu ostatnich dwudziestu godzin marszu podtrzymywali się tylko wodą z górskich strumieni, którą pili, leŚąc na płask na ziemi. Ani kęsa Śywności.

— Prędzej czy później — mówi ze znuŚeniem ksiąŜę — będziemy musieli zawierzyć lojalności wieśniaków. Cóż z tego, Śe unikniemy szubienicy, jeśli pomrzemy z głodu?

Ned Burkę ofiaruje się pójść do chaty opodal miejsca ich ukrycia w poszukiwaniu Śywności.

— Nie, nie. Ja pójdę sam — nalega ksiąŜę. — Ci, którzy mnie tak gościnnie witali tutaj, gdyśmy pierwszy raz wylądowali, nie zawiodą i nie wydadzą mnie.

212

Tak więc idzie. Do siwowłosego górala, który uchyla tylko odrobinę drzwi chaty, powiada:

— Mój zacny człowieku... Gzy mnie nie znasz?

To więcej niŚ prawdopodobne. Mało ksiąŜęcego pozostało w wyglądzie Karola Edwarda. OdzieŚ na nim podarta, obuwie poszarpane ostrymi kamieniami, twarz brudna i zarośnięta.

— Wielu przychodzi tu i odchodzi — odpowiada góral. —

Nie pytam o imię, nie chcę pamiętać twarzy. Niepewne to czasy.

Nawet w tych okolicznościach Karol Edward nie potrafi uniknąć zamięłowania do dramatycznych gestów:

— Syn twego króla przychodzi prosić o kawałek chleba!

Bez dalszych słów stary góral otwiera szeroko drzwi. Tylko jedną ma izbę. Książę i O'Sullivan mogą tu spać. On sam z O'Nealem i Nedem Burke pójdą do stodoły. Rzykując Syciem, stary góral Śywi i chroni czterech uciekinierów. Jest pierwszym z wielu, którzy to uczynią z ochotą. KaŜdy prawie człowiek, uciekający od prawa angielskiego moŜe być pewien bezpiecznego schronienia wśród klanów w górach. Do ich tradycji naleŜy opozycja wobec kaŜdego rządu, prócz władzy ich lokalnego wodza. KaŜdy tu ukryje uciekiniera, bo nie wie, kiedy sam moŜe potrzebować ukrycia.

Na głowę księciaznaczono cenę trzydziestu tysięcy funtów szterlingów. Ale tych pieniędzy nie tknie nawet najbiedniejszy z biednych. Rychła pomsta mogłaby go spotkać z rąk sąsiadów, a prócz tego zabobonnie wierzy, Ŝe opatrność pokarałaby tego, który by wziął do ręki pieniądze, splamione królewską krwią. Mord, nieludzkie gwałty i okrucieństwo...

Niejaka pani Robertson, wracając z Inverness do swego podmiejskiego domu, ze zgrozą widzi na miedzy rzucone trupy, obdarte z odzieŜy i okropnie pokaleczone. Przed drzwiami jej własnego domu leŜy szesnastu zabitych rebeliantów. Gdy patrzy, jak jej słuŜba kopie groby, nadchodzi sierŜant i kilku Ŝołnierzy.

— Związać tę buntowniczą sukę! — rozkazuje sierŜant. —

Musi sprzyjać rebelii, inaczej te świnię — tu kopie trupa — nie ukrywaliby się u niej!

śolnierze zabierają kobietę za dom, gdzie leŜą jeszcze dwa trupy, zakryte firanką, zerwaną z okna. Ściągają z nich tę zasłonę i przytykają twarz pani Robertson do zwłok, by wiedziała, jaki los czeka rebeliantów. śolnierze rechoczą, a sierŜant powiada z widoczną dumą:

— Znaleźliśmy ich rannych, jeszcze nie martwych, więc podpaliliśmy im tyłki i upiekliśmy Śywcem...

śoldactwo tylko naśladowuje przykład ich „młodego brytyjskiego bohatera” niemieckiej krwi. Cumberland piętnuje sędziego w Inverness mianem „starej baby, która mi prawi bajki o humanitaryzmie...”

Trzej męŜczyźni z listem od Lorda George'a Murraya docierają do księcia w jego wysokogórskim schronieniu: Lord Ekho ze sługą i dr Donaid Macleod, pochodzący z Hebrydów. Lord George donosi, Őe z diukiem Perth i innymi wodzami zebrał w Ruthven, w pobliŜu Kingussie, jakieś pięć tysięcy Śolnierzy, rozbitków z bitwy pod Culloden i ŐwieŜo zwerbowanych, głównie klany Grant i Cluny, które wymaszerowały. by się przyłączyć do rebelii, ale nie zdąŜyły przed bitwą. W dalszym ciągu pisze:

„Błagamy waszą ksiąŜęcą wysokość, byś zechciał przyjść i stanąć na czele. Teraz, gdy poszczególne oddziały wojsk rządowych są rozesłane daleko po górach na karnych ekspedycjach,

należy zaatakować księcia Cumberlanda i rozbić jego główne siły.

Jeszcze czas, by naprawić fortunę dynastii waszej księżcej
wysokości".

Księżę czyta i potrzasa głową.

— Czas. Może i będzie. Ale nie teraz.

Nareszcie pojął lekcję. Jakim szczęściem by to było dla tych
tysięcy, zaprawdę, dla całej Szkocji, gdyby tę lekcję pojął o osiem
miesięcy wcześniej, tu właśnie, nad brzegami Loch nan

214

Uamh — lekcję, której chcieli go nauczyć Boisdale, Clanra-nald,
arcybiskup Hugh Macdonald, Lochiel „Łagodny”. Lepiej późno,
niŜ wcale. Teraz musi tej samej lekcji nauczyć swoich nauczycieli.

Lord Elcho jest zrozpaczony, zirytowany.

— Nie pojedzie więc wasza księżca wysokość z nami?

— Zamierzam wrócić do Francji — odpowiada księż.

Elcho protestuje i przytacza argumenty podobne do tych, jakie
przed bitwą pod Culloden powtarzała Klementyna.

— To niegodne imienia Stuarta! Ci, którzy poświęcili
wszystko dla tego imienia, teraz potrzebują obecności waszej
księżcej mości, potrzebują wodza, wokół którego mogliby się
znowu zgromadzić. Inaczej wpadną w ręce okrutnego, nie zna-
jącego litości nieprzyjaciela.

Karol Edward był niegdyś uparty w głupocie. Teraz jest
równie uparty w powziętej decyzji, aby nie być więcej powodem

dalszego, bezcelowego przelewu krwi. Ma rację. Hanowerczyk zbyt mocno siedzi w siodle, nawet w Szkocji. Wznowienie walki do niczego nie doprowadzi. I nie odwiedzie Rzeźnika od jego niehumanitarnej zemsty. Młody Pretendent pominął nawet sposobność, którą miał pod Culloden, bohaterskiej śmierci za swoją sprawę.

— Niechaj każdy myśli o własnym bezpieczeństwie — mówi i odwraca się smutny, zawstydzony, ale nieugięty w swym postanowieniu.

Dr Macleod zostaje z księciem. Lord Elcho ze służą odjeżdżają.

Lord George Murray ucieknie do Francji, dotrze do Rzymu, gdzie go serdecznie przyjmie i wyznaczy mu pensję Stary Pretendent. Diuk Perth umrze podczas przeprawy przez Kanał La Manche i zostanie pochowany w morzu.

Z innych, którzy należeli do najbliższego otoczenia księcia, Eneas Macdonald zostanie uwięziony, ucieknie, ale znowu schwytany i przykuty do podłogi w celi, wykupi się w końcu na wolność. Murray z Broughton ocali własną skórę — jako

215

donosiciel — informując o innych, a jego informacje posłużą na szafot wielu lepszych od niego. Lord Elcho opłaci swą wolność wielką sumą i napisze słynny pamiętnik o rebelii. Niektórzy z wodzów klanowych udadzą się na wygnanie do Francji i Włoch. Wielu, między innymi Clanranald, ukryją się w górach, w

jaskiniach, lasach i kotlinach, albo na wyspach Hebrydzkich i pozostaną w ukryciu czasem przez dziewięć lub dziesięć lat. Lojalni członkowie klanów, których wodzowie przebywają w ukryciu, płacą przez cały ten czas podwójne podatki za swoje gospodarki — raz rządowi, który skonfiskował ziemie przywódców buntu, drugi raz przebywającym w ukryciu prawdziwym właścicielom.

Lady Anna Mackintosh, która posłała klan Chattanów do walki po stronie Pretendenta, nie opuściła swego domu. Tam teŜ przebywa pułkownik Thomas Cockayne z dwustu Őólnierzami. ChociaŜ mąż Lady Anny walczył po stronie królewskiej, Őólnierze zabierają Mackintoshom wszystkie konie, owce i bydło dla wojsk, stojących w Inverness. SierŜant łomocze w drzwi domu, wzywając: „tę przekłętą rebeliantkę, Lady Mackintosh”. Ona przychodzi: jest młoda, piękna, pełna spokojnej godności. „Szkarłatne mundury” uganiają po całym jej domu, rozbijają, czego nie mogą zabrać, tną bagnetami i szablami na paski wszystkie jej suknie w szafach. Jej kapelan wyjmuje z kieszeni zegarek: Őólnierze wydzierają mu go. Lady Mackintosh ofiarowuje 50 gwinei, by go wykupić. Őólnierze zabierają pieniądze — i zegarek takŜe.

Następnego
dnia

„szkarłatne

mundury”,

obladowane łupem, eskortują Lady Annę — w niebieskim berecie

i podróżnym stroju z klanowego tartanu — do Inverness.

Pułkownik Cockayne — który wczoraj wcale nie próbował

zapobiec grabieży — teraz stara się być rycerskim, wychwala

odwagę Chattanów w bitwie pod Culloden. Ale ani słowa

odpowiedzi nie może wyciągnąć z zamkniętych ust Lady

Mackintosh. Po jakimś czasie przesłuchuje ją Cumberland, ale

także nie uda mu się wydobyć z niej ani słowa. Jest uwięziona w

zwykłej izbie gwardzistów.

216

Tego wieczoru, podczas obiadu z oficerami pułkownik Cockayne,

na którym odwaga i godność uwięzionej wywarły wrażenie,

odzywa się:

— To dzielna kobieta i zasługuje na respekt.

W odpowiedzi generał Hawley przechyla się przez stół do

Cockayne'a i krzyczy:

— Niech ją diabli wezmą! Już ja ją uhonoruję — każe

dla niej zbudować specjalną szubienicę z mahoni i powiesić

ją na jedwabnym sznurku!

Jeszcze jednym z magnatów, skazanych na śmierć, jest Lord

Lovat. On to właśnie, chcąc ocalić własną skórę i majątek,

deklarował lojalność wobec Jerzego II, a jednocześnie posłał

swego syna Simona wraz z częścią klanu Fraserów do dyspozycji księcia. W obliczu śmierci Lord Lovat nie ulęknie się ani nie upokorzy. Gdy mu powiadają, że jeżeli dopełni jakiegoś aktu poddania, jego zwłoki nie zostaną wystawione na publiczny widok wraz z trupami innych przywódców rebelii przed edynburskim zamkiem, odpowiada z pogardą:

— Skoro król zabiera mi moją głowę, nie dbam, co zrobi z moją...

Dr Donald Macleod, chociaż blisko siedemdziesięcioletni jest teraz dla księcia uosobnieniem nadziei.

— Słyszałem — mówi do starego Szkota — że jesteś wybornym żeglarzem i pilotem, że znasz każdy zakątek tych wybrzeży. Czy więc znajdziesz dla mnie łódź i przewieziesz mnie na wyspy, gdzie będę bezpieczniejszy, niż tutaj?

— Wasza księżęca mość dysponujesz moją osobą — odpowiada siwowłosy Macleod. — Z ochotą zaryzykuję życiem, by zapewnić bezpieczeństwo waszej księżęcej wysokości.

Ryzyko rzeczywiście niebłahe. Zbiegów mogą przychwycić angielskie okręty. A nim znajdzie łódź i zaufanych wioślarzy, zbiera się na burzę.

— Lepiej odłóżmy tę wyprawę, wasza księżęca mość —

217'

ostrzega Macleod. — Burze na tych wodach bywają groźne, a wasza księżęca wysokość nie przywykła do łodzi.

— W najgorszej burzy istnieje szansa przeŹycia — odpowiada

ksiąŜę. — A jeśli Cumberland nas tu przyłapie, nie ma

my Źadnej szansy.

Macleod nie zwleka dłuŜej. On sam czuje się juŜ tak stary, Źe

nie dba, czy tę reszkę Źycia jeszcze skróci. Jest nieustraszony — i

będzie cierpiał za tę odwagę.

O'Sullivan zachorował na febrę i zdaniem doktora nie mogą go

zabrać w takim stanie. W rękę starego górala, który ukrywał

uciekinierów, wciŹnięto parę gwinei. KsiąŜę, Macleod, O'Neal i

Ned Burke wsiadają do łodzi. Płyną po zatoce Erisaig w kierunku

wyspy Skye, za którą leŜą wyspy Hebrydzkie: Południowa Uist,

Benbecula i Północna Uist. GroŜąca burza wybucha. Macleod

powie, Źe to była najstraszniejsza burza, jakiej zaznał.

— Miałaś rację, ostrzegając mnie — przyznaje Karol

Edward. — Chyba lepiej zawróćmy do brzegu.

Ale zawrócić, to niebezpieczniejsze, niŜ płynąć dalej — i nie

tylko z powodu łowców ludzi w szkarłatnych mundurach.

Macleod odpowiada:

— Lepiej będzie, wasza ksiąŜęca wysokość, utonąć w czy

stej wodzie, jeśli juŜ musimy utonąć, niŜ rozbić się na kawa

łeczki o skały, a utonąć potem!

Tak więc burza szaleje, deszcz zacina, wichura wyje, łodzią

rzuca ze szczytów olbrzymich fal w głębokie przepaŹcie, a wio-

Źlarze pracują uparcie. Wydaje się, Źe chyba cudem jakimś dotarli

do celu swej podróży, o której nieznanemu poetą będzie mówił w
nieśmiertelnej piosence:

Płyń łódka chyśa jak skrzydlaty ptak,

Morzem głębokim do Skye,

Nieś chłopca, który miał królować nam...

Morzem głębokim do Skye...

Rozdział XVII

„NAKAZY HUMANITARYZMU" I NIELUDZKOŚĆ

Przez parę tygodni księżę zmienia kryjówki, krążąc między wy-
spami South Uist i Benbecula. żyje w najprymitywniejszych
warunkach, za dom służy mu na wpół zawalone szałas, za łóżko
w najlepszym razie stary śagiel, rozpostarty na wiązce słomy,
jedynym i częstym pożywieniem — czarny chleb, wędzona ryba i
z rzadka luksus: baranina upieczona nad ogniskiem z torfu.

Jako ścigany zbieg, ten prawnuk Jana Sobieskiego ukazuje się
od najlepszej strony. Teraz ujawniają się dobre cechy jego
charakteru. W nieustannym niebezpieczeństwie wydaje się war-
tościowszym człowiekiem, niż kiedykolwiek przedtem — i po-
tem. Nie opuszcza go dobry humor, śartuje z trudów i niewygód.
Prócz rzadkich wybuchów zniecierpliwienia, dość zrozumiałych,
jest pogodny, opanowany. Bez skargi przyjmuje upokorzenia
swego przebrania. Dbą o towarzyszy, nie brak mu odwagi. Wart
jest tych lojalnych mężczyzn i kobiet, którzy dla niego ryzykowali
wszystko. Taki właśnie Karol Edward będzie w pełni zasłużenie

Syć w ich pamięci, w ich legendach, w ich balladach.

Na wyspach Hebrydzkich angielskie prawo niewiele znaczy.

śaden z królów dynastii Stuartów, a cóŜ dopiero mówić o

Hanowerczykach, nie potrafił narzucić swej władzy hardym,

niepodległym mieszkańcom, z których wielu ma w Ŝyłach wię-

219

cej krwi norweskiej niŜ szkockiej — rybakom, pasterzom, tka-

czom wyrabiającym słynne tartany i tweedy. Od IX do XIII wieku,

wyspy te zamieszkiwali Norwegowie, a naleŜały one do

Skandynawii. Późniejsi niezaleŜni władcy wysp toczyli ciągle

wojny z lądem stałym. Wszelkie wysiłki narzucenia władzy po-

litycznej czy to przez Szkocję czy teŜ Anglię rozbijały się o skały i

fiordy, gleny i kotliny, i o góralski dumny upór. Nadal teŜ w

okresie, gdy Karol Edward ukrywa się na South Uist i na

Benbeculi — z Donaldem Macleodem, Felixem O'Nealem i Ne-

dem Burkę — Macdonaldowie, panowie wysp, opierają się

wszelkiej interwencji z zewnątrz.

Ale i tak królewski banita nie na długo jest tu bezpieczny.

Formalnie angielskie prawo nie działa na wyspach, ale brygady

Ŝołdaków Cumberlanda narzucają swoje bezprawie. Wkrótce

Ŝadni krwi łowcy ludzi przeprawiają się przez morze na wyspy.

Dla Karola Edwarda zaczyna się okres wędrówek z jednej wyspy

na drugą, to znowu na ląd stały, a później jeszcze raz na wyspy.

Ani chwili spokoju, ani chwili bezpieczeństwa. Gdy nadchodzi

wieść o przybyciu Śołnierzy na South Uist, trzeba koniecznie uciekać z Benbeculi.

Szukając godnego zaufania wioślarza, O'Neal spotyka pewnego dnia wysoką, ciemnowłosą i ciemnoką kobietę, dobrze, nawet wytwornie ubraną, niewątpliwie naleśającą do sfer szlacheckich. Wdaje się w rozmowę.

— Pan nie tutejszy — stwierdza dziewczyna.

— Przyjechałem niedawno ze stałego lądu.

Ona patrzy na niego z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Mośe z Drummossie Moor?

O'Neal waha się:

— A co to ma za znaczenie na tych odległych wyspach?

— Skała i wrzos nie mają uczuć — odpowiada dziewczyna — ale mężczyźni i kobiety, a mośe zwłaszcza kobiety — mają...

Szkoda, śe wcześniej nie byłam z waszym księciem.

O'Neal jeszcze trochę pyta, bada, wreszcie dochodzi do

220

przekonania, śe dziewczyna interesuje się rebelią z przyjaźni dla sprawy Stuartów.

— Gzy nie chciałabyś, pani, teraz spotkać swego księcia i mośe dopomóc mu?

— Ach! Tego się spodziewałam. On jest tutaj! Ze szczerego serca mu pomogę. Ale to niełatwo. Mój ojczym, Hugh Macdonald — bo obaj męśowie mojej matki pochodzili z tego samego klanu

— jest kapitanem w armii Gumberlanda. I jest teraz na wyspach, szuka... I jeszcze druga sprawa. Złośliwy to i zawistny świat, i chwyta chciwie byle pozoru, który mógłby kobietę jej czci niewieściej pozbawić...

— Co do tej pierwszej trudności — przerywa O'Neal — to wszędzie roją się oficerowie i żołnierze w poszukiwaniu księcia. Gdyby to miało być przeszkodą w dopomożeniu mu, toby mu nikt nie pomógł — i byłby zgubiony. A co do czci niewieściej — proszę być bez obaw. Pomagając swemu księciu, zyskuje się część nieśmiertelną. Ale gdybyś pani nadal żywiła takie obawy, to klnę się na Boga, że gotów jestem poślubić cię i to natychmiast, jeśli zechcesz.

Dziewczyna się śmieje.

— Cóż za desperacki sposób, i to po tak krótkiej znajomości! Jednakże przekonałeś mnie, mój panie. Zobaczę, co da się zrobić. Muszę mieć jednak trochę czasu, żeby obmyślić dobry plan. Wyznacza spotkanie: przyjdzie o północy za dwa dni.

— A twoje miano, pani?

— Flora Macdonald.

Historyczne fakty potwierdzają legendarną tradycję.

Kapitan Hugh Macdonald nie pyta o nic, gdy jego pasierbica prosi o przepustkę dla siebie samej, dla irlandzkiej szwaczki i słuchającego, by wybrać się na wyspę Skye.

Umówionego wieczoru, pod koniec czerwca 1746 r., książę i

O'Neal wyprawiają się do szałasu, wyznaczonego przez Floreę Macdonald w małej wiosce, zwanej Rossinish. Macleod i Ned zostają w dawnym schronieniu na wyspie Benbecula.

221

Podczas trudnego marszu po głazach i usypiskach skalnych ksiąŜę niejeden raz potyka się, pada, wstaje z trudem. Wreszcie nie może iść dalej, a O'Neal podejmuje ryzyko zwrócenia się z prośbą o trochę Őywności i domowego piwa w szałasie pasterskim.

Pokrzepiwszy się, Karol Edward jest w stanie ruszyć w dalszą drogę. Niebawem O'Neal proponuje:

— Za pozwoleniem waszej ksiąŜęcej wysokości, ja pójdę naprzód i upewnię się, czy wszystko jest w porządku.

Karol Edward rzuca się na wilgotne wrzosowisko i zasypia.

O'Neal podchodzi do szałasu z przezornością myśliwego, tak stawiając kaŜdy krok, aby trzask gałązki ani obsunięcie się kamienia nie zdradziły jego obecności. Przezorność bardzo na miejscu. Opodal szałasu rozłoŜyło się obozem kilkunastu Őolnierzy Gumberlanda, którzy wylądowali na Benbeculi w ciągu dnia. Czy to przypadek sprowadził ich tak blisko upatrzonej ofiary? Czy zdrada? Őaden szczerzy góral nie sprzeda swego księcia. Ale ponoć wśród klanów krąŜą angielscy szpiedzy.

Obudzony i ostrzeŜony o niebezpieczeństwie, Karol Edward daje upust jednemu ze swych rzadkich napadów zniechęcenia.

— Nigdy nie uda mi się stąd wydostać! Pogoń napiera na

mnie ze wszystkich stron!

Tak by się zdawało. Ale O'Neal mówi rzeczowo:

— Jeszcze nas nie nakryli, mości ksiąŜe! Dopóki jesteśmy wolni, dopóty jest nadzieja!

Uchodzą ostroŜnie coraz wyŜej, wykorzystując kaŜdą nierówność gruntu, kryją się aŜ do świtu. Pada ciepły deszcz, chmary komarów złośliwie kąsają im twarze i ręce.

O świcie O'Neal, śledząc Őołnierzy zza skały, szepcze:

— Szykują się do odejścia.

— Czy jesteś pewien, Őe tej młodej kobiety nie ma wśród nich? Mogli ją porwać, albo teŜ ona zdradziła...

— Nie, nie ma jej na pewno. I głowę w zakład stawię, Őe ona uczciwa!

Gdy Őołnierze odeszli, dwaj uciekinierzy wchodzą do szałas, wyznaczonego na spotkanie. O'Neal wyjmuje z plecaka ba-

222

ranie wnętrzości, które dostał od górala, i rusza na poszukiwanie Flory Macdonald. Gdy wraca razem z dziewczyną, młoda Szkotka zastaje dziwną postać: męŜczyznę brudnego, roztarganego, o zaczerwienionych oczach, kaszlącego od dymu torfowego ogniska, nad którym, na zaimprovizowanym drewnianym roŜnie próbuje upiec baranie podroby. O'Neal dokonuje prezentacji z dobrotliwą ironią:

— Madame, twój ksiąŜe!

Zajęcie, choćby uciążliwe i perspektywa posiłku przywróciły księciu dobry humor. Czyni gest jedną ręką, bo drugą ma zajęta przy roŚnie.

— Proszę mi wybaczyć takie maniery, madame. Ale śniadanie to sprawa wielkiej wagi! — Uśmiecha się i kiwa głową. — I proszę tylko zwaŚyć, jak szczęśliwa jest pani, madame, Śe nie potrzebuje wkładać swej wdzięcznej białej rączki w moją ubrudzoną dłoń! ZwaŚ pani równieŚ, Śe nie co dzień, nawet w takich krajach jak Italia, gdzie ksiąŚat jest tylu, Śe po dwa grosze kupować ich moŚna, spotyka pani królewskiego syna o takim wyglądzie i zajęciu!

— Wasza ksiąŚęca wysokość jest w dobrym humorze — odpowiada Flora. — To waŚniejsze dla naszego przedsięwzięcia od ceremonii.

— Chodź, O'Neal, twoja kolej kręcić roŚen! — mówi ksiąŚę.

— Proszę mi wybaczyć, madame, muszę jakoś umyć ręce.

Idzie w stronę wyjścia — drzwi w szalasi nie ma. Ale Flora go zatrzymuje.

— Lepiej nie pokazywać się w świetle dnia, wasza ksiąŚęca mość!

— Słusznie, ostroŚność nie zawadzi. Ale proszę mi opowiedzieć o sobie, madame. Nie brak pani odwagi ani uczciwości, skoro tak się naraŚasz na niebezpieczeństwa dla mnie!

— Proszę nie sądzić, Śe umiłowanie romantycznej przygody

jest wyłącznym przywilejem waszej ksiąŜcej mości! Ale nie traćmy czasu. Mam dla waszej ksiąŜcej mości plan wyjazdu przez wyspę Skye...

223

— Z powrotem przez morze? — śmieje się ksiąŜ. — Jeśli nas nie chwycą, to utoniemy. Zznałem juŜ rozkoszy przeprawy po tych wąskich morzach w burzę małą łodzią. Ale jeśli trzeba!

— Benbecula jest za mała, wasza ksiąŜca wysokość! Mniej niŜ sto mil kwadratowych — wyjaśnia Flora. — Jeśli Őłnierze zabiorą się do systematycznego poszukiwania...

— Proszę, zechciej nie zwracać uwagi na moje wątpliwości

— przerywa jej ksiąŜ. — Oddaję się bez zastrzeŜeń w twoje ręce, madame!

Istotnie, nie ma innego wyboru.

Tymczasem ataki Cumberlanda na klany jeszcze się nasilają.

Cumberland dobrze rozumie, Őe tego wojowniczego narodu nie moŜna zgnieść jedną klęską. Zbierają się znowu, ostrzają broń, czekają sposobnej pory. Ale jest pewien rodzaj represji, którego się boją najbardziej, bo najboleśniej uderza w ich kobiety i dzieci:

głód. Jeden z pomocników Rzeznika, pułkownik Karol

Whitefoord, pisze do swojej Őony:

„Oczyściliśmy juŜ nie najgorzej okolicę... domy zrabowane i popalone, bydło szlachtowane na miejscu lub wypędzane, pługi i inne narzędzia zniszczone...”

Bezdomne, głodne sieroty i wdowy stoją grupkami na krańcu pola i patrzą strasznymi oczyma na szlachtowanie ich własnego bydła i owiec. Czasem błagają o pozwolenie zabrania wnętrzności, zlizywania krwi. Zwykle odpędzają ich halabardami. Kobiety z niemowlętami, ssącymi ich wyschnięte piersi, ofiarowują czasem za odrobinę pożywienia jakiś ukryty skarb, broszkę, klamrę, pled ocalony przed łupieżcami.

Wzdłuż dolin żołnierze dzień za dniem pędzą setki ryczącego bydła, które niebawem liczą w tysiące w wielkich ogrodzeniach. A ze szkockich nizin i z północnych hrabstw Anglii ciągną konno, kolaskami, tłumnie handlarze bydła z wypchanymi sakiewkami. Książę Cumberland może sobie pozwolić na sprzedawanie tanio tego, co wziął za darmo. Otrzymane sumy są roz-

224

dzielane — proporcjonalnie do zasług w kradzieży i rabunku bydła — między „szkarłatne mundury”, by zachęcić do entuzjazmu w polowaniu na ludzi. Cały gospodarczy ustrój gór szkockich jest świadomie i bezwzględnie niszczone.

Grupka, która wyrusza z małej przystani na wschodnim wybrzeżu wyspy Benbecula, składa się z Flory Macdonald, służącego, nazwiskiem Mc Kechan, oraz Betty Burke, opisanej na przepustce jako szwaczka. Ta ostatnia jest przystrojona w kwiecistą lnianą suknię, jasną, pikowaną spódniczkę, mantylkę z kapturkiem i parę cięskich męskich butów! Wioślarze kierują łódź

na północny-wschód. By trudne godziny szybciej upływały, Betty Burkę opowiada swej pani romantyczne opowieści o różnych przygodach. Mimo jednak talent narracyjny Betty Burkę nie dorównuje talentom barda z wysokich gór, gdy Flora Macdonald zasypia w czasie opowiadania!

Ale jej odpoczynek trwa krótko. Z półwyspu Vatarnish, po zachodniej stronie wyspy Skye, rozlegają się strzały. Flora budzi się z przestraszeniem, Betty Burkę wskazuje jej grupę żołnierzy na brzegu, a Mc Kechan angielskie okręty na horyzoncie. Wioślarze podwajają wysiłki i w rekordowym czasie przepływają tych parę kilometrów. Cała kompania dociera o zmierzchu do zatoki Monkstadt, nieco na północ od miasteczka Uig.

Tu zamieszkuje Sir Aleksander Macdonald, krewny Flory, ale stronnik Cumberlanda. Dziwny ten fakt, że nawet wewnątrz takich klanów, jak Macdonaldowie, jedni z naczelników opowiadają się po tej stronie, inni znowu po tamtej, ułatwia kampanię, zmierzającą do zniszczenia Sycia plemiennego. Wobec takich podziałów lojalności dawne więzy słabną, rwą się, przyjaźnie zmieniają się we wrogość, rody rozpadają się. Nawet mąż i żona bywają niezgodnych poglądów: i tak się dzieje w małżeństwie Sir Aleksandra i Lady Margaret.

Flora udaje się do kuzynki, opowiada o swym przedsięwzięciu.

— Z samej litości nad jego losem, jeśli nie dla Śadnego innego powodu, pomogę mu — powiada siwowłosa Lady Margaret. — Rzekłszy prawdę, sprawi mi to satysfakcję. Nie kocham bynajmniej tych Niemczurów na tronie. Ale musimy zachować daleko idącą ostroŜność — dodaje spokojnie — bo u nas w domu przebywa „oddział szkarłatnych mundurów” z oficerem.

— Na duszę Marii Stuart! — wykrzykuje Flora. — Z deszczu pod rynnę! Muszę natychmiast... Betty zabrać stąd!

Lady Margaret nie traci spokoju, ufa swoim zdolnościom wystrychnięcia Śołnierzy na dudków.

— Gzy twoi przyjaciele są w dobrym ukryciu? — pyta.

Flora objaśnia, gdzie zostawiła Betty Burke i Mc Kechana.

— Syn mój, Macdonald z Kingsburgh, jest tutaj teraz — mówi Lady Margaret. — Zaniesie Śywność twoim przyjaciołom.

A jutro zaprowadzi was wszystkich do swego własnego domu, gdzie jak dotąd nie ma jeszcze tych opryszków w szkarłatnych mundurach.

Kingsburgh odnajduje kryjówkę. Gdy podchodzi, z wrzosiwiska powstaje wysoka, muskularna postać w damskich sukniach, zaczepiając obcasem o obręb spódnicy. Kingsburgh kryje uśmiech na widok tej niezdarności. A tuŚ nad jego głowę unosi się groźnie w górę sękata maczuga.

— Jestem Macdonald z Kingsburgh, stawiam się do usług waszej wysokości — mówi Szkot.

Betty Burkę opuszcza maczugę i mówi po prostu:

— To dobrze, bo jeść mi się chce...

Karol Edward, czyli Betty Burkę i młody „laird” spożywają zimny posiłek pod gołym niebem, obsługiwani przez Mc Kechana.

A tymczasem Flora zaszczyca przyjęcie u swych krewnych, siedząc naprzeciw oficera, którego obowiązkiem jest wymierzyć najsurowszą karę każdemu, kto by dopomagał księciu. Obie kobiety z satysfakcją nasłuchują dźwięków z lekka ochrypłych głosów, wyśpiewujących żołnierskie piosenki, a dolatujących ze stajni, dokąd Lady Margaret posłała hojnie trunków.

226

Z nieco złośliwą słodyczą Flora wyciąga z oficera wyznanie gniewu, do którego go doprowadza jego własne dotychczasowe niepowodzenie w pełnieniu powierzonej mu misji.

— I nie ma pan dalszych informacji o swojej ofierze, panie kapitanie?

— Podobno był na Benbeculi, ale odpłynął stamtąd w niewiadomym kierunku, razem z jakąś młodą kobietą. Skoro ją schwytam, spódnica nie ocali jej od szubienicy!

Flora opiera się nagłej pokusie dotknięcia swej białej szyi, gdzie w wyobraźni poczuła dotknięcie konopnego sznura.

Kapitan Felix O'Neal, dr Donald Macleod i góral przewodnik zostali na Benbeculi. O'Neal z przewodnikiem przedostają się na wyspę North Uist. Tym razem unikają niebezpieczeństwa.

Macleodowi nie udało się tak szczęśliwie. Zdradza go niezamierzona nieostrośność wioślarza. Starając się przedostać do swego domu na South Uist, wpada w ręce Sołnierzy, którzy wysyłają go do Fortu Augusta, teraz z powrotem w rękach Anglików, gdzie wypytuje go generał Campbell:

— Czy wiedział pan, jaką cenę wyznaczono za głowę tego młodego człowieka?

— Cóż z tego? Nigdy bym nie cieszył się takimi pieniędzmi.

Choćby cała Anglia i Szkocja go szukała, nie pozwoliłbym, by mu choć włos z głowy spadł. Oddał się pod moją opiekę.

Macleod spędzi wiele miesięcy w lochu, skuty łańcuchami, a gdy go wreszcie wypuszczą na wolność, jest złamany na ciele, ale nie na duchu:

— Gdyby mi ofiarowano góry złota i srebra, nie sprawiło by to memu sercu takiej satysfakcji, jaką zaznałem z tego, co zrobiłem.

Z tak oddanymi stronnikami, których napotyka niemało, Karol Edward nie jest pozbawiony szans.

227

Mord, grabieś, nieludzkie okrucieństwo...

Cumberland nakazuje złupić i spalić dom w Invergarry, gdzie

Karol Edward zasnął po raz pierwszy po bitwie pod Culloden.

Nakazuje zniszczyć każde mieszkanie, dom, chatę, szałas,

pomieszczenie dla ludzi lub zwierząt w promieniu 75 km. Bydło

zostaje wypędzone. MęŜczyzn, młodych i starych, których zdołano schwytać, zabija się w obecności ich kobiet, a te gwałci się po wielekroć, a później nagie wypędza z małymi dziećmi, by umierały z głodu na jałowych górach.

Te ze zgwałconych kobiet, których męŜowie jeszcze Ŝyjają, zaprzysięgają nie lec z nimi przez dziewięć miesięcy po tej męczarni. A męŜowie i Ŝony zawierają pakty, Ŝe zabiją kaŜdego angielskiego bękartą, który wyjdzie z ich łona.

Na zachód od Fortu Williama oddział Ŝołnierzy, szukający Lochiela „Łagodnego”, który miał się znajdować w sąsiedztwie, dostrzega, jak im się zdaje, łódź przy wybrzeŜu. Po bliŜszym zbadaniu okazuje się, Ŝe domniemana łódź jest zwyczajnie czarną skałą. Ale w pobliŜu wędruje stary człowiek, przeszło sześćdziesięcioletni, który prosi Ŝołnierzy o kawałek chleba. Ŝołnierze, aby mieć coś do napisania w sprawozdaniu, strzelają do niego i zabijają go. Na drodze powrotnej do Fortu spotykają staruszkę, ślepą na jedno oko. Gdy nie chce, czy nie może, zdradzić im kryjówki Lochiela, zabijają i ją takŜe. „Ale co z nią wyrabiali, zanim ją zabili — relacjonuje miejscowy pastor prezbiteriański — nie mogę powtórzyć, gdyż sã to rzeczy zbyt wstrząsające dla natury ludzkiej”.

A to wcale nie odosobnione incydenty.

W górskim hrabstwie Ross, łowcy ludzi znajdują grupkę starców, kobiet i dzieci, bezdomnych, błąkających się po roz-

paczliwych pustkowiach gór. Trzej ze starych męŜczyzn mają myśliwskie strzelby. Őółnierze wszczynają pościg za nimi. Gała grupa kryje się w jaskini wśród skał. Wzywani, by wyjść, odmawiają, a męŜczyźni ze strzelbami bronią wąskiego wylotu

228

jaskini. Angielski oficer nakazuje nagromadzić suchy wrzos i chrust przed wylotem, podpalić i wpychać do środka, a tych, którzy teraz próbują uciec — zabijać. Reszta — starcy, kobiety i dzieci — zostają uduszeni w dymie.

MoŜna oskarŜać Karola Edwarda o szaleństwo i głupi upór.

Ale o co oskarŜyc Cumberlanda, jego oficerów i Őółnierzy...?

Rankiem następnego dnia po przybyciu Betty Burkę i jej pani do Monkstadt, zbiegowie wyruszają znowu, prowadzeni przez syna Lady Margaret, w marsz przez wrzosowiska do dworu Kingsburgh. Niebawem przeprawiają się przez strumyk, gdzie szwaczka, pozbawiona widać zwykłej kobiecej wstydlivości, unosi spódnice w górę tak wysoko, Őe Flora ostrzega:

— Buty waszej wysokości nas zdradzają!

Przy następnej przeprawie Betty, pamiętając o ostrzeŜeniu, tak mało unosi spódnicy, Őe całą moczy w płytkiej wodzie strumyka.

Na to sługa, Mc Kechan, nie moŜe się juŜ powstrzymać:

— Powiadają mi, Őe jesteś pretendentem. Chyba jesteś najgorszym w tej profesji, jakich sobie mogę wyobrazić!

Książę uśmiecha się posępnie na tę złoŐliwość o podwójnym

ostrzu. Te incydenty dowodzą, że rację miał Kingsburgh, gdy na poprzednią propozycję Flory, by dla większego bezpieczeństwa maszerować nocą, zaprotestował mówiąc, że Betty zapewne będzie się potykać i przewracać na skałach.

sony Kingsburgha nie uprzedzono o fikcyjności szwaczki.

Przyjmuje ją gościnnym pocałunkiem w policzek. Po czym pośpiesznie wciąga swego męża do alkowy:

— Ta wysoka szwaczka jest mężczyzną w przebraniu!

Obrasta szczecina na twarzy, jak chłop od dwóch dni nie golony!

Cóż to za psikusy mi tu urządzacie?

— Moja droga, to nie kto inny, jak sam książę.

— Boże, miej litość nad nami! Książę! Jesteśmy zgubieni!

Powiesz nas!

— Nie przejmuj się tak bardzo — łagodzi Kingsburgh, kła-

229

dać rękę na jej ramieniu. — Raz się tylko umiera, a jeśli nas powiesz, to za dobrą sprawę!

Po kolacji gospodarz zabiera księcia do komnatki, zwanej myśliwską, i tam szykuje gorący poncz. Kiedy już obaj są podpici, gość upuszcza wazę, która z trzaskiem i brzękiem rozbija się na drobne kawałki. Niebawem obaj, gospodarz i gość, chrapią w swoich fotelach. Służba zanoszą ich do łóżek, gdzie śpią do późnego ranka.

Ludzie Cumberlanda są wszechobecni. Wyspa Skye okazuje

się nie o wiele bezpieczniejsza od Benbeculi. Postanowiono więc, że księżka musi się udać na Raasay, wąską wysepkę między Skye a lądem. Syn starego lairda Raasay wyjechał do Portree. Ale jeszcze zanim Flora, Betty Burke i wygadany sługa Mc Kechan, wybiorą się znowu w dalszą drogę, Kingsburgh przynosi Betty nową parę obuwia, a zabierając starą, powiada:

— Będę je wiernie przechowywał, dopóki wasza wysokość nie zamieszka bezpiecznie w Pałacu St. James. Wówczas przyjdę na audiencję i potrząsnę nimi, oto tak, by przypomnieć naszą noc nad wazą ponczu i gościnę pod moim dachem.

Betty Burke odpowiada:

— Dotrzymaj słowa. Będę rad ciebie zobaczyć, i te moje stare buty też!

Byłby również rad zobaczyć Pałac St. James.

Lady Kingsburgh nie daje się prześcignąć w gromadzeniu pamiątek. Każe zebrać prześcieradła, na których spał jej gość, zabrania je prać i poleca, aby po jej śmierci owinać ją nimi, jak całunem. Tak się też stanie.

Wkrótce po opuszczeniu dworu Kingsburgh, Betty Burke zdejmuje mantylkę, suknię i pikowaną spódnicę; Karol Edward przywdziewa krótki kaftan z tartanu, kilt i kamizelkę, pled, perukę i beret.

W Portree, cichym porcie nadmorskim, położonym jakby w oazie zieleni u stóp skalistych, nagich gór, młody Raasay i

Culloden, najmują łódź. Karol Edward przygotowuje się do przeprawy pod osłoną nocy na wyspę Raasay. Jest w dobrych rękach. Nie ma potrzeby, by dzielna, nieustraszona Flora nadal ryzykowała swoim Syciem. Książę ofiarowuje jej małą pamiątkę, którą udało mu się do tej pory zachować przy sobie: własną miniaturę.

— Pomimo wszystkiego — mówi jej na pożegnanie — ufam, że pewnego dnia będę mógł powitać panią w Pałacu St. James i publicznie uznać mój dług wobec pani!

— Aby ten dzień tym pewniej nadszedł — odpowiada Flora

— błagam waszą wysokość, by jak najczęściej zmieniać towarzyszy, dopóki nie będzie zupełnie bezpiecznie!

— Ale ja ufam bez zastrzeżeń...

— I słusznie, wasza wysokość. Nikt tu nie zdradzi. Ale nie jest bezpiecznie, aby sylwetki tej małej grupy stały się zbyt dobrze znane. Niechaj postacie towarzyszących waszej wysokości będą ciągle inne. Tak jest bezpieczniej dla waszej wysokości — i dla nich.

Rozsądna rada.

Flora podnosi wysoko lichtarz ze świecą, gdy książę schodzi po schodach. Drzwi zamykają się cicho. Lekkie kroki oddalają się po bruku ulicy.

Karol Edward nigdy nie powita Flory w Pałacu St. James. A jednak Flora tam się znajdzie. Aresztowana w kilka tygodni po odjeździe księcia, zostaje wysłana do Londynu, zamknięta w więzieniu Tower. Fryderyk, ksiąŜę Walii, starszy brat księcia Cumberlanda, usłyszał o przygodach Flory i zaciekaWił się nimi.

KaŜe ją wezwać do siebie.

— Jak pani mogła — zapytuje — uczynić coŝ tak sprzecznego z rozkazami swego suwerena, coŝ tak sprzecznego z interesami swego kraju?

Flora jest górką z krwi i kości. Rozumie, co to znaczy być uciekinierem bez przyjaciół. Odpowiada śmiało:

— Posłuchałam nakazu zwykłej uczciwości. Gdyby wasza ksiąŜęca wysokość, albo ktokolwiek z królewskiej rodziny, zna-

231

lazł się w połoŜeniu takim, jak wówczas ksiąŜę Karol, zrobiłabym to samo.

Dla tej odwaŜnej Szkotki ani krew Stuartów, ani krew Hanowerczyków nie jest najwaŜniejsza, lecz nakazy ludzkości.

Chyba, Ŝe była genialną dyplomatką!

KsiąŜę Walii poleca ją uwolnić, nie naraŜając na przykrości oficjalnej indagacji. Jeden przynajmniej z Hanowerczyków — jak jeden z Anglików, młody James Wolfe po bitwie pod Culloden — pojmuje znaczenie słowa „rycerskość”.

A Flora Macdonald zdobędzie to, co jej przepowiedział ka-

pitan O'Neal — nieśmiertelną sławę.

Karol Edward nadal przechodzi z rąk do rąk. Zawsze w ruchu.

Zawsze przenosząc się z miejsca na miejsce. Zawsze dokądś
dążąc, nigdy nigdzie nie docierając. Czy Flora Macdonald ocaliła

mu Śycie? Czy dr Donald Macleod? Kinsburgh? Młody Raasay?

Wszyscy, którzy kiedykolwiek pomogli mu w drodze naprzód,
wstecz, na północ, południe, wschód czy zachód — ocalili mu

Śycie w danej chwili. Czy wystarczy ludzi odważnych i
szlachetnych, czy zawsze tylko takich napotka? I czy ostatecznie
ocalą mu Śycie? Czas pokaże.

A czy jego Śycie warte było ocalenia? Czy warte było, butylu
innych cierpiało i nawet własnym Śyciem płaciło? Takich pytań
nikt nie zadaje. Ci, co go ratują, nie troszczą się o względne
wartości moralne. Ci, którzy słuchają nakazów ludzkości, nie
rozszczepiają włosy na czworo.

Rozdział XVIII

WŚRÓD SZEREGÓW WROGA

Książę śpi. Niespokojny to sen. Rzuca się, chwilami siada, z ust

jego wybiegają niewyraźne słowa po francusku, włosku. po
angielsku. I znowu, nie budząc się, pada na posłanie ze słomy.

Głód, zmęczenie, ciągła czujność, napięcie — wyczerpują go.

Tylko raz wykrzykuje słowa, które zabrzmiały wyraźnie i zro-
zumiale w uszach jego towarzyszy, słowa, echem odbijające
spóźnione poczucie odpowiedzialności:

— O, BoŜe! Biedna Szkocja!

Zaiste, biedna Szkocja! Gdzie by się nie obrócił, Karol Edward widzi dowody i słyŝy o cierpieniach, jakie jego obecność sprowadziła na cały naród. Procesy, egzekucje w Edynburgu, w Inverness, w Carlisle, w Londynie. Według prawa angielskiego, które zalicza 160 przestępstw do cięŜkich zbrodni — włącznie z kradzieŜą owcy, ścięciem drzewa wiśniowego. drobnymi kradzieŜami ze sklepów — nie ma potrzeby pytać, jaka jest kara za zdradę stanu. Głowy i ciała ofiar wiszą na murach zamku, na bramach miejskich. Trupów nie zdejmuje się z szubienic, by słuŜyły wszystkim strasznym przykłądem. Terror.

Wielu zamoŜniejszych rebeliantów i ich sympatyków składa przysięgę na wierność hanowerczykom i kupuje sobie przebaczenie, a przynajmniej Ŝycie. Jak w kaŜdym nieudanym buncie, najwięcej cierpi szary, przeciętny uczestnik, który nie ma nic

233

do ofiarowania, prócz własnego Ŝycia. Egzekucje. Wieszania. Rozstrzeliwania. Transportacja do Zachodnich Indii, do niewolniczej pracy na plantacjach cukru.

„Bez twojego zwycięstwa Anglicy złamią klany, połoŜą kres Ŝyciu plemiennemu" powiedziała swemu kochankowi Klementyna przed bitwą pod Culloden. Przewidziała prawdę.

Kilt, pled, tartany, tradycyjny szkocki strój — będzie nieważnym zabroniony specjalnym aktem parlamentu. Za złamanie

tego rozporządzenia po raz pierwszy — sześć miesięcy więzienia;
po raz drugi — transportacja na siedem lat. Ale ludzie w górach
nie mają innej odzieży, jak tartanowe pledy i kilty. Muszą
farbować wszystko na czarny lub brunatny kolor. Kilty zszywa się
między nogami, by tworzyły rodzaj krótkich spodni. Niektórzy
górale ignorują rozporządzenie i uciekają w wysokie góry, gdzie
polują na nich tak samo jak na pozostałych przy Syciu uczestników
bitwy pod Culloden. Inni noszą pledy pod płaszczami, albo
skrawki tartanu pod koszulą. Jeśli ich na tym przyłapią — czeka
ich teść zsyłka na ciężkie roboty.

Strój górala jest jego dumą, wyrazem jego poczucia przy-
należności do szlachetnej rasy. Ten strój mu odebrano. Podstawy
ekonomiczne gospodarki w górach złamano. Niebawem zniesienie
dziedzicznej jurysdykcji wodzów klanowych, wprowadzenie
mówiących po angielsku szeryfów i konstabli z południa,
działających w oparciu o szkarłatne mundury — zniszczy ustrój
polityczny i społeczny.

Rebelia z 1745 r. dostarczyła sposobności — której szukał rząd
brytyjski — zniszczenia gwałtem, ogniem, mordem, grabieżą,
uchwałą parlamentu i przemocą stylu Sycia, który ośmielono się
nazwać „barbarzyńskim”. Dalej nadejdzie wykupywanie ziemi
przez bogatych Anglików i szkockich łotrów, likwidowanie
mniejszych gospodarstw, tworzenie olbrzymich stad owiec,
zatrudniających pół tuzina pasterzy tam, gdzie dawniej było i

utrzymywało się stu wieśniaków, sekwestracja obszernych przestrzeni — strzeżonych przez gajowych z bronią w ręku — na tereny łowieckie dla arystokracji, rezerwowanie jezior i rzek dla amatorów rybactwa, mogących płacić wysokie czynsze dzierżawne rzekomym „właścicielom”. Karą za kłusownictwo, za złowienie jednego łososa — znowu dożywnie zesłanie. I znowu najbardziej cierpi „szary człowiek”, taki, który od stuleci polegał na strzelbie i wędcie, by karmić rodzinę.

Nowi przybysze w górach znają tylko język angielski. By zyskać pracę, gajowi, słudzy, pasterze — niegdyś niezależni, dumni, mówiący po gaelicku mężczyźni — muszą mówić po angielsku, uczyć dzieci tego języka, zapominać własnej mowy.

Szkockość, która pozostanie, będzie zaledwie tradycją. Kilt stanie się pieprznym dowcipem. Język — celem śartów zawodowych komediantów. Legendy i ballady — kradzione, formalizowane, przerabiane — stracą swą dawniejszą cechę więzów, jednoczących szlachetną rasę.

Rzecznicy tej likwidacji dawnego ustroju będą argumentować, że wraz z postępem i nowoczesnością życie klanowe musiało zniknąć. Być może. Ale niechby to był proces ewolucji, niechby to się stało w czasie i sposobem, wybranym przez klany, nie w czasie bezmyślnie narzuconym przez Młodego Pretendenta, a sposobem wybranym przez okrutnego Rzeźnika.

Jakobici będą jeszcze istnieli — z nazwy. Ale sprawa Stuartów

w Anglii, a równieŜ i w Szkocji jest bezpowrotnie stracona. „Król za morzami” będzie odtąd fikcją, sentymentalną wizją barda, pozbawioną wszystkiego, prócz czczego tytułu. Uparte szaleństwo katolika Karola Edwarda posłuŜyło tylko do umocnienia protestanckiej dynastii hanowerskiej na tronie, do którego Stuartowie pretendują.

Gdy ksiąŜę śpi, dwaj wioŝlarze — McKenzie i McFriar — którzy przewieźli uciekinierów na wyspę Raasay, czuwają na pagórkach na północ i na południe od wybranej kryjówki.

McKenzie przybiega spiesznie do szałas:

— Jakiś człowiek tu idzie! Zatrzymał się przy tamtym szałasie.

Wydaje się, Őe to wędrowny sprzedawca...

235

— Stary podstęp — przerywa Malcolm Macleod. — To na pewno szpieg.

— Trzeba go zabić — mówi szybko Raasay. — Inaczej sami zginiemy.

Karol Edward, którego obudziło wejście McKenzie, leŜy cicho, słuchając. Odzywają się w nim rycerskie instynkty. Wstaje i wtrąca się:

— Niechaj Bóg nas zachowa od tego, byśmy mieli odbierać Őycie człowiekowi, który jest moŜe niewinny, tylko po to, by ocalić własne Őycie!

Ale tamci popierają Raasaya.

— Nie możemy tego człowieka zabrać ze sobą i nie możemy go puścić — mówi Macleod. — W tym położeniu zastrzeżęlibym własnego brata, gdybym go nie był pewien!

Nadal książę się sprzeciwia, a wreszcie McKenzie decyduje:

— No cóż, trzeba go zabić. I zabijemy go. Ty jesteś królem, ale my parlamentem i stanie się według uchwały parlamentu.

Prawo klanowe.

„Król” śmieje się z goryczą. Za opozycję wobec parlamentu jego pradziad z dynastii Stuartów utracił głowę.

Szczęściem, nieznamy człowiek przejdzie opodal, nie dostrzegłszy kryjówek zbiegów. Okazuje się później, że on sam był uciekinierem, ukrywającym się przed „szkarłatnymi mundurami”, które go w końcu schwytały.

Książę i jego towarzysze zabierają się do posiłku — pieczonej koźlęciny. Karol Edward je z apetytem, rozdzierając rękoma soczyste mięsiwo. Ale Macleod zauważa:

— Jeśli to zbyt proste jedzenie dla waszej wysokości, to czekają księcia trudne dni.

— Dni trudne zaprawdę, ale wolałbym i przez dziesięć lat tak żyć, niżbym miał wpaść w ręce moich nieprzyjaciół.

— A jak wasza książęca mość sądzisz, co by się stało, gdybyś wpadł w ręce nieprzyjaciół?

— Nie sądzę, by się odważyli uśmiercić mnie publicznie, ale

trucizna w kielichu wina... albo najęty zabójca, którego się
moŜna wyprzeć... sztylet w ciemnościach...

Po dwóch tygodniach, spędzonych na tej wyspie, niebez-
piecznie byłoby zostawać dłuŜej. Początkowo, rozstawszy się z
młodym Raasayem, ksiąŜę wraca na wyspę Skye. Tam zmienia
swój szkarłatny tartan ze złotymi guzikami na skromny ubiór
Malcolma. I bierze od towarzysza torbę ze zmianą bielizny.

— Ty będziesz panem, a ja sługą — powiada. — No i co, czy
poznają mnie teraz?

— Boję się, Őe tak — rzecze Macleod.

Więc ksiąŜę ściąga perukę, zawiązuje chustkę na głowie, na to
wciąga szlafmycę, oddziera koronkowe falbanki z rękawów,
srebrne sprzączki z pantofli, które zawiązuje sznurkiem. Macleod
przygląda się mu, drapie w głowę i rozkłada ramiona gestem
rozpaczy.

— To nadal wasza ksiąŜęca mość! — powiada.

Karol Edward wybucha śmiechem.

— Zły to los, mieć taką twarz, jak moja! Kto raz ją zo-
baczy, nigdy nie zapomni!

Młody Raasay przybywa po kilku dniach, by donieść, Őe
niejaki pułkownik Caroline Scott z licznym oddziałem „skar-
łatnych mundurów" wylądował na jego wyspie. Podobno otrzymał
informacje, Őe księcia tam widziano. Raz jeszcze — o włos od
zguby.

W swoich metodach pułkownik Scott jest wiernym uczniem mistrza, osławionego Rzeźnika. Ma reputację wyjątkowego okrutnika, nawet we własnym regimencie, z którego czterdziestu Szołnierzy zdezerterowało i przeszło na stronę rebeliantów przed bitwą pod Culloden. Na wyspie Raasay jego Szołnierze tak chłoszczą dwóch wieśniaków za odmowę udzielenia informacji — której zapewne nie mają — o miejscu pobytu księcia, że jeden z nich umiera, a drugi zostaje kaleką na całe Sycie. Kobiety są gwałcone, włącznie z biedną ślepą dziewczyną. 280

237

krów, 700 owiec i 20 koni pada pod nosem. Trzysta domów i 32 łodzie spalone. Młody Raasay kryjąc się na wzgórzach między skałami patrzy, jak jego dom i cały dobytek płonie, jak jego bydło, wartości półtora tysiąca funtów, pada pod strzałami. Dodaje: — A tak wszystkich dokładnie obrabowano, nawet z oddzie- Sy, nawet z koszul, że w tej chwili na pewno nikt z tych nie szczęśników nie ma na sobie odzie- Sy wartej choćby dwa szylingi.

Młody Raasay dochodzi do przekonania, że jego dalsza obecność w grupie zbiegów będzie groźna dla bezpieczeństwa księcia. Udaje się więc w północną stronę wyspy Skye, a księżę i Macleod, jako sługa i pan, wędrują na południe, w kierunku dworu siostry Malcolm, Siostry „lairda” Johna McKinnona, zamierzając z ich pomocą przepłynąć na ląd stały.

— A co ksiąŜę zrobi — pyta przed rozstaniem młody

Raasay — gdy napotka oddział Őółnierzy?

Odpowiedź — bez wahania, rezolutna — brzmi:

— Będę walczyć, oczywiście!

Wprawdzie to lato, ale na zachodnich wyspach letnia pora nie gwarantuje dobrej pogody. Gdy ksiąŜę i Macleod rozpoczynają swój marsz, zrywa się silny wiatr południowo-wschodni z przelotnymi zimnymi deszczami. Chwilami ukazuje się skrawek błękitnego nieba, by znowu zniknąć za skłębionymi ciemnymi chmurami, niosącymi ulewy. Jeziora podnoszą się do zimowego poziomu, strumienie, wzburzone i brunatne, występują z brzegów. Niskie łąki zmieniają się w moczary. Bydło kryje się pod murowanymi ogrodzeniami. I tylko kaczki radosnym kwakaniem i biciem skrzydłami wyrażają radość z takiej pogody. Wędrowcy, unikający nawet najprymitywniejszych traktów, muszą krąŜyć daleko, by przekroczyć byle strumień.

Wreszcie, gdy juŜ widać dwór McKinnonów, Mcleod rzecze:

— DuŜo tu słuŜby. Nie będziemy ujawniać osoby waszej ksiąŜęcej wysokości, dopóki sług się nie wyśle, albo przynaj-

238

mniej nie kaŜe zaprzysiąc dochowania tajemnicy na nagim ostrzu stali.

Nie zastali McKinnona w domu, ale ma wrócić za parę godzin.

Jego Őona wita brata serdecznie, ale rozpytuje go trochę nieufnie o

słuŝącego.

— Nazywa się Lewis Caw — odpowiada Malcolm. —

Pochodzi z Greiff na łądzie stałym i jest uciekinierem, jak ja, zwykłym górąlem z klanu. Więć go zaangażowałem jako słuŝącego.

— Jaki urodziwy męŝczyzna! — powiada Lady McKinnon.

— Współczuję mu całym sercem.

Kobiety zwykle ulegają czarowi księcia, nawet w przebraniu.

Lady McKinnon sadza swego brata do obfitego śniadania, gdy jego głodny „słuŝący” musi stać w pełnym szacunku oddaleniu, łykając ślinkę. Malcolm, zmieszany mocno, proponuje:

— Panie Caw, głód panu doskwiera tak samo jak mnie,

a tu pod dostatkiem dla nas obu. Proszę usiąść i jeść razem ze mną.

Domniemany sługa składa głęboki ukłon — trochę zbyt

wytworny — i usiadłszy razem ze swym panem, zajada z apetytem.

Wkrótce nadchodzi stara słuŝąca z miską ciepłej wody, by dokonać tradycyjnego obrządku goŝcinności dla podróŝnych.

Zdejmuje obuwie i skarpety Malcolma i myje mu nogi.

— Ten biedak teŝ tego potrzebuje — powiada Malcolm.

— Proszę, usłuŝ i jemu!

Ale stara sługa, która chętnie gotowa była myć nogi „lepszym od siebie”, nie chce się tak poniŝać, by usłuŝać komuś, kogo

uwaŜa za równego sobie, a moŜe i gorszego. Protestuje:

— ChociaŜ myję nogi synowi twego ojca, nie wiem, czemu miałabym myć nogi synowi jego ojca!

Dopiero na interwencję swojej pani dokonuje obrządku, a i to z niechęcią.

Gdy przyjeŝdŜa McKinnon i słuŜba idzie spać, pan domu

239

zabiera gości do swego pokoju. Znowu przyrządzanie nieskończonych ilości ponczu. Trzej męŜczyźni jeden po drugim zapadają w pijacki sen. Tym razem nikt ich nie połoŜy do łóŜek i Karol Edward z własnej woli — czy teŜ z braku woli — ŝpi na twardej podłodze. Nabiera alkoholicznych przyzwyczajęń, z których później zaŝylnie.

Po całych górach szkockich i na wszystkich wyspach krąŜą oddziały „szkarłatnych mundurów”, a nawet — ku ich hańbie — niektóre oddziały szkockie na ŝołdzie angielskim, rabując i grabiąc, popełniając bestialskie przestępstwa i zniŜając się na dno zezwierzęcenia tak dalece, ŝe później regimenty, które odniosły zwycięstwo pod Culloden, będą odmawiać wpisywania tej nazwy na swoje sztandary, jak to bywało zgodnie z tradycją.

Oddział ŝołnierzy pod dowództwem oficera, wysłany na poszukiwanie księcia, przychodzi do samotnej chaty góralskiej i ŝąda napitku. Górala nie ma, łowi ryby. Jego ŝona daje ŝołnierzom

mleko — wszystko co ma. Za mało, by starczyło dla wszystkich.

Oficer wymyśla podniesionym głosem, budząc uśpione w kołysce niemowlę, które zaczyna głośno płakać,

— Przekleństwo na tego szczeniaka! — wykrzykuje oficer.

— Będzie takŜe buntownikiem, jak wszyscy, jeśli wyŜyje!

SierŜant, by się przypodobać oficerowi, na te słowa dobywa szabli, rozcina niemowlę i skrwawione szczątki rzuca matce pod nogi.

I znowu nie jest to przypadek wyjątkowy, ani odosobniony.

Gdy Őolnierze odchodzą, oficer ma jakieś złe przeczucie. KaŜe jeńcowi, którego prowadził ze sobą, góralowi z innej wsi, dosiąść własnego siwego konia i jechać na czele oddziału, podczas gdy on sam idzie pieszo. W jakąś godzinę później strzał budzi echa po górach. Góral pada na szyję białego konia, zsuwa się na ziemię, spłoszony koń ciągnie go, głowa uderza po kamieniach, nogi wciąż jeszcze w strzemionach.

240

— Tak teŜ myślałem — powiada spokojnie oficer. —

Ojciec tego dziecka sądzi, Őe się pomścił. Wracać i wziąć go!

Dopiero, gdy wieśniaka schwytano i załuczono kolbami na śmierć, oficer dosiada znowu swego białego konia.

Opuściwszy Skye, Karol Edward ląduje w pobliŜu Mallaig, o jakieś 10 km na północ od Borrodale. Wkrótce wieść się roz-

chodzi o jego przybyciu i półtora tysiąca Sólnerzy z pobliskiego obozowiska wyrusza na poszukiwanie. Z Malcolmem Macleodem ksiąŜę — teraz znowu we własnym ubraniu — maszeruje spieszenie przez wrzosowiska na północ, na półwysep Knoydart, między jeziorami: Loch Nevis i Loch Hourn. Razem z nimi przez jakieś 35 km idzie John McGinnis, jeden z wioślarzy, którzy przywieźli go z wyspy Skye. Gdy powróci na wybrzeŜe, przyzna się, Ŝe przewiózł zbiega przez zatokę Sound of Sleat, ale zaprzeczy, jakoby wiedział, kto to był. Pytany o dalszy marsz, odpowie:

— Niosłem na moim grzbiecie wszystko, co ten, który wy dawał się waŜniejszy z nich dwóch, posiadał, a były to dwie koszule. Nie, teraz sobie przypominam, Ŝe miał jeszcze butelkę whisky, ale tą uparł się nieść sam!

Ŝarty nie ocala McGinnisa od okrutnej kary. Przywiązano go do drzewa i chłostano, a krew mu tryskała z ciała. Po tej barbarzyńskiej karze ten sześćdziesięcioletni człowiek nigdy nie wróci do zdrowia. W niecałe dwa lata później umrze.

O tym czasie wpada równieŜ w ręce Sólnerzy na wyspie North Uist ten kapitan Felix O'Neal, który z Donaldem Macleodem towarzyszył księciu w pierwszej przeprawie przez He-brydy. Zabiera go brytyjski okręt wojenny „Furnace”. O tym napisze później

„Kapitan okrętu John Fergusson potraktował mnie z okru-

ciemstwem pirata, rozkazał swemu pachołkowi obnażyć mnie, wychłostać i łamać kołem".

241

I oto następny odizolowany incydent, świadczący o istnieniu lojalistów z iskrą humanitarności w sercu. Na pokładzie „Furnace” znajduje się oddział Królewskich Szkockich Fizylierów. Gdy O'Neala wiąŜą do tortur, oficer dowodzący oddziałem, porucznik Robert McGaghan dobywa szpady i rozkazuje swoim fizylierom nabić muszkiety.

— Jeśli wyda pan rozkaz tortur — oznajmia kapitanowi Fergussonowi — zabiję pana, a moi ludzie zastrzelą kata! Kapitan wymyśla porucznikowi, twarz rnu purpurowieje, wygląda, jakby go miał trafić szlag. Niech go trafia. O'Neal uniknął tortur.

Na półwyspie Knoydart oddziały brytyjskie z wolna zaciskają kordon coraz szczelniej. Kryjąc się na niegościnnych wrzosowiskach, Karol Edward patrzy na zniszczenia i zgubę, jaka spotkała domy i gospodarstwa jego zwolenników.

Malcolm Macleod wiernie i z naraŜeniem Ŝycia przeprowadził księcia z wyspy Skye na Raasay, później z powrotem na Skye i na ląd stały. W Knoydart, zgodnie z ostrzeŜeniem Flory Macdonald, przekazuje swego pupila nowym chętnym przyjaciółom — Donaldowi Cameronowi, krewniakowi Lochiela „Łagodnego”.

Generał John Campbell — sam szkockiego pochodzenia —

dowodzi tutaj polowaniem na człowieka. Dowiedziawszy się, że ksiąŜę przybył w tę okolice, generał postanawia zdobyć dla siebie nagrodę 30 tysięcy funtów szterlingów. Rozstawia linię wartowników na długości 35 km w takiej odległości jeden od drugiego, aby ani skrawek gruntu nie pozostawał poza ich wzrokiem. Nocą, w miejscach, gdzie pary wartowników się spotykają, zapalane są ogniska. Generał ufa, że w ten sposób dniem czy nocą schwyci upatrzoną ofiarę, która będzie usiłowała — będzie musiała — przejść z jednego grzbietu wzgórz na drugi. — Nikt tej linii nie przekroczy — powiada generał. —

242

A jeśli ten przeklęty wódz buntowników zawróci ku wybrzeŜu, no, to będziemy tam mieć tylu Őółnierzy, ile kamieni w górach!

Pewnej nocy dwaj zbiegowie skradają się tuŜ do linii wartowników Campbella, przemykając się od jednego głazu do drugiego. KsiąŜycy nie ma, cienie nie zdradzają ich. Zastanawiają się nad szansą przekradnięcia się przez linię Őółnierzy.

— NiemoŐliwe — szepcze ksiąŜę. — Pułapka zamyka się w końcu!

Wzdycha. Ma obolałe nogi, jest wyczerpany fizycznie i psychicznie. To jeden z rzadkich momentów, kiedy opuszcza go na chwilę nadzieja i odwaga, wydając go bezbronnego na łaskę losu.

Ale Donald Cameron, świeŜo objąwszy swoje zadanie, jest pełen energii.

— Proszę sobie postanowić zostać Śywym i na wolności —

rzecze. — Póki wasza ksiąŜca mość jesteŝ wolny, zawsze jest nadzieja, ŝe dotrzemy do Francji.

Odchodzą od miejsca, gdzie oficerowie i sierŝanci się zbierają.

Znajdują punkt, w którym linię ŝołnierzy przedziela niewielki, ale

głęboki wąwóz. Przez dłuŜszy czas ŝledzą bacznie kaŜdy ruch tej

groźnej linii „szkarłatnych mundurów” — teraz zaledwie cieni w

blaskach ognisk. Wartownicy chodzą tam i z powrotem. Spotykają

się parami przy ognisku, zawracają i tak bez przerwy. ToteŜ

Cameron zaobserwował, ŝe gdy wartownicy, których dla

jaŝniejszego obrazu moŜna ponumerować — nr 21 i 22 — zbliŜają

się do ogniska, oznaczonego na przykład B, to wartownicy nr 23 i

24 zbliŜają się do ogniska D, Tak wiêc przez krótki przeciąg czasu

wartownicy Nr 22 i 23 idą odwrócenii plecami do siebie, a takŜe do

ogniska C na pół drogi między ogniskami B i D.

— A w tym przeciągu czasu, jeŝli będziemy się poruszać

szybko i bezszelestnie, przemkniemy się! — szepcze Cameron.

— I co dalej? — pyta ksiąŜę, sceptyczny i znuŜony.

— Przeŝlizgniemy się niepostrzeŜenie między wąwozami i

skałami tak, jak niepostrzeŜenie dotarliŝmy tutaj!

II»

243

I wciąŜ Karol Edward nie ufa:

— To niemoŝliwe.

— Nasza jedyna szansa — dowodzi Cameron. — Proszę

zaczekać i obserwować mnie.

Gdy wartownik nr 22 jest w połowie drogi między ogniskami C i B, Cameron wyslizguje się ze swej kryjówki do wąwozu i czołgając się przechodzi przez linię wart aŜ do skały po tamtej stronie.

Jak tylko wartownicy znowu odchodzą, zwróceni plecami jeden do drugiego, Cameron powraca wzdłuŜ wąwozu i za chwilę jest przy księciu.

— A co? — szepcze. — Następnym razem, gdy tylko się odwróca...

— Nie mogę — protestuje Karol Edward.

Donald Cameron nie zrezygnuje tak łatwo.

— Musisz, mości ksiąŜę! Ja idę. Musisz iść w ślad za mną.

Tylko cicho! StrzeŜ się luźno leŜących kamieni.

Dość bezceremonialnie traktuje królewski majestat. W rzeczy samej, ta chwila go usprawiedliwia.

Para zbiegów czołga się naprzód, jak jaszczurki, Cameron na przedzie... Szczęśliwie przez linię wart... dalej... za skałę...

Zerkają z powrotem, ku miejscu własnego triumfu nad prze-myślnością generała Campbella. Dokładnie w tym miejscu, skąd wyruszyli, stoi teraz oficer, zawiadując zmianą wartowników!

Bezceremonialne naleganie Camerona i jego śmiałość niewątpliwie uratowały księcia — przynajmniej na jakiś czas. Nie-

bawem ksiąŜę odzyska zwykłą mu beztruską odwagę i determinację, która z kolei ocali ich obu.

OkrąŜają teraz dalekim obchodem w kierunku południowo-wschodnim, do okolic położonych na północ od jeziora Loch Arkaig. Tu, zbyt zmęczeni, by iść dalej, wczółgają się do jaskini tak ciasnej, Őe nie mogą się nawet swobodnie wyciągnąć.

Przemoczeni do nitki... bez poŐywienia od 48 godzin... bez moŐności zapalenia ogniska. KsiąŜę moŐe się tylko pocieszyć

244

fajką, a później zapada w mocny sen, z którego się obudzi dopiero po południu następnego dnia. I chociaŐ osłabiony głodem, nabrał ponownie otuchy.

Wyszedłszy o zmroku przed jaskinię, obaj męŐczyźni spoglądają w dół na zgliszcza, które niedawno były wioską i dworem Achnacarry, siedzibą krewniaka Donalda Camerona — Lochiela „Łagodnego”. Te zrównane z ziemią ruiny, to zemsta generała Campbella na góralach za to, Őe nie zdołał wydobyć z nich informacji o miejscu ukrycia ich „lairda” i wodza.

Ale opodal ruin rozlokował się oddział Őołnierzy brytyjskich pod dowództwem Lorda George'a Sackville'a wracający z najazdu na bydło w krainie Macdonaldów. Setki krów i cieląt zarekwirowano.

— Co sądzisz o tym, Donaldzie, gdybyśmy spróbowali porwać im tłustego cielaka z tego stada? — pyta ksiąŜę. — Po

ciemku?

— To chyba mniej moŝliwe od przejŝcia przez linię wart,
moŝci ksiąŜę!

— Ale równie konieczne, jeŝli nie mamy umrzeć z głodu.

Prócz tego, to piękne łowy! Ja poprobuję!

Na to Cameron nie moŝe pozwolić. Jak Lochiel przed rokiem
przeszło, nad brzegami Loch nan Uamh, nie pozwoli, by go ksiąŜę
zawstydził. Ale tutaj sã wiêksze szanse powodzenia. Cameron ma
praktykę w podchodzeniu zwierzyny. Zeŝlizguje siê po zboczu
górkim pod osłonã nocy, koło wartowników, którzy spędzili
wieczór na pijatyce i teraz niewiele pilnujã, zatapia nóg w sercu
parodniowego cielaka i wraca z łupem, przerzuconym przez plecy.

Triumfujãca para zanosz swój obiad o parę kilometrów na
wschód, gdzie znajdujã szałas i drewno na podpałkê. Ŝciągajã
skórê i dzielã miêso. A tak sã głodni, Ŝe nie majã cierpliwoŝci, by
siê doczekać, aŝ miêso bête dobrze upieczone. Wpychajã do-ust
na wpół surowe kawałki miêsa, które odcinajã swymi sztyletami, a
Karol Edward miêdzy jednym kęsem a drugim powiada:

245

— Ukradzone Ŝołnierzom sprzed samych nosów smakuje
dwakroć lepiej. W pałacu mego ojca nigdy mi nic tak nie sma-
kowało, chociaŝ przyrzãdzone przez mistrza kucharzy!

Ale nigdy w pałacu ojca apetytu nie zaostrzył mu ten naj-
wyborniejszy z kucharzy — głód.

GDZIE SĄ NAJDZIELNIEJSI Z DZIELNYCH?

„Gdy ten strach na wróble to rzeczywiście może być ksiąŜem Karol

Edward Stuart? Ten sam człowiek, którego widziałem przed rokiem w Pałacu Holyrood, strojnego, wytwornego, proklamowanego regenta Szkocji i Anglii, wydającego uczyty i bale?

Kobiety go oblegały, męŜczyźni mu schlebiali... Gdzie to ten sam?

Ten wysoki, wychudły męŜczyzna z długą brodą, w brudnej koszuli, w kilcie, w wytartym tartanowym kaftanie, z muszkietem w rękę, pistoletem za pasem, sztyletem wetkniętym za pończochę?

Gdzie są te wykwintne rysy i delikatna cera, dziedzictwo po polskiej matce? Czy to on?”

Takim torem biegły myśli jeszcze jednego Camerona, imieniem Archibald, brata Lochiela „Łagodnego”.

Czas: koniec sierpnia 1746 r. Miejsce — brzegi Loch Arkaig.

Wkrótce po porwaniu cielaka Őołnierzom Lorda George'a

Sackville koło Achnacarry, Karol Edward powędrował z Do-

naldem Cameronem bardziej na północ, a jego losy natchnęły

jeszcze jednego anonimowego barda do ułoŜenia ludowej ballady:

Po górach, które naleŜą mu z prawa,

Wędruje samotny i obcy, Zewsząd

czyha na niego wrzawa,

Wczoraj spotkałem go w dolinie

Me serce krwawi z Śalu, Bo

chociaŜ wciãŜ urodã słynie

Zmienił się biedny Charlie...

Zbiegowie przybyli do Glenu Moriston, niebezpiecznie blisko

Fortu Augusta. A jednak niebezpieczeństwo nie większe tam, niŜ

gdzie indziej, poniewaŜ po całej górnej Szkocji maszerują tam i z

powrotem oddziały Gumberlanda. A metody ich stają się coraz

bardziej barbarzyńskie w miarę, jak z tygodnia na tydzień

upatrzone łup im się wymyka. Za nimi zostają trupy męŜczyzn,

rozpaczające kobiety, opustoszałe zagrody, dymiące zgliszcza.

W Glenie ksiãŜę i Donald Cameron spotykają siedmiu kla-

nowych górali, którzy walczyli pod Gulloden. Sã teraz banitami,

Ŝyjã z rabunku, bez skrpułów zabijają, by ocalić własne Ŝycie,

wiedząc, Ŝe jeśli wpadną w ręce nieprzyjaciela, czeka ich pewna

śmierć. Związali się razem wspólnã przysięgã na ostrze sztyletu,

Ŝe jeśli zginãc bẽdã musieli, zginã walczãc, jeden za wszystkich,

wszyscy za jednego. Tych siedmiu wita gościnnie wynędziały

wędrowców w swojej jaskini, klęka przed księciem, układa dla

niego posłanie — miękki wrzos, grubo połoŜony na zimnym

kamieniu. Rozbójnicy przekształcają się w wierne służy,

niezdarne, ale ochocze.

Przez trzy tygodnie Karol Edward i Donald Cameron prze-

bywają z rozbójnikami, którzy poświęcili się bez reszty swym

gościom, ich bezpieczeństwu i wyśywieniu. Jeden z siedmiu rozbójników chciał koniecznie udać się do miasteczka Augusta koło Fortu Augusta, by kupić różnych smakołyków dla królewskiego gościa. Zabili więc ordynansa niosącego bagaż angielskiego oficera i zabrali mu mundur, by się w niego przebrać. Wypoczęty, odświony, odzyskawszy siły, książę znowu zaczyna się niecierpliwić.

248

— Narażam was na niebezpieczeństwo — powiada. —

A jeśli byście musieli uciekać, zawadzałbym wam. Prócz tego, jestem za daleko od wybrzeża. Gdyby francuski statek nadpłynął, nie będę o tym wiedział.

Błagają go, by został, przypominając o cenie wyznaczonej za jego głowę:

— Dla nas to śladna pokusa, ale kto inny mógłby wydać waszą wysokość, a później pod opieką tych łotrów w szkarłatnych mundurach wyjechać do Anglii, by tam używać swobodnie krwawych pieniędzy.

Ale Karol Edward się upiera. Musi się z nimi rozstać. Wysłał Donalda, by nawiązał łączność z Lochielem, który kryje się w rodzinnych stronach, na południe od Loch Arkaig, w pobliżu swej dawnej siedziby Achnacarry.

W parę dni później dwaj rozbójnicy, Chisholm i Grant, odprowadzają księcia ze swojej jaskini na brzegi Loch Arkaig. Tam,

jak przyrzekł Donald, czeka już następny z Cameronów,

Archibald. I tam właśnie Archibald spotkał „stracha na wróble”.

— Mój brat Lochiel przebywa w tych górach, wasza ksią

śca mość. Zdamy właśnie w porę, ponieważ niebawem mój

brat opuszcza obecne schronienie, by przenieść się w bezpiecz

niejsze miejsce, gdzie zaopiekuje się nim Macpherson z Clu

ny. Proszę mi teraz pozwolić pójść naprzód i sprawdzić, czy

droga wolna, gdy czekałem tutaj dwa dni.

Książę zmęczony bardzo forsownym marszem z Glenu Mo-

riston, rzuca się na ziemię i zasypia, owinięty swoim pledem.

Chisholm i Grant czuwają. Leżą na płaskim występie skalnym, w

połowie stromego zbocza górskiego. Od czasu do czasu wychylają

się zza skały i śledzą dolinę.

— Cicho! Patrz! Tam, w dole! — Grant wskazuje zalesio

ną dolinę pod nimi. — „Szkarłatne mundury” między drze

wami...

Chisholm potrząsa księcia za ramię.

— Zostawcie mnie. Jestem wyczerpany...

— Musimy iść, mości ksiąŜę! Anglicy... — Wskazuje na występ skalny.

Karol Edward zwleka się na nogi. Kolana się pod nim uginają.

Mruga powiekami. Nie może się rozbudzić.

— Musimy się czołgać po zboczu — ostrzega Grant.

Wspinają się wyŜej i wyŜej, na czworakach, wykorzystując kaŜdą skałę dla osłony, chwilami przypadając na płask do ziemi.

Nadchodzi chwila, kiedy dwaj rozbójnicy posuwają się naprzód, a ksiąŜę leŜy twarzą do ziemi. Grant zawraca.

— Nie mogę dalej — dyszy Karol Edward, kompletnie wyczerpany.

Chisholm spogląda na Granta. Wzruszają ramionami.

— Nie możemy tu zostać. Trzeba go nieść.

Chisholm leŜy i rozgląda się bacznie, Grant zarzuca sobie księcia na plecy i czołga się naprzód. Królewski cięŜar trzyma się jego szyi. Po pewnym czasie zatrzymują się i teraz Chisholm bierze księcia na swoje plecy. Tak dźwigając go na zmianę, docierają wreszcie do osłony za grzbietem drugiego przeciwnego stoku. Znowu — o włos od zguby.

Rozbójnicy podnoszą teraz Karola Edwarda i stawiają go na nogi, podpierają, niosą na ramionach — zwolna, cięŜko, nogi księcia ledwie dotykają ziemi, a on sam ledwie przytomny.

Gdy zapadają w ciemności, trzech męŜczyźni schodzą do kry-

jówki na zbczcu. Książę, nie czekając nawet na przygotowanie posłania, pada na ziemię i zasypia.

— Brzemienny snem, jak mysz polna w listopadzie — po wiada Grant.

Dwaj rozbójnicy czuwają na zmianę, zmieniając się co dwie godziny. Książę śpi całą noc i do południa następnego dnia, jak odurzony jakimś lekiem.

Tymczasem odnajduje ich Archibald Cameron. Książę wyspał się, ale początkowo potyka się, nie może iść, trzeba go podpierać.

Stopniowo odzyskuje władzę w członkach.

— Tysiącrotnie przepraszam i dziękuję — mówi do

250

swych wybawców. — Ale powinniście byli zostawić mnie własnemu losowi.

Rozbójnicy nie znają się na pięknych frazesach. Nie umieją deklamować wzniosie, ani dramatycznie gestykulować. Zwyczajnie, śmieją się na samą myśl, że mogliby zostawić na łaskę Rzeźnika jakiegokolwiek towarzysza, a cóż dopiero swego księcia.

O zmroku cała grupa dociera do wyższych gór. Wspinają się, Archibald Cameron podtrzymuje księcia. Nagle, jakby ze skały wyrosła, pojawia się przed nimi postać, podchodzi kulejąc.

Rozbójnicy rozglądają się bacznie, ale prócz dwóch orłów na szczycie skały nikogo więcej nie widać.

Widok Lochiela „Łagodnego”, który ledwie kuśtyka, przy-

stając co krok, budzi ból w sercu księcia. Śpieszy naprzód, by powitać i oszczędzić choćby jednego kroku wodzowi, którego obie nogi podruzgotwały kule Cumberlanda na wzgórzach Drummissie Moor. Lochiel czyni niezdarny ruch rękoma, jakby chciał unieść swój kilt. Zamierza przyklęknąć. Rozbójnicy znowu rozglądają się niespokojnie. Karol Edward wyciąga obie ręce:

— Och, nie, mój drogi Lochielu! Nie wiadomo, kto może nas obserwować z otaczających gór! Jeśli ujrzą cię na kolanach, dla każdego jasne, co to znaczy!

Jaskinia Lochiela ma wąskie wejście, ale dalej rozszerza się, tworząc obszerną komnatę, dość wysoką, by mężczyzna mógł stanąć swobodnie wyprostowany. Urządzono ją jak najwygodniej, wokół ławy i stołki, nawet stół, za którym książe od dawna nie siedział. Wódz ma trzech towarzyszy, którzy właśnie sprawiają i pieką pół tuzina dzikich kaczek, upolowanych przez górali z klanu Lochiela koło Loch Arkraig na tę okazję.

— Wracamy teraz — powiada Grant. — Wasza księżca wysokość jest, jak widzimy, w dobrych rękach.

— O nie, moi zacni druhowie — protestuje Lochiel. — W moim obecnym położeniu nie mogę się wam odwdziżyć,

251

jakbym powinien, ale przyjmijcie przynajmniej gościnę i podzielcie się z nami posiłkiem.

Książę, Lochiel, jego brat i ich krewniak Donald siadają za

stołem. Rozbójnicy przyłączają się do górali z klanu, obsługujących Lochiela. Kaczki znikają. Zjawiają się flaszk. Toasty. Stół odsunięty na bok, na świeżym wrzosie siadają kołem — księż „laird”, panowie, słudzy i rozbójnicy — a flaszk krążą gęsto. Lochiel opowiada stare podania, należące do tradycji jego klanu. Rozbójnicy, którym trunek rozwiązał języki, dumnie wspominają o niedawnych przygodach ze „szkarłatnymi mundurami”, o żołnierzach, którzy zapuścili się pojedynczo lub parami, a których zabili, i o góralach z klanów, których chronili, gdy udało im się zbiec z Fortu Augusta.

Rankiem rozbójnicy zbierają się do odejścia. Księż szczerze wdzięczny — bo bez wątplenia zawdzięcza Śycie tym ludziom, którzy tanio Śycie cenią — wygrzebuje z dna swojej sakiewki parę ostatnich monet, które jakoś przechował. Ale oni nie przyjmą pieniędzy.

— Weźcie! — nalega Karol Edward. — Gdy dostanę się do Francji, będę miał pod dostatkiem pieniędzy.

— Wasza księżca mość może ich potrzebować jeszcze tutaj

— protestuje Chisholm. — Co do nas, przez cztery miesiące

Śyliśmy dobrze, nie oglądając wcale pieniędzy na oczy. Rzeźnik zaopatruje nas wcale nieźle.

śegnąją się, przyklękając w jaskini i całują rękę swego niedawnego gościa.

Tej nocy zbiegowie — prócz Donalda Camerona, który zde-

cydował się pozostać — ruszają na zachód. Lochiela niosą we czterech — trzej górale z jego klanu i jego brat — na noszach, sporządzonych z pledów, rozciągniętych między długimi drągami. Jego nogi są jeszcze zbyt słabe i bolą go często, nie podołałby uciążliwym marszom po usianych głazami górach. Idą przez całą noc, księżyc jest coraz bardziej znużony, ale trzyma się i maszeruje uparcie. Przed świtem znajdują kryjówkę w zagajniku karłowatych sosen, przy strumieniu. Odpoczywają cały

252

dzień, wieczorem znowu maszerują. Mogą się poruszać jedynie pod osłoną ciemności. Konieczność niesienia Lochiela sprawia, że szybkie ukrycie się za nierównościami gruntu, czołganie się — są niemożliwe.

Po trzech nocach powolnego marszu docierają do Lasu Ben Alder, między Loch Laggan a Loch Ericht, którego północny kraniec sięga w pobliżu miasteczka Dalwhinnie, w kraju Atholów. Tu ich spotyka Macpherson z Cluny, ten, który przed rokiem najpierw zamierzał połączyć się z Anglikami, a później zmienił zdanie i przyprowadził swoich ludzi, by walczyli u boku księcia.

Cluny prowadzi ich na południe, nadal pod osłoną ciemności, do stóp wznoszącej się na 1200 m n.p.m. góry Ben Alder. Muszą wspiąć się do połowy zbocza, pod osłoną strefy lasów. Nosze Lochiela można przenieść tylko na krótką odległość, by dźwigający mogli odpocząć. Cluny też niesie kolejno, aby jeden z

dźwigających mógł chwilę iść bez cięŚaru.

Wreszcie tuŚ przed świtem docierają do lasu. Niezwykły to las.

Księciu wydaje się nie do przebycia, tak gęsto rosną nigdy nie trzebione pnie starych drzew. Cluny objaśnia, Śe rosną tak bujnie na niespotykanym tu często paśmie dobrej gleby, dzielącej wyŚsze szczyty góry od warstw niŚszych.

Cluny prowadzi dookoła strefy zalesionej. Dochodzą do miejsca, gdzie drzewa rosną nieco rzadziej i moŚna przejść między nimi. Tu szereg drzew nie przekracza pół tuzina — dalej las wydaje się znowu nieprzebyty. Za rzadszym przejściem widnieje olbrzymia skała, trzykrotnie wyŚsza od człowieka, kilkunastu metrów w obwodzie. Chyba niegdyś, jeszcze zanim las wyrósł, musiała spaść z wyŚszych szczytów po zboczu i zatrzymała się na tej szerokiej płaszczyźnie urodzajnej gleby. Zwolna drzewa ją otoczyły i zarosły dookoła.

— Stąd będziesz musiał iść, Lochielu — mówi Cluny.

Książę się zastanawia: dokąd? Cluny przeciska się za skałą i wydaje cichy, przenikliwy gwizd, spoglądając w górę. Nad ich głowami ukazuje się sznurowa drabina, powoli opuszcza-

253

na. Cluny wspina się pierwszy, później książę, wreszcie Lochiel, podtrzymywany przez jednego ze sług. Z góry pomagają mu chętne ręce. U szczytu drabiny znajdują się drzwi, teraz otwarte, sporządzone z cienkich sosen, na skórzanych zawiasach. Karol

Edward przekonuje się, że prowadzą one do dużej komnaty, o podłodze, ścianach i suficie wykonanych z drewnianych pni.

— Ale jak...? — zaczyna, zadziwiony.

Cluny śmieje się.

— Jesteśmy zawieszani na linach tak grubych, jak moja ręka, przymocowanych do poziomych konarów rosnących drzew. Proszę popatrzeć: pnie, które stanowią podłogę są równie przywiązane. Żadnego gwoźdźca nie użyto do tej budowy.

Wbijanie gwoździ czyni zbyt wiele hałasu — mogłoby ściegnąć uwagę.

Goście są zdziwieni. Tyle pomysłowości, tyle pracy i umiejętności!

— Nazywam to „klatką” — dorzuca Cluny, a później, po doskonałym posiłku, opowiada: — Mam pięć klatek, zbudowanych w starannie wybranych miejscach, rozrzuconych na terenie kształtu mniej więcej trójkąta, ograniczonego jeziorami: Loch Rannoch na południu, Loch Treig na zachodzie, Loch Laggan na północy. Moi ludzie informują mnie stale o ruchach oddziałów angielskich. Kiedy jedna z klatek wydaje się zagrożona, przenoszę się do drugiej. Ale jeszcze ani jednej nie odkryli. Liczę, że będę mógł w jednej czy drugiej mieszkać jeszcze cztery lata.

W rzeczywistości, będzie tak mieszkał przez osiem lat, a wreszcie, zmęczony koczowniczym życiem banity, wyjedzie do Francji. W ciągu całego czasu ludzie z jego klanu — dzierżawcy i

wieśniacy — będą mu pomagali i Śaden nigdy nie ulegnie pokusie zdobycia 1000,£ nagrody, wyznaczonej za informację o miejscu jego pobytu.

Posłyszawszy słowa: „mieszkać przez cztery lata”, ksiąŜę zaczyna się niecierpliwić.

254

— Cenię wysoko waszą gościnność, ale mam nadzieję, Őe ja...

— AleŜ nie, mości ksiąŜę. Mam pewien plan, jeśli chodzi o waszą ksiąŜęcą wysokość i o Lochiela takŜe.

Z pomocą górali klanowych Cluny organizuje stałą komunikację z wybrzeŜem, by otrzymywać wiadomości o statkach do Francji.

Po tygodniu zamieszkiwania w „klatce” na Ben Alder, ksiąŜę dowiaduje się o oddziale Őołnierzy w Dalwhinnie. Cała grupa, włącznie z dwoma góralami, towarzyszącymi Cluny'emu, przenoszą się nocą o jakieś 20 km na zachód, do drugiej „klatki”, w lesie w pobliŜu góry Chno De arg.

Tu w parę dni później przychodzi stara zgarbiona kobieta, którą u stóp góry spotyka jeden z ludzi Clunego, pełniący tam wartę. W „klatce” staruszka zdejmuje przebranie — okazuje się, Őe to niski, lecz muskularny i Őylasty góral. Przynosi wiadomości o statku francuskim, który się pojawił koło Arisaig. Angielskie okręty krąŜą dalej na północy, przewaŜnie pilnując okolic North Uist, a inne podobno udały się daleko na północ-ny-wschód, aŜ do

wysp Orkneyów, a nawet do wysp Szetlandzkich, szukając księcia, który, jak się zdaje, rozpląnął się w powietrzu.

Francuski statek, „Prince de Conti” — który, jak się później okazało, nadpłynął z towarzyszącym mu okrętem „L'Heu-reux” do St. Molo, wysłany przez syna starego Sir Thomasa Sheridana — wejdzie do ujścia jeziora Loch nan Uamh, jeżeli dostanie umówiony sygnał, księżę czeka i okolica jest chwilowo wolna od „szkarłatnych mundurów”.

Statek, który przybył na ratunek, a o którym Campbellowscy żołnierze jakoś nigdy się nie dowiedzieli, podziałał na uciekinierów, jak garnek z miodem na muchy. Gdy dnia 29 września 1746 r. księżę — odziany w łachmany, w dziurawym obuwiu — wstępuje o mglistym świcie na pokład, do pasażerów zaliczają się nie tylko Lochiel i jego brat Archibald, ale rów-

255

nie wódz klanu Stewartów, który ukrywał się w Moidart, dwudziestu trzech innych szlachciców i blisko stu górali z różnych klanów. Ta garść przynajmniej uniknęła pachołków Rzeźnika.

„Prince de Conti” rozwija się i wypływa z zatoki Arisaig.

Młody Pretendent jest ocalony, jakby cudem — cudem heroizmu i milczenia setek górali, zazdrosnych o swój honor, którzy tym czy innym sposobem w ciągu owych pięciu miesięcy zaopiekowali się nim, ratowali i wiedzieli dokładnie o jego poruszeniach, Ocalony również dzięki własnej odwadze, zdolności odzyskiwania sił i

pogodzie ducha, z powodu których stał się bliski i drogi swoim sentymentalnym rodakom. Pomimo klęski i cierpień, jakie znosili za niego, będą śpiewali o nim zawsze:

„Nie mogłeś być bardziej kochany...”

Ze swojej strony Karol Edward spogląda na Lochiela, złamanego na duchu i ciele — zostało mu już niecałe dwa lata życia.

To ten sam człowiek, który owego dnia nad jeziorem Loch nan

Uamh ostrzegął:

„Boję się, czy nie więcej tu śmiałości, niż rozsądku...”

Na co księżę odpowiedział po niemiecku:

„Dem Mutigen gehört die Welt” — do odważnych świat należy!

Ale gdzie są teraz „najdzielniejsi z dzielnych”?

Szkockim góralom nie brakowało odwagi ani dzielności. A

jednak... świat nie należy do nich, chyba tylko tamten świat...

Szczęśliwe domy tysięcy „najdzielniejszych” leżą w ruinach,

życie ich klanów brutalnie niszczone, ich syny i córki pohań-

bione...

Setki „najdzielniejszych” leżą w grobach pod Culloden. Setki

innych rozpaczają w ładowniach statków z niewolnikami,

płynących do Indii Zachodnich. Głowy innych wykrzywają się w

okropnym grymasie z bram Tower of London, z edynburskiego

Tolbooth, z zamku Garlisle, z bram miejskich Inver-ness...

A Rzeźnik i jego Œołnierze panoszą się w górach, niosąc cywilizację pod postacią głodu, zgliszcz i mordów... Bezdomne wdowy rozpaczają, a dzieci płaczą...

„Zdobyć koronę lub zginąć w tej próbie...” Ale korona jest tam, gdzie była. CzegoŜ więc ta pfóba dowiodła? Odwagi i dzielności?

Być moŜe. Ale

„niejeden dzielny Œołnierz padł

Niejeden dzielny wódz Śmierć swą drogo okupił...”

Jaka jest cena odwagi w cudzym cierpieniu? Cudzej śmierci?

Jaka cena cudzej krwi?

EPILOG

— ...wtedy jeszcze nie wyrzekłem się nadziei zdobycia potrójnej korony dla mego ojca, ewentualnie dla siebie. A jednak musiałem odrzucić jedyną nadarzającą się sposobność. W rok po moim wyjeździe ze Szkocji stosunki francusko-angielskie pogorszyły się wyraźnie. Ludwik XV posłał do mnie kardynała Tencina z propozycją, „Se mi zapewni pomoc, o ile po moim zwycięstwie odstąpiłbym Francji Irlandię. Odpowiedziałem: „Non, Monsieur le Cardinal, tout ou rien! Point de partage!" Nonsensem byłoby wpuścić obce mocarstwo, by usadowiło się tuŜ przy kuchennych drzwiach do naszego królestwa!

Mówiący ma lat sześćdziesiąt sześć. Zmęczone, szkliste oczy spoglądają na świat juŜ bez złudzeń. Policzki obwisły, zmysłowe wargi są nieco uchylone, podbródek opada luźnymi fałdami skóry. Cała postać jest cięŜka, roztył się, zwłaszcza poniŜej pasa. Rozczarowania, długie lata próŜniactwa, brak zawodu, który mógłby praktykować, nadmierne pobłaŜanie sobie — sprowadziły go na złe drogi. W tych ostatnich latach przybrał tytuł księcia Albany, ale lepiej jest znany swoim współczesnym pod mianem, pod którym przejdzie do legendy i historii — Karola Edwarda Stuarta.

Towarzyszką i słuchaczką jest jego jedyne dziecko — Charlotta, którą Klementyna Walkinshaw urodziła mu w Liege w 1753 r. Ta córka przebywała w klasztorze w Meaux we

Francji, ale teraz, w 1786 r. przyjechała, by zaopiekować się ojcem, schorowanym, melancholicznym. ChociaŜ jej matka nigdy nie poślubiła swego ukochanego księcia, jednakŜe Kościół uznał Charlotte dzieckiem legalnym, przyznając jej tytuł księżniczki Albany. I po matce odziedziczyła prostolinijność i szczerść, które wraz z jej urodą zyskują jej wielu przyjaciół. Stary ksiąŜę i jego córka często siadają w cieniu bujnych pnączy na balkonie swej willi w jednym z najpiękniejszych miast świata, u stóp Apeninów, na brzegach szmaragdowozielonej rzeki Arno — we Florencji.

Willi urocza, ale jednak skromne to domostwo dla człowieka, wychowanego

w

ostentacyjnym

przepychu

w

Rzymie,

mieszkającego choćby krótko w Pałacu Holyrood w Edynburgu,

kandydującego do Pałacu St. Jamesa w Londynie, prawnuka

dwóch królów, władających państwami o wielkim znaczeniu w

ówczesnych sprawach europejskich. W nieunikniony sposób

rozmowa tych dwojga powraca wciąż do tego tematu...

— Według prawa jesteś teraz królem Anglii, Szkocji i Ir-

landii...

— Prawo, które nie ma mocy — odpowiada ksiąŜę. — A

rzekłszy prawdę, moi poddani wcale mnie nie chcą. Pojechałem incognito do Londynu w pięć lat po bitwie pod Gulloden, ale nie mogłem znaleźć Őadnego powaŜnego poparcia...

Na balkonie zapada cisza. Ale na ulicach Florencji wózki ręczne turkocą po bruku, wielkie białe woły toskańskie, zapręŜone do wozów, stąpają z wolna, tętnią konie w pysznych szkarłatnych czaparakach...

Stary Pretendent, zwany królem Jamesem III angielskim, zmarł w 1766 r. przeŜywszy "panowania sześciu angielskich suwerenów, z których pięciu uwaŜał za uzurpatorów.

— ...papieŜ, mocarstwa katolickie... czemu oni, którzy uznawali twego ojca, nie chcieli uznać ciebie?

— Byłem w Rzymie. Apelowiałem do papieŜa Benedykta

259

XIV. Nie chciał mnie uznać. Sytuacja polityczna — stosunki Anglii z Watykanem, z Hiszpaniã, z Francjã — nie sprzyjały moim aspiracjom. Prócz tego, byłem gotów raz przed **laty** — niestety — wyrzec się mojej wiary w nadziei, Őe dzięki temu chętniej mnie przyjmã w Anglii. Őãlowiałem tego, ale papieŜ i katolickie mocarstwa zwãpiły w szczerosć moich intencji przywrócenia heretyckiego kraju na łono katolicyzmu...

— Ale w szkockich górach — o, gdybym je mogła kiedyś zobaczyć, choć nawet wiem, Őe Őycie klanów juŜ nie istnieje —

jesteś nadal uwielbianym bohaterem ballad i wzruszających opowieści.

— Zacni ludzie. Ale musisz zrozumieć to, co ja w końcu pojąłem. Górale szkoccy takŜe nie kochają się w klęsce, upokorzeniu, smaku poraŜki. I tylko, by dodać sobie ducha, przemienili w legendę mnie i swoje własne wyczyny wraz ze mną.

— Jakobici w Anglii i w Szkocji nadal, nawet dzisiaj, wznoszą toasty za twoje zdrowie...

— Przyjemna tradycja. Nic więcej. Ci, którzy piją za moje zdrowie, śmieliby się na myśl o próbie obalenia ich króla. Król... który to jest teraz? Jerzy III? Potomkowie po mieczu Marii Stuart wymierają wraz ze mną. Nie mam syna. Sprawa jakobicka jest pogrzebana — głębiej nawet, niŜ ty mnie pogrzebiesz niebawem. A mnie Bóg wybrał na grabarza tej sprawy...

— Musisz się otrząsnąć z tej melancholii — mówi Char-lotta.

— PokaŜ mi piękną Florencję.

I chociaŜ przed jej przyjazdem Karol Edward prawie nie opuszczał swojej willi, teraz mieszkańcy widują go, jak wsparty na ramieniu córki spaceruje pomału ulicami, wskazując jej laską najpiękniejsze zakątki miasta, o którym średniowieczny poeta Łapo Gianni mówił, Őe wyrzekłby się raj, gdyby mógł tu pozostać do skończenia świata. Wielkie pałace, fortece miejskie, budowane wokół kwadratowych dziedzińców, gdzie tryskają chłodne fontanny, wirydarze, strzyŜone ogrody, otulone róŜami

loggie. RóŜowo-zielone kampanille, katedra pod kopułą,
grobowce Medyceuszów, wieŜa Signorii, rzeźby Michała

260

Anioła i piazza, na której w 1498 roku został spalony Savo-narola.

Ale wieczorami Charlotta nie powściąga swojej ciekawości.

Chciałaby usłyszeć z ust ojca potwierdzenie lub zaprzeczenie tego

co słyszała o jego Ŝyciu. Stary ksiąŜę opowiada jej więc dzieje
rebelii — a moŜe tylko pewien aspekt tych dziejów — opowiada o
tych miesiącach, kiedy był zbiegiem. A Charlotta rozpytuje dalej:

— Półtora roku, które jak mówisz, obejmuje właściwie
wszystko, co warte zapamiętania z twojego Ŝycia... I w ciągu tego
półtora roku wywarłeś większe wrażenie na umysłach twoich
współczesnych, a zapewne i następnych pokoleń, niŜ ten
Hanowerczyk, którego chciałeś pozbawić tronu, w ciągu całych
trzydziestu lat swego panowania.

— A kiedy człowiek, który przełamał kręgosłup szkockich
klanów, William ksiąŜę Cumberland, zwany Rzeźnikiem, umierał
na rok przed śmiercią mojego ojca, był najpopularniejszym
człowiekiem w Anglii. I ludzie, i historia, więcej się interesują
gloryfikacją bitew i przelewu krwi, niŜ współczuciem. Gdyby było
inaczej, moŜe nie tak łatwo osnuliby legendę wokół młodzieńca,
którego nieudana rebelia pozostawiła po sobie tylko nieszczęścia,
rozpacz, kres pewnego trybu Ŝycia — a moŜe raczej litowaliby się
nad człowiekiem, który wędrował po całej Europie, usiłując

zatykać uszy przed echami jęków mordowanych mężczyzn,
rozpaczających wdów — człowiekiem, który próbował uciec
przed sobą samym.

Charlotta zachwyca się nie tylko Florencją, której salony są
zapełnione najwspanialszymi malowidłami, gobelinami, bez-
cennymi dziełami sztuki wielkich artystów. Zabiera ojca również
do dzielnic, gdzie ślicznie wyrobione obuwie i strojne kapelusze
ozdabiają witryny okien, gdzie warsztaty i sklepy meblarzy,
białoskórników, introligatorów, złotników tłoczą się jedno obok
drugich; gdzie cukiernicy na oczach przechodniów

2G1

wyrabiają cuda z białej słodkiej masy, a handlarze noszą na
długich tyczkach upieczone prosięta, gdzie w powietrzu mieszają
się wonie świeżego drewna, soczystych owoców, skóry, wina,
parmezanu i befszytków. Młoda księżniczka ścisła ramię swego
starego ojca, rozkoszując się Florencją — miastem żyjącym bujnie
i z rozmachem.

Kiedyś, gdy po jednej z wypraw za miasto zasiedli znowu na
balkonie, Charlotta wyciąga ojca na inne, bardziej osobiste
zwierzenia:

— Ale później, w Europie, po której błądziłeś, musiałeś
przeżywać także i przyjemne chwile. Moja matka przyjechała do
ciebie, do Francji, w 1751 r. Kochała ciebie — a ty ją.

— Nigdy nie kochałem żadnej innej...

— Ani ona nie kochała nikogo innego. Sama mi to powiedziała.

—i A jednak nie było tego dosyć dla jej szczęścia, ani teŚ
mojego. Dopóki jeszcze marzyłem o koronie, nie mogliśmy się
pobrać. Nie mieliśmy domu, nie mieliśmy podstaw do wspólnego
Ŝycia. Wędrowaliśmy z jednego pałacu do drugiego, para
nielegalnych, nie poślubionych kochanków, wszędzie stając się
powodem kłopotów i skrępowania naszych przyjaciół. Ty przy-
szłaś na świat matce na pociechę i osłodę. Ale ja juŚ za daleko
posunąłem się w hulankach, w których szukałem zapomnienia. AŚ
wreszcie, jak wiesz, twoja matka wstąpiła do klasztoru... jak moja
matka, i mniej więcej, z tych samych powodów...

— A ta, którą poślubiłeś... to było chyba w 1772 r.?

— Księżniczka Ludwika von Stolberg. Związek, zawarty pod
naciskiem przyjaciół, aby dynastia nie wymarła. Wtedy juŚ nie
umiałbym dać szczęścia Śadnej kobiecie. I nie urodził się Śaden
dziedzic. Księżniczka takŚe mnie porzuciła... ze swoim
kochankiem, poetą Vittorio Alfieri...

Jeszcze innego dnia Charlotta poprosiła, by jej opowiedzieć o
romantycznej podróŜy jej babki z Oławy do Rzymu.

— A, to juŚ inna historia...

W rok po swoim przyjeździe Charlotta zabrała ojca z Florencji,
gdzie nazbyt juŚ długo przebywał, pogrąŜając się coraz bardziej w

melancholii. Zamieszkali w Rzymie, w tym samym pałacu, w

którym Klementyna z domu Sobieska urodziła, chłopca...

A jeszcze w rok później...

Uroczystości Śałobne celebrował kardynał Henryk Stuart w tej

samej kaplicy Palazzo Muti, gdzie kwilące niemowlę. z którym

tysiące ludzi wiązało wielkie nadzieje, otrzymało-w 1721 r.

imiona: Karol Edward Ludwik Jan Kazimierz Sylwester Seweryn

Maria.

A w 1788 r. moŜe ktoś jeszcze mógłby dosłyszeć echa słów,,

które odbijały się o mury pałacu przed sześćdziesięciu ośmiu laty:

— Polska krew Sobieskich. Szkocka krew Stuartów...

— Niechaj Bóg da chłopcu najlepsze cechy obu rodów!"

— Niechaj Bóg zachowa go od najgorszego!

— Bóg lubuje się w hazardzie... rzuca kości.

Przegrał ten, który był nadzieją jakobitów.

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA — ROMANTYCZNY AWANTURNIK

5

Rozdział I. Unia polsko-szkocka..... .

7

Rozdział 11. Marszałek ostrzega.....

16

Rozdział III. „Do dzieła — nareszcie!".....

27

Rozdział IV. Lochie i Łagodny.....	
41	
Rozdział V. Wojujące klany i angielskie złoto	
55	
Rozdział VI. Królewicz Stuart nadciąga	
69	
Rozdział VII. Zmiana warty w Edynburgu	
85	
Rozdział VIII. Zwycięzca spod Prestonpans.....	
97	
Rozdział IX. Wesolo było	112
Rozdział X. „Powieszają nas wszystkich!”	126
Rozdział XI. Wzrok utkwiony w miraŜu	138
Rozdział XII. „Tak mało przyjaciół!”	151
Rozdział XIII. Z powrotem w ślepy zaułek	163
Rozdział XIV. „Nikt, prócz szalonego głupca...” . . .	176
Rozdział XV. „Kto nie chce w śmierci naszym być kolegą”	193
<i>CZEŚĆ DRUGA — ZBIEG</i>	205
Rozdział XVI. Ucieczka przed krwawą zemstą.....	207
Rozdział XVII. „Nakazy humanitaryzmu” i nieludzkość	219
Rozdział XVIII. Wśród szeregow wroga.....	233
Rozdział XIX. Gdzie są najdzielniejsi z dzielnych? . .	247
Epilog	258
Ilustracje	265



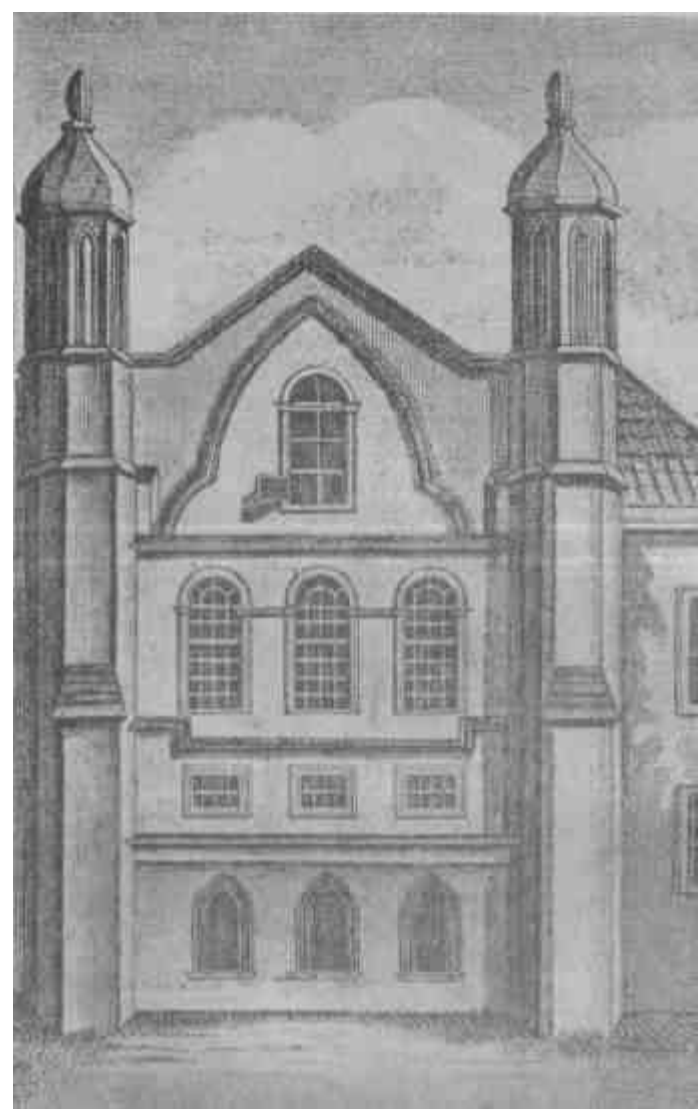
William Pitt, późniejszy hrabia Chatham



Zamek Sterling



Lord George Murray



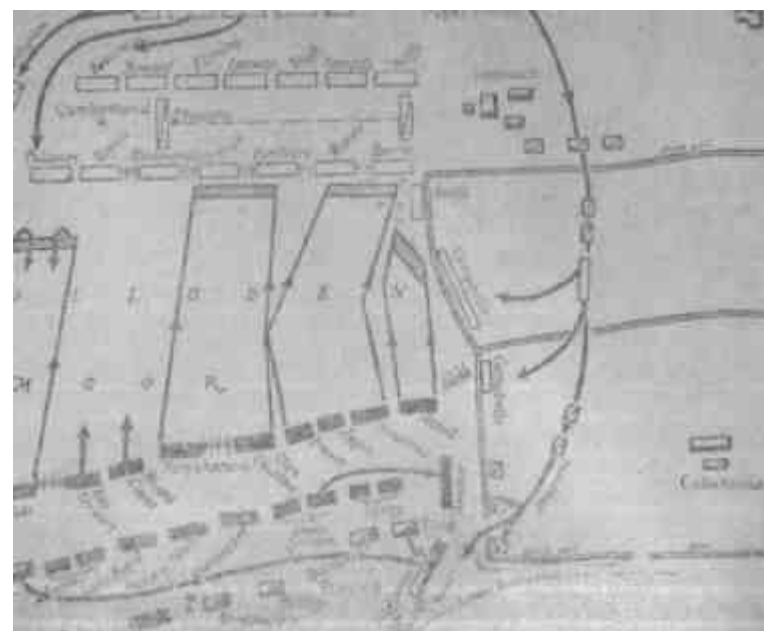
Izba Gmin w XVIII wieku. Widok od strony Tamizy



Stary Pretendent — James Stuart



Lochiel Łagodny





Bitwa pod Gulloden

Na wrzosowiskach Drummosie Moor



W angielskim więzieniu



Inverno



Egzekucja po stłumieniu powstania